

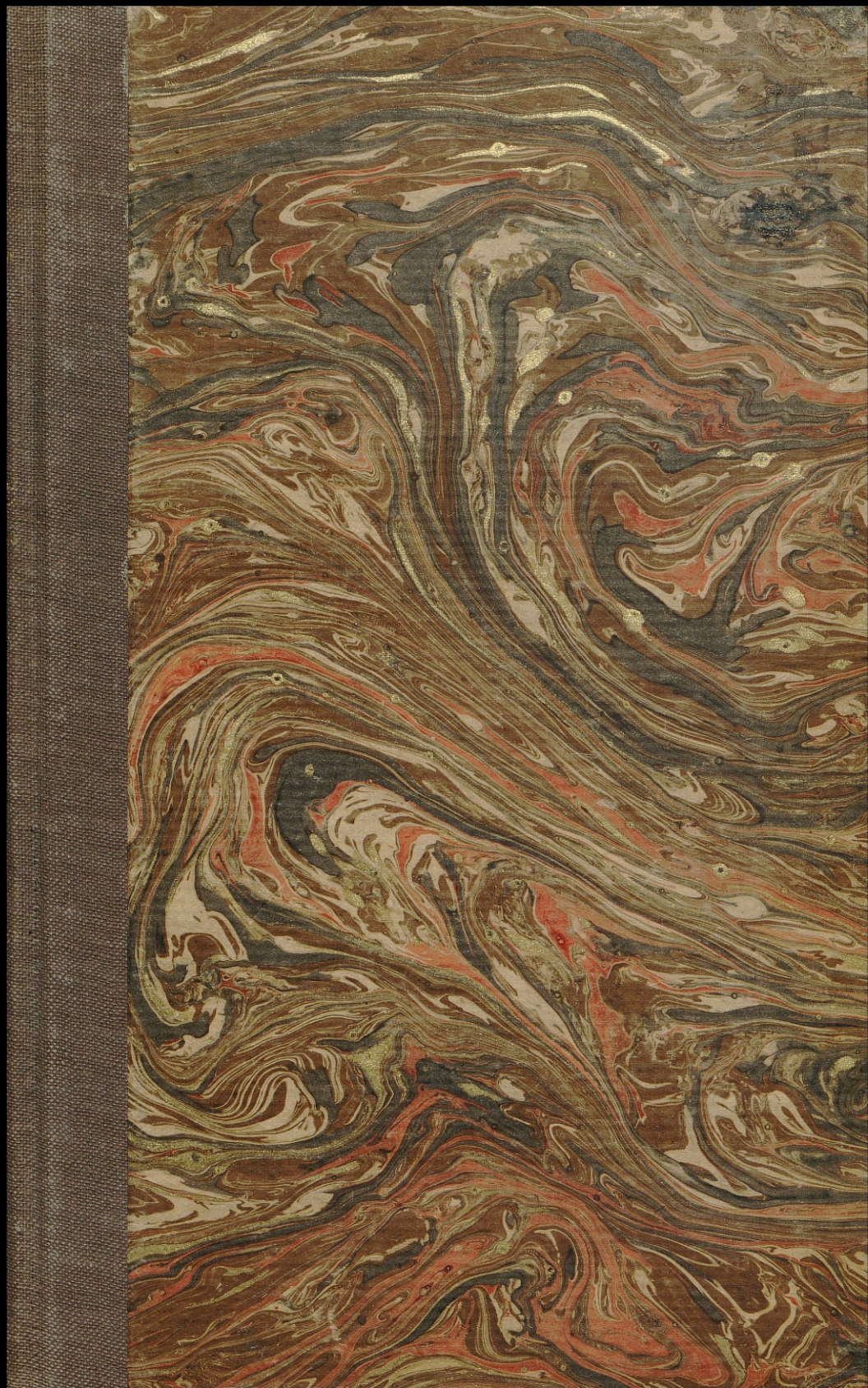
Grey Scale #13



DANES
-PICTA
.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





504 105.076.

MICHAŁ LITYŃSKI

Z dni grozy
i walki o wolność



4179

L W Ó W
SKŁAD GŁÓWNY W SPÓŁCE NAKŁAD. „ODRODZENIE”
1 9 2 9.

POMORSKI

MICHAŁ LITYŃSKI

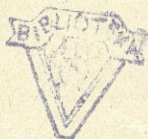
Z DNI GROZY
I WALKI O WOLNOŚĆ

1914—1915



LWÓW — 1928.

WYDAWCA



33 103 / 2



WYDANO Z DUBLETÓW
Biblioteki Narodowej



Drukarnia W. A. Szykowskiego Lwów, ul. Zimorowicza 1. 14. Tel. 7-40

1952 v 823 / 438

I.

Lato 1914. — Stronnictwa polityczne w Galicji. —
Poznanie Józefa Piłsudskiego. — Niedziela, pełna
niezwykłych wrażeń. — Wspomnienia z lat dzie-
cinnych. — Wyjazd do Wiednia. — Ultimatum. —
Iszl. — Wypowiedzenie wojny. — Mobilizacja.

Coraz większą mgłą zapomnienia osnuwają się wypadki i ludzie z niezwykłych chwil tak niedawnej przeszłości. Ogrom i siła doznanych wrażeń, przemiana stosunków publicznych tak doniosła, wstrząsnęły do głębi życiem wszystkich współczesnych ludzi, a chociaż i w tym nowym świecie, który się wyłonił z tej walki tytanów z gigantami, nie zapanowały jeszcze stosunki uregulowane, to jednak my Polacy żyjemy z uczuciem, jakbyśmy się przebudzili z gnio-tącej nas jakimś olbrzymim ciężarem zmory sennej, zwracamy oczy i ramiona wyciągamy z radością ku Boskiemu słońcu i światłu — ku promiennej zorzy wolności! Niech Bóg zachowa naszą Ojczyznę, niech ją uczyni potężną i groźną dla wrogów a drogą i ko-chaną dla przyjaciół a dla dzieci swoich i wszystkich ludzi dobrej woli, niech ją uczyni krainą szczęścia i wolności!

* * *

Lato 1914 roku było niezwykle piękne, i upalne. Kto mógł, wyjeżdżał w góry, lub nad morze a wszyst-

kie uzdrowiska i stacje kąpielowe zaroili się tłumami publiczności. Mnie jednak sprawy osobiste i rodzinne zatrzymały wówczas w kraju tak długo, że już nie miałem żadnej nadziei wyjazdu gdziekolwiek dla odpoczynku i pokrzepienia sił po pracy całorocznej.

Sam byłem i jestem demokratą postępowym, szanującym jednak dobre tradycje przeszłości naszej. Niegdyś kandydowałem nawet do parlamentu we Lwowie, później zajęty interesami, czynnego udziału w polityce nie brałem, lecz zawsze całym sercem łągałem do idei niepodległości Ojczyzny i wbrew rozpowszechnionemu oportunizmowi, uważałem zbrojną walkę z wrogami za jedynie zbawienną drogę do tego wielkiego celu. Dlatego wśród młodzieży, jako dyrektor szkoły realnej we Lwowie i przedtem jako profesor gimnazjalny w Krakowie i we Lwowie a później jako obywatel i długoletni radny miasta Lwowa — zawsze szerzyłem te myśli i wedle sił moich popierałem te dążenia, które miały przygotować jawnie i potajemnie naród polski do ponownej walki orężnej o swoją wolność.

Że przełożona władza moja, austrofilskim duchem na wskrós przejęta Rada Szkolna Krajowa, nie była z mego postępowania, jako kierownika zakładu, zbytuo zadowolona, tego miałem dosyć dowodów. Kiedy więc wskutek nagłej śmierci mego brata, zmuszony byłem przedwcześnie przejść w tak zwany czasowy stan spoczynku, przyszło mi to ogromnie łatwo, choć z drugiej strony nie szczędzono mi pochwał i uznań a zawsze wdzięczną pamięć zachowam dla ówczesnego mego bezpośredniego przełożonego, człowieka niezwyklej zacności i wielkiej wiedzy, śp. Jana

Frankego. Trudno mi także zapomnieć o nadzwyczaj serdecznym i przyjacielskim stosunku, jaki mię łączył z licznymi gronami kolegów nauczycieli i tych, z którymi razem pracowałem i tych, co byli czasowo poddani mojemu kierownictwu. Duch był wśród nas szczerze polski, bez jakiegokolwiek obłudy, ci co mówią lub piszą dziś nieraz o austrofiliźmie, wpajany w dusze młodzieży, źle adresują swoje zarzuty i wyrażają ciężką krzywdę ogółowi ówczesnego nauczycielstwa szkół średnich. Jeśli się gdzie taki dyrektor lub profesor znalazł, to wiadano o nim dobrze i wytykano go sobie a okólniki i nakazy władz wyższych w austrofilskim duchu wydawane, umieliśmy wrzucać do kosza lub neutralizować ich szkodliwość. Tak samo nie zdołały wyrzucić żadnego istotnie szkodliwego wpływu austrofilizmem przepełnione podręczniki szkolne, przez karierowiczów pisane; nauczycielstwo polskie umiało sobie z tem poradzić i ziarno od plewy odłączyć.

Ale najgłośniejszym i niezbitym dowodem uczciwej, obywatelskiej narodowej pracy polskiego nauczycielstwa przedwojennego w Galicji są te olbrzymie zastępy ówczesnej młodzieży szkolnej, co na pierwsze wezwanie Ojczyzny, zapełniła szeregi Legjonów polskich i tysiącami poległych następnie zaświadczyła o gorącym ukochaniu ideałów i dążeń narodowych. To samo odnosi się i do nauczycieli, którzy, chociaż w wielkiej części, jako oficerowie rezerwowi austriacy, musieli najpierw wziąć udział w wojnie w szeregach zaborczego państwa, jednak starali się później usilnie przenieść się do Legjonów a w końcu z radością znaleźli się wszyscy w armji polskiej.

Tylko zapamiętały szowinizm partyjny, może dziś jeszcze ciskać zarzutami i generalizować je i klasyfikować Polaków ówczesnych w Galicji na „prawdziwie narodowych“ i „nienarodowych“, choć potęga ducha narodowego w czasie wojny i krew poległych synów tej dzielnicy Polski kłam zadają tym oszczerstwom i niecnym zamachom na jedność i zgodę w narodzie. Zupełnie tak samo postępowali pruscy hakatyści i istinno-ruscy w Rosji a w jakież oni nieszczęścia wtrącili swoje narody!

Jeśli chodzi o stanowisko narodowej demokracji w okresie przedwojennym, to nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości, że działalność jej ogólna, budząca ducha narodowego wśród warstw średnich, szczególnie urzędniczych, wyrwała je z odrętwienia i indferentyzmu politycznego, skupiła w organizacjach narodowych w jedną zwartą falangę i przeciwstawiła ją równie słuźalczym zapędom arystokracji galicyjskiej u góry — wobec dworu i rządu niemiecko-austriackiego jak i internacjonaliowi socjalistycznemu klasy robotniczej i spokrewnionemu z niemi żydowskiemu Bundowi, owej kolebce anarchji i bolszewizmu.

Drugą zaletą narodowej demokracji była jej ówczesna „wszechpolskość“ to jest umiejętność pozyskania sobie wpływu politycznego i skupienia swoich zwolenników pod jednym ideowym sztandarem we wszystkich trzech zaborach, czem dotychczas nie mogła się poszczycić żadna inna polska partja polityczna a socjalni-demokraci działali wszędzie najpierw wyłącznie na gruncie ogólnie społecznym, głosząc walkę przeciw również międzynarodowemu kapitalizmowi.

W tym więc okresie, w okresie „Ligi wszech-

polskiej“ i „Przeglądu wszechpolskiego“, cała działalność narodowej demokracji była czynnikiem dodatnim, była jednym z ożywczych potężnych strumieni, z których wspólnego złączenia się później urosła olbrzymia rzeka narodowego życia i niewstrzymanym już pędem potoczyła się ku zjednoczeniu i niepodległości.

Ale niestety, ów kierunek ideowy, nie utrzymał się w tem stronnictwie w całej pierwotnej swej czystości aż do chwili wybuchu wojny światowej i ostatecznego porachunku z wrogami Ojczyzny. W miarę, jak partja ta nabierała siły, samowiedzy i rozmachu, obudziła się w niej chęć władzy, co mogło być uzyskanem jedynie w drodze kompromisu z rządami zaborczemi i choćby tylko cichej rezygnacji z najwyższego celu programu, t. j. z niepodległości narodowej a przynajmniej milczącą zgodą na oddalenie tego dążenia w jakąś mglistą, nieznaną przyszłość. Tak było w zaborze rosyjskim od czasu ogłoszenia pseudo-konstytucji rosyjskiej i wzięcia udziału w obradach dumy państwowej w Petersburgu, tak samo w Austrii, gdzie przewodcy narodowej demokracji, nie zawahali się nawet przyjąć udziału w rządzie państwem, przez piastowanie tek ministerjalnych.

W zaborze pruskim wobec zaostrzającej się z każdym rokiem eksterminacyjnej polityki pruskiej wobec Polaków, nie doszło wprawdzie do jakiegokolwiek ugody z rządem, lecz i tam nie brakło usiłowań do uzyskania w drodze ustępstw i głosowania za „koniecznościami państwowemi“, znośniejszego pożytku z władzami zaborczemi.

Z tem zwichnięciem ideowego programu, szła

równocześnie głęboka przemiana wartości wewnętrznych, układu sił i taktyki w postępowaniu z innemi stronnictwami w Polsce.

Tak bardzo początkowo zwalczany trójlojalizm, szczególnie u krakowskich konserwatystów, tak zwanych Stańczyków — przestał już być tą straszną zbrodnią polityczną w oczach przewodców narodowej demokracji, prasa ich coraz bardziej przemilcza o tem — zbliżenie się do wielkiej własności ziemskiej, szczególnie w Galicji wschodniej a nawet zupełne wchłonięcie tych „zacofanych“ Podolaków i celowe złączenie się z konserwatywnem rzymsko-katolickiem duchowieństwem, powiększyło niewątpliwie ogromnie wpływy i znaczenie narodowej demokracji, lecz zmieniło w ostatnich czasach przed wojną zupełnie jej dawny charakter i co za tem idzie, także i taktykę postępowania.

Już ani narodową ani demokratyczną nie była ta partja — bo przestała być narodową w tem szlachetnem dążeniu do złączenia i zjednoczenia wszystkich warstw i stanów w narodzie dla najwznioślejszego celu: niepodległości narodowej — a demokratyczną być przestała, odkąd rej wodzić w niej zaczęły żywioły już z natury swej konserwatywne i wrogie dopuszczeniu do udziału w rządach warstwy ludowej i robotniczej, stanowiącej w Polsce dziewięć dziesiątych całej ludności.

Dwa inne stronnictwa polskie, obejmujące pewne zastępy inteligencji, znajdowały się w ostatnich latach przed wojną w stanie rozkładu i upadku, z którego nawet wstrząsające swą grozą i niesłychane w następstwach wypadki polityczne nie zdołały ich wydobyć

i na nowo do pracy publicznej przysposobić. Była to krakowska partja konserwatywna, niegdyś utworzona przez ludzi takiej miary jak Józef Szujski, Stanisław Tarnowski i Koźmian. Odegrała ona w życiu politycznem Galicji pierwszorzędną rolę kierującą w okresie blisko lat 30-tu po nadaniu konstytucji w Austrii w r. 1860, a liczyła w swoim gronie i liczy do dzisiaj szereg najwybitniejszych talentów politycznych i ekonomicznych, mało lub wcale nie wyzyskanych przez Rząd Rzeczypospolitej polskiej do służby publicznej. Przed wybuchem wojny zajmowali znakomici mężowie tej partji najwybitniejsze stanowiska w parlamencie i rządzie centralnym w Wiedniu i w Galicji, a w ciągu wojny i w dziele odrodzenia Ojczyzny brali gorący i zasłużony udział.

Drugiem, znikającym obecnie chociaż pozornie tylko stronnictwem jest tak zwana Polska Demokracja, której początki sięgają promiennej wiosny ludów r. 1848 i wielkiego bohatera rewolucji i męża stanu, Franciszka Smolki a później około r. 1880 na nowo zorganizowana przez Adama Asnyka, Tadeusza Romanowicza, Lesława Borońskiego, Henryka Rewakowicza i Bolesława Wysłoucha i wielu innych współczesnych im starszych i młodszych działaczy ze sfer inteligencji i mieszczaństwa.

Jako profesor gimnazjum św. Anny w Krakowie od r. 1887 do 1891, zostałem członkiem tego stronnictwa i brałem dosyć czynny udział w pracy organizacyjnej i programowej. Wolność i równość obywatelska w pojęciu zachodnio europejskiem, tolerancja wyznaniowa i skupianie ludzi dla pracy twórczej i odrodzeniowej bez różnicy stanów, poszanowanie

i miłość przeszłości, ale postęp bezwzględny myśli i pracy polskiej na każdym polu, zrozumienie konieczności reform socjalnych i równouprawnienia a wszystko to owiane gorącą miłością Ojczyzny i ciągłą pracą jawną a jeśli potrzeba i tajną dla jej odrodzenia — oto myśli przewodnie Polskiej Demokracji, które przedziwnym czarem swoim przemawiały i, zdaniem mojem, zawsze przemawiać będą do niezsutych serc i młodzieńczych umysłów, bo w nich jest utajona wieczna siła twórczej młodości. Bezgraniczna miłość i poświęcenie dla Ojczyzny nie może iść w jednym szeregu z szerzeniem nienawiści do drugich klas i warstw społecznych lub wyznaniowych, bo takie postępowanie nie ułatwia, lecz utrudnia lub uniemożliwia odrodzenie i wszelki postęp. Kto nie postępuje, ten się cofa, zanika i ginie. Prześlicznie wypowiedział to Krasiński:

„Wiecznotrwały ten na ziemi, kto swą śmiercią
[życie pleni,

„Lecz kto życiem swem śmierć daje, ten gdy
[skona, już nie wstaje!“

Do polskiej demokracji zaliczał się przed wojną cały szereg posłów parlamentarnych i wybitnych polityków, który jednak popełnił ten błąd zasadniczy, iż przez lata całe zaniedbał pracy organizacyjnej i propagandy swych zasad; tak stało się, iż inne stronnictwa bardziej ruchliwe rozwinęły tymczasem silną agitację słowem i pismem dla swoich błyskotliwych i szumnych haseł a w Polskiej Demokracji pozostali wodzowie bez wojska.

Drugą przyczyną upadku był także pewien oportunizm wygodny, który się zakradł do tego stronnictwa,

wypaczając często jego jasne i proste drogi i zasady, co także zrażało i odstręczało wielu ludzi. Najbardziej jeszcze ideowo zwartą okazała się lewicowa grupa tej partji, która we Lwowie utworzyła nawet osobne polskie stronnictwo demokratyczno-postępowe, skupiające się koło bardzo poczytnego dziennika Wieku Nowego pod redakcją Bronisława Laskownickiego. W czasie wojny zajęła ta grupa bardzo energiczne i czynne stanowisko i wspólnie z innemi patrijotycznymi partjami była duszą tak zwanej grupy aktywistycznej.

Trudnoby zrozumieć wypadki, które mam zamiar tu opisać, gdybym nie scharakteryzował choć w krótkości jeszcze dwóch potężnych stronnictw, działających w latach przedwojennych w Polsce i mających we wszystkich trzech zaborach, a szczególnie w Galicji licznych zwolenników. Są to tak zwani Pepesowcy i Polskie Stronnictwo Ludowe czyli Ludowcy. Pierwsi powstałi na przełomie XIX i XX wieku z socjalno-demokratycznej partji, przyjąwszy sobie jako główne hasło swego dążenia naówczas, przygotowanie i zorganizowanie mas robotniczych do walki z caratem rosyjskim o niepodległość Polski. Głównymi pionierami tego ruchu wśród socjalnych demokratów w Galicji, mających nawet kilku przedstawicieli swoich w parlamencie wiedeńskim, był Ignacy Daszyński, a w zaborze rosyjskim, znany przewodca tajnych organizacji robotniczych, redaktor „Robotnika“, J ó z e f P i ł s u d s k i, dla swoich niezwykłych zdolności i życia, pełnego cierpień i poświęcenia, cieszący się wielkiem uznaniem i szacunkiem a wśród mas robotniczych i gorętszej wolnościowej młodzieży

synowskiem przywiązaniem. Mój stosunek do socjalnych demokratów a później Polskiej Partji Socjalistycznej (P. P. S.) był taki, że niegdyś w młodości, w czasie studjów uniwersyteckich we Lwowie w r. 1880, stałem pod wpływem osobistym jednego z pierwszych ideowych kierowników tego ruchu, redaktora Bolesława Czerwieńskiego, poety i twórcy „Czerwonego Sztandaru“, jakoteż przyjaciela jego i również dziennikarza Bolesława Spausty. Jakkolwiek na młody umysł działały niezwykle silnie wszelkie hasła wyzwolenia klasy robotniczej z pęt kapitalizmu, jako szlachetna walka o zniesienie nowoczesnego niewolnictwa i nieraz brałem udział w zebraniach towarzyskich i wiecach robotniczych prześladowanych wówczas przez rząd austriacki socjalistów, jednak pozostałem tylko ich sympatykiem, nie mogąc w mojem sumieniu i przekonaniu pogodzić wyłączności klasowej tej partji z szlachecko-polską tradycją mego wychowania.

Później na wiele lat, oddany naukom i podróżom, straciłem ich z oczu, Czerwieński i Spausta dawno umarli, za mego pobytu w Krakowie zetknąłem się wprawdzie z Daszyńskim, Markiem i Klemensiewiczem, ale już byłem wówczas pod osobistym wpływem śp. Tadeusza Romanowicza i jego ideom i kierunkowi polityczno-społecznemu pozostałem wiernym na całe życie.

W latach przedwojennych z ogromną radością, powitałem utworzenie „Tymczasowej Komisji stronnictw skonfederowanych“ t. j. trzech stronnictw, najbardziej mojem zdaniem wyraźnych w dążeniach niepodległościowych, demokracji postępowej, pol-

skiej partji socjalistycznej i ludowców i odrazu zrozumiałem, że zanosì się na coś ważnego. Zaraz pojechałem z Czerniowiec do Lwowa i od Bronisława Laskownickiego dowiedziałem się o całej akcji zbrojnego przygotowania narodu na wszelką ewentualność. Jeszcze przedtem w zimie roku 1912 na 1913 pewnego razu bawiąc we Lwowie, miałem sposobność zetknąć się po raz pierwszy i poznać Józefa Piłsudskiego. Z moimi kolegami z zawodu i najserdeczniejszymi przyjaciółmi, dr. Michałem Janikiem i śp. Janem Schadenem, udaliśmy się pewnego dnia po kolacji na herbatę do bardzo wówczas, szczególnie przez młodzież postępową i socjalistyczną obojga płci, odwiedzanej kawiarni „Sans Souci“ przy ul. Szajnochy. Zabawialiśmy się tam, przy dźwiękach miłej muzyki do dosyć późnej nocnej godziny. Było już dobrze po północy, gdy dr. Janik w atmosferze kawiarnianej, przesyconej dymem tytoniowym, dostrzegł pod jednym ze środkowych filarów siedzącego samotnie przy małym stoliku, przy herbacie, Piłsudskiego i natychmiast namówił nas, abyśmy podeszli do niego i poznali się bliżej. Zgodziłem się bez wahania i wówczas ujrzałem człowieka średniego wieku, o ciemnym dosyć bujnym zaroście, i dosyć długiej czarnej brodzie, nie bardzo starannie utrzymanej. Twarz blada, jakby cierpiąca a cała postać dosyć wychudła, co wskazywało ubranie szare, dosyć obwisłe i niezbyt wykwintne. Zamieniliśmy kilka zdań, gdy Janik przedstawił mię jako gorącego zwolennika walki zbrojnej.

Piłsudski zbierał składkę na broń i zaraz złożyliśmy małą kwotę, otrzymawszy pokwitowanie na bloczku.



W całości pierwsze to wrażenie z poznania Piłsudskiego, zrobiło na mnie wrażenie człowieka ogromnie przepracowanego i żadnego odpoczynku. Pomimo pewnego ożywienia naszą rozmową, nie widziałem wówczas u niego owych błysków oczu i głębokiego badawczego spojrzenia, które wprost przykuwa i nie pozwala oderwać oczu od tej tak wyrazistej twarzy i postaci. Mówił wówczas trochę o Syberji i rosyjskich stosunkach a później, gdy inne większe towarzystwo przysiadło się do niego, na które widocznie oczekiwał, my pożegnawszy się wróciliśmy do naszego stołu.

Wiele lat minęło, gdy raz na raucie, urządzonym dla Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego w salonach wojewódzkich we Lwowie, przypomniałem mu ową chwilę. Rozjaśniła się radosnym uśmiechem twarz Naczelnika i ściskając dłoń moją, powiedział: „Wspomnienia te, to dziś w mej pamięci, jakby najpiękniejsze chwile górnych uniesień młodości, chociaż to w istocie tak niedawno“.

Były to w istocie chwile wielkich nadziei i pracy twórczej, choć podziemnej. Dziś trudno zrozumieć ten urok niezwykły, jaki praca w tajnych organizacjach studenckich i robotniczych wywierała na umysły. Już ta myśl sama, że my wreszcie pracujemy bezpośrednio dla Polski, przygotowujemy zbrojne powstanie dla zerwania więzów niewoli, była w obec powszechnego sceptycyzmu i tak zwanej trzeźwości poglądów w sferach inteligencji polskiej w naszym kraju, dla naszego pokolenia, urodzonego i wychowanego w niewoli, czemś do wiary niepodobnem, jakimś zamachem na zdrowy rozsądek i praworządny sposób

myślenia. Nawet ludzie, którzy całą duszą kochali Polskę, i pragnęli jej, z wielkiem niedowierzaniem i obawą spoglądali na związki i drużyny strzeleckie, które ośmieliły się w swoich zamierzeniach i ćwiczeniach, wyjść trochę dalej poza zwykły program gimnastycznych sokolskich zabaw. Inni uważali to wprost jako „niebezpieczną robotę“, gotową sprowadzić na młodzież i na cały kraj nieszczęście. A rząd austriacki i wojskowość? Ci postępowali jak zwykle zgodnie z tradycją austriacką po machjawelsku. Na pozór sprzyjali tym wojskowym ćwiczeniom i organizacjom, uważając je za pożądane uzupełnienia armji czynnej, nawet czasem użyczali karabinów i amunicji i dla ćwiczeń wojskowych młodzieży szkolnej wyznaczali osobnych oficerów instruktorów, lecz jak tylko inny wiatr z Wiednia zawiął, zaraz odbierali broń i zakazywali tych ćwiczeń, aby potem znowu przy innym wietrze, patrzeć pobłażliwem okiem na te ich zdaniem „dziecinne zabawy w żołnierza“.

Tymczasem obok tej jawnej i niejako urzędowo uznanej organizacji była tajna, obejmująca coraz szersze warstwy młodzieży, ludu i robotników. Duszą tych organizacji, ich mentorem, powszechnie uznanym, choć przez nikogo nie wybieranym ani mianowanym naczelnikiem był Józef Piłsudski. Dzieje jego cierpień i walk z caratem, jego zasługi i praca nad uobywateleniem i śmiało to powiedzieć można, nad unarodowieniem robotników w Królestwie Polskim i jego organizatorska i nauczycielska działalność w Galicji w kilku latach przed wybuchem wojny światowej, były wszystkim bliżej ruchu stojącym dobrze znane i dobrze oceniane. Nikt, jak on, nie umiał wśród



swoich bliskich i dalekich, wzbudzać prostemi środkami, czasem tylko gestem i spojrzeniem, czasem krótką przemową, ale zawsze stanowczością i energią zapału i bezgranicznego poświęcenia dla sprawy ojczystej. Nikt z takim niezachwianym i nieogłądającym się na żadne przeszkody uporem, nie umiał iść raz wytkniętą drogą do celu; nikt nie złożył dowodów takiej wytrwałości i nieustępliwości w walkach o wolność, jak Józef Piłsudski. Przez niego i jego towarzyszy, Polska Partja Socjalistyczna stanęła w równym rzędzie w służbie dla Ojczyzny obok tych, którym już tradycja historyczna zdawała się tę służbę dziedzicznie przekazywać.

Chłopi, tworzący więcej jak trzy czwarte całej ludności Polski, mieli już swoje stronnictwa polityczne w okresie przed wojną światową. Najbardziej uświadomione politycznie rzesze ludowców obejmowały powiaty środkowej i zachodniej Galicji, gdzie niegdyś pierwszym pionierem tego ruchu był prześladowany za to przez konserwatystów i wyższe władze duchowne ks. Stojałowski a później bardziej radykalny Jan Stapiński.

Idea uobywatelenia ludu, początkami swemi sięgająca jeszcze w czasy Kościuszkowskie, była hasłem emigracji polskiej we Francji po r. 1831. Lecz usiłowania te, błędnie pojęte i przeprowadzone nie trafiły do duszy ludu włościańskiego, przez całe wieki ciemzonego i świadomie bałamuconego przez zaborców, ani w smutnej pamięci roku 1846 ani w r. 1848, gdy ruchy rewolucyjne i narodowe wstrząsnęły prawie całą Europą. Nawet jeszcze Rząd narodowy powstańczy w r. 1863 taką samą błędną poszedł drogą,

jakkolwiek już w owym czasie tu i ówdzie nawet w Królestwie, budziła się dusza ludu włościańskiego z wiekowego uśpienia. Błędem popełnianym przez patryotów tych wszystkich czasów było wyobrażenie a nawet przekonanie, że dosyć będzie zwrócić się do ludu z manifestem, ogłaszającym jego uwłaszczenie i uwolnienie od wszelkiej pańszczyzny, aby go pozyskać dla sprawy narodowej i porwać do szeregów powstańczych. Tymczasem takie porywy bez długoletniego uświadamiania i pracy organizacyjnej, bez przejęcia się realnymi interesami ludu i opieki nad nimi, bez propagandy słowem i czynem, nigdy i nigdzie się nie udawały i zawsze sprowadzały tylko gorzkie zawody i rozczarowania, podobnie jak u nas cała działalność emisariuszów emigracji paryskiej a później manifesty i złote hramoty Rządu narodowego w r. 1863 i 64.

Inaczej było w Poznańskim, ale tam uwłaszczenie chłopów nastąpiło jeszcze z początkiem XIX wieku a już z tego powodu stosunek między dziedzicem a włościaninem ułożył się przyjaźnie a niekiedy nawet serdecznie. Późniejszy bezwzględny ucisk rządu pruskiego i hakatystów dotykał w równej mierze pana i chłopą, nie tak jak w Austrii, gdzie przez wiek prawie, cała polityka rządu w Galicji polegała na wygrywaniu chłopów przeciw panom, naturalnie tylko w sporach gruntowych o słynne „lasy i pastwiska“ gminne, bo zresztą utrzymywano lud z umysłu w najgłębszej ciemności i zacofaniu, darząc go za to mianem „cesarskich dzieci“ i pielęgnując w nim tym marnym sposobem, nie bez skutku, uczucia przywiązania do domu cesarskiego i dynastji. Resztę tego

wychowania dopełniała służba wojskowa, przejęta duchem średniowiecznego regulaminu służbowego i germanizacji przez korpus oficerski, w przeważnej większości swej niemiecki aż do ostatnich czasów i rozpadnięcia się Austrii.

Zupełnie analogicznie postępowała Rosja u siebie. I tam słynni „komisarze włościańscy“ byli urzędnikami, których zadaniem było żywić i podsycać nie-
nawieść wsi i dworu, i tam szkoły wiejskie, jeśli gdzie były, były jedynie instytucją ogłupiającą dla wyuczenia rosyjskiej AZ-buki i hymnu carskiego, i tam wreszcie długoletnia służba wojskowa była zakładem karnym dla tresury niewolników i rusyfikacji języka i obyczajów.

W takich warunkach praca nad ludem i powołanie go do udziału w życiu narodowym nie były rzeczą łatwą ani powierzchowną, czego dowodem były owe liczne pisemka ludowe, wydawane przez szlachtę i duchowieństwo, owe liczne „Zorze“ „Niedziele“ i „Gazety kościelne“, których wpływ mimo najuczciwszą nieraz tendencję, był znikomy.

Dopiero zastępy inteligencji z samego ludu wiejskiego pochodzącej, dopiero ludzie z zupełnem poświęceniem i oddaniem się sprawie ludowej, zdołali ten lud z wiekowego letargu ocucić i razem z innymi warstwami narodu a nierzadko i przeciw nim, powołać do służby publicznej.

Już przed wojną powstało w Galicji, potężne organizacją, dyscypliną i liczbą członków swoich, Stronnictwo Ludowe Polskie i już wówczas ujawniły się w nim dwa odłamy: bardziej prawicowy „Piaś“, skupiający w sobie zamożniejszych gospodarzy wiej-

skich z liczną reprezentacją poselską w Sejmie krajowym i parlamencie wiedeńskim z Wincentym Witosem na czele i bardziej radykalny odłam reprezentujący małorolnych i bezrolnych włościan, od swego przewodcy zwanych „Stapińszczykami“. Idea Polski demokratycznej i ludowej, równouprawnienie i walka z przesadami i przywilejami szlacheckimi, pokutującymi jeszcze w naszym społeczeństwie, reforma rolna, dążąca do sprawiedliwszego rozdziału własności gruntowej przez parcelację wielkich obszarów ziemskich, poddanie tych „obszarników“ ogólnym prawom i ustawie gminnej, wyzwolenie ludu od zbyt daleko sięgającego wpływu duchowieństwa i bardziej jeszcze szkodliwego wpływu żydowskiej karczmy na wsi — to były hasła przewodnie ludowców galicyjskich, do których synów ludu wiejskiego przymknęła już wcześniej pewna część inteligencji wiejskiej a nawet kilku ze szlachty, opatrzonych tytułami hrabiowskimi.

I w tem stronnictwie liczyłem wielu znajomych i przyjaciół osobistych; z Janem Stapińskim kolego wałem niegdyś na uniwersytecie i jakiś czas wspólnie pracowałem w zawiązanym przez Asnyka lwowskim oddziale Towarzystwa Szkoły Ludowej. W „Kurjerze lwowskim“ niegdyś jeszcze za czasów Rewakowicza i Wysłoucha, stawiałem pierwsze kroki na niwie moich literackich i dziennikarskich poczynąń, z wielu wybitnymi członkami stronnictwa ludowego brałem nieraz udział w naradach i zebraniach.

Jeszcze słów kilka o tak zwanych dzisiaj w Polsce mniejszościach narodowych t. j. żydach i Rusinach.

Żydzi byli benjaminkiem Austrii. Jakkolwiek rząd austriacki aż do ostatniej chwili nie uznawał

ich narodowości, a w samym Wiedniu i w niemieckich prowincjach stronnictwa chrześcijańsko społeczne i liberalni antysemita zwalczali żydostwo, to jednak wpływy ich i znaczenie były zawsze wielkie a nawet z każdym rokiem wzrastające. Żydzi nie tylko zajmowali nieraz wysokie i intratne stanowiska rządowe, lecz wpływy ich sięgały do sfer dworskich i wszystkich ministerstw. Mieli oni we Wiedniu własną organizację tak skonstruowaną misternie, że w każdej sprawie ekonomicznej czy sądowej, ba nawet politycznej można było z pomocą tej organizacji przeprowadzić daną rzecz bez długiej i zbyt skomplikowanej drogi legalnej.

Dziewięć dziesiątych wiedeńskich żydów jest pochodzenia galicyjskiego. W każdym sklepie żydowskim można się tam rozmówić po polsku. Ale żyd galicyjski, chałatowiec zmieniał się pod względem zewnętrznego wyglądu na Europejczyka zachodniego. Nieraz widziałem w podróży, jak w wagonie kolejowym żyd chałatowiec z pejsami, przekraczając granicę galicyjską zrzucił chałat, ubierał marynarkę a pejsy pięknie czesał po za uszy w tył głowy i w kilku minutach przemieniał się w eleganckiego obywatela.

Za to w kraju nie krępowali się wcale oni pod względem stroju, ani co ważniejsze, czystości. Ludność żydowska, jakkolwiek od wieków u nas osiadła, zachowała zupełną swoją odrębność pod każdym względem. Religja, język, strój, zwyczaje, obyczaje, przywary i zalety zupełnie ich odróżniają od ludności tak polskiej jak i ruskiej. U nas tylko zachował się do dnia dzisiejszego najczystszy typ semicki, podczas gdy gdzieindziej zmienił się nie do poznania wśród

ludności francuskiej, niemieckiej, angielskiej, włoskiej i węgierskiej. Dziwna rzecz, że to właśnie w tej Polsce, która niegdyś była asylem żydów, prześladowanych i tępionych ogniem i mieczem na całym świecie, żydzi zachowali odrębny swój typ pod każdym względem, a tam właśnie, gdzie ich bez litości setkami tysięcy mordowano, złączyli się z miejscową ludnością do niepoznania, przyjmując jej język i kulturę i narodowość. Żyd francuski, niemiecki, węgierski a nawet rosyjski jest szczerym Francuzem, Niemcem, Węgrem i Rosjaninem i służy wiernie swej ojczyźnie, żydów polskich z duszą szczerze polską możnaby na palcach policzyć.

Żydzi galicyjscy przed wojną światową byli wiernymi austriakami i lgnęli do kultury niemieckiej, w czasie wojny byli aż do ostatka najwierniejszymi sojusznikami państw centralnych a ich prasa bez wyjątku z *Neue Freue Presse* na czele obalamowała opinię publiczną świadomie i nieświadomie kłamstwami o zwycięstwach Niemców nawet wtedy, gdy już ich klęska ogólna była zdecydowaną i niechybną. W ogóle stek potwornych, obrzydliwych kłamstw i bezgraniczna buta i arogancja, to ton i charakterystyka wszystkich dzienników i piśmideł żydowsko-niemieckich w czasie wojny.

W traktacie wersalskim umieli żydzi za protekcją Anglii wywalczyć dla siebie w nowopowstałych państwach, jak w Polsce uprzywilejowane stanowisko w postaci praw „mniejszości narodowych“. Już przed wojną światową rozwinął się i zorganizował wśród żydów galicyjskich ruch syjonistyczny. W czasie jakiejś rocznicy Herzowskiej, widzieliśmy wszędzie na-

wet po małych miasteczkach na oknach żydowskich domów nalepki z wizerunkiem tego ideologa. W czasie wojny światowej ruch ten jeszcze bardziej spotężniał; ale cel główny, to jest powrót do Palestyny, pomimo utworzenia tam pod protekcją Anglii państewka żydowsko-arabskiego, został chybiony; żydom wszędzie w Europie a szczególnie w Polsce zbyt dobrze się dzieje, żeby chcieli masowo kraj opuścić i tam w ojczyźnie swej ciężko pracować dla jakiejś idei narodowej. Tu u nas, trudniąc się handlem, głównie szynkarstwem a najgłówniej lichwą pieniężną, żyją sobie dostatnio i wygodnie. Ale jako ludzie praktyczni, nawet ideę syjonizmu wyzyskali, tworząc zorganizowane wzorowo stronnictwo polityczne, występując w obronie żydowskich interesów tu na miejscu.

Na przekór temu wszystkiemu, co tu napisałem o naszych żydach, chcę jednak zaznaczyć, że i u nas, jakkolwiek w znikomej ilości byli i są żydzi i to mężczyźni i kobiety o tak gorącym polskim sercu bez żadnych zastrzeżeń, o takim poświęceniu dla sprawy polskiej, że społeczeństwo nasze już ich wcale nie uważało i nie uważa za „żydów“ t. j. obcy i nieprzychylny nam żywioł, lecz tylko za Polaków odmiennego wyznania, których szanuje i kocha jak swoich najlepszych i najzasłużeńszych obywateli.

Może w ciągu tego pamiętnika będę miał sposobność po imieniu i nazwisku wymienić tych godnych ludzi, z których kilku śmiercią własną na polach bitew zadokumentowało swoją przynależność narodową.

Ciężką mamy sprawę z naszymi Rusinami. Jeszcze około połowy XIX wieku nastąpił wśród szczu-

plej wówczas inteligencji ruskiej w Galicji! Wschodniej rozłam ideowy na starorusinów, zwanych podówczas Świętojurcami od głównego ich ogniska, Katedry Św. Jura we Lwowie i młodorusinów, którzy dopiero po r. 1880 przybrali nazwę Ukraińców, historycznie nieuzasadnioną, gdyż Galicja nigdy nie była częścią dawnej prowincji polskiej, naddnieprzańskiej Ukrainy. Pierwsi byli otwartymi moskalofilami, dążącymi do ewentualnego połączenia się z carską i prawosławną Rosją. Dziwna rzecz, że właśnie w tej partji była najświatlejsza i najbardziej zrównoważona część inteligencji ruskiej. Kiedy pod koniec zeszłego wieku rząd austriacki, trzymający się zawsze hasła: „divide et impera“, zaczął popierać ruch ukraiński przeciwko starorusinom, zakładając gimnazja i wprowadzając fonetykę w pisowni ruskiej, wówczas starorusini woleli dzieci swoje posyłać do szkół polskich, niż do tych ukraińskich, w których, jak się później okazało, nie wiele zajmowano się nauką, co raczej wszczepianiem w dusze młodociane nienawiści do Polaków, jako panów, uciskających chłopą ruskiego i jakichś mętnych obrazów dawnej wielkości i sławy ukraińskiej za czasów kozaczyzny i hetmana Chmielnickiego lub późniejszych rzezi polskiej szlachty i żydów na Rusi przez bandy chłopstwa pod dowództwem Gonty i Żeleźniaka.

Tak krwawa przeszłość, wydawała się młodszemu umysłom jakby doba wczorajszą, i nienawiść z przed wielu stuleci rozgorzałą a później zupełnie przycichłą i złagodzoną, rozdmuchiowano i rozbudzano na nowo przeciwko ludności polskiej w Galicji wschodniej. Ludność ta była tu równie od niepamiętnych czasów

osiadła, jak ludność ruska i jak nawet najstarsze kroniki historyczne ruskie stwierdzają (Nestor), do Polaków dawniej należały grody czerwieńskie i dopiero od nich przez Rusinów zostały zdobyte i czasowo opanowane. A więc Polacy byli tu autochtonami czyli wpierwosiadłymi. Później te ziemie, przez napady Mongołów i Tatarów doszczętnie zniszczone, polscy królowie i polska szlachta tu osiadła, odbudowała i do wielkiego rozkwitu podniosła. Oni to pobudowali miasta, zamki, pałace, dwory, kościoły i klasztory i wszystkie cerkwie dla ludu ruskiego, przeważnie za polskich czasów tu sprowadzonego i osiedlonego. Bo zawsze pamiętać należy, że tuż za Zbruczem i granicą byłej Galicji i za Kamieńcem Podolskim, niegdyś kresową twierdzą polską, rozpoczynały się stepowe obszary Ukrainy, rzadka tylko po futorach osiadłe a przechodzące zwolna ku południowemu wschodowi w słynne „dzikie pola“, odgraniczające dawną Polskę od dziedzin tatarskich, wołoskich i zadnieprzańskiej kozaczyzny. Więc już od wieków, kto chciał spokoju zażyć pod opieką polskich praw i polskiego rycerstwa, ten osiedlał się bliżej Zbrucza, Dniestra i Bugu, gdzie po miastach i miasteczkach i po dworach i chatach polskich na wsi od wieków kwitnęła polska kultura, ogłada obyczajów i polskie bujne życie. Zresztą ludność sama polska i ruska zmieszana była ze sobą od wieków węzłami rodzinnymi a religja, nietylko później tu wprowadzona unja grecko-katolicka lecz i prawosławna nawet, tak samo nie stanowiły żadnej różnicy dzielącej tych zupełnie polskiej Ojczyźnie oddanych obywateli, jak i język potoczny polski lub ruski, któremi wszyscy miesz-

kańcy tej ziemi władali i po większej części władają do dzisiaj od dziecka, nawet bez nauki szkolnej. Jedynym napływowym, obcym elementem w tych stronach był żyd, rasowo, religijnie, kulturalnie i językowo obcy jednolitej zresztą ludności tej ziemi.

Najnowsze badania historyczne wykazują, iż pierwszymi, którzy zasiali niezgodę między polską-ruską ludnością tego kraju i między samymi Rusinami byli Rosjanie jeszcze z początkiem XIX stulecia, za nimi dopiero poszli Austrijacy i ich gubernator Stadjon w r. 1848. O chłopach ruskich z Galicji, którzy jako posłowie do parlamentu zjawili się we Wiedniu, pisały ówczesne wiedeńskie dzienniki i pisma ilustrowane, iż jest to „das neu erfundene Volk vom Jahre 1848“.

Pewien sędziwy polityk polski, długoletni poseł do Sejmu galicyjskiego i wybitny działacz społeczny i narodowy dziś już ś. p. Wereszczyński, zwrócił uwagę moją na pewne szczegóły, mało lub wcale nie znane, oświeclające rozkładową działalność rządu austriackiego w Galicji, usiłującego już w latach 1820 do 1830 wytworzyć sztucznie antagonizm rusko-polski, bo cała mądrość polityczna Austrii polegała na wygrywaniu przeciwko sobie rozmaitych ludów, szczepów, ras i religij, które w jej skład wchodziły.

Po rozbiorach a nawet do połowy XIX wieku jeszcze, język ruski i jego używanie w mowie potocznej nie stanowiły wcale znamienia odrębnej narodowości. Zresztą inteligencja miejska i wiejska, a więc i wszyscy księża grecko-katoliccy mówili w domu po polsku i uważali się za Polaków. Świadomość narodowa u ludu polskiego zbudziła się ledwie w Krakowskiem pod wpływem powstania Kościusz-

kowskiego, armji Napoleońskiej i Królestwa polskiego; w Galicji wschodniej chłop czy to polski czy ruski nie wchodził wówczas w rachubę jako czynnik polityczny.

Zdarzało się jednak często, że ludzie zamożni a nawet właściciele większych obszarów używali w potocznem życiu języka ruskiego na przemian z językiem polskim, ale uważali się za Polaków i we wszystkich manifestacjach i okazjach politycznych brali udział. Cerkwie i probostwa grecko-katolickie w Galicji wschodniej hojnie były wyposażone przez szlachtę polską a w aktach grodzkich i ziemskich znajdujemy bardzo liczne akty darowizny gruntów ornych, łąk, stawów, lasów i całych folwarków cerkwiom i probostwom ruskim. Działo się to i na Ukrainie i w województwie ruskiem, to jest późniejszej Galicji wschodniej, gdzie zwłaszcza po zaprowadzeniu unji żadnej nie czyniono różnicy między obrządkiem łacińskim a greckim; wielu ze szlachty bogatej, obdarzonej liczniejszą rodziną tem chętniej kształciło synów swoich na księży grecko katolickich, że tu nie obowiązywał celibat i następstwo i dziedziczenie były zabezpieczone.

W szematyzmach urzędowych z pierwszej połowy XIX wieku znajdujemy w spisach duchowieństwa grecko-katolickiego mnóstwo nazwisk szlacheckich i polskich. Tak na przykład w szematyzmie z r. 1817 wśród duchowieństwa lwowskiego kapituły metropolitalnej i proboszczów znajdujemy czysto polskie i starszlacheckie nazwiska — Mochnacki, Lipnicki, Stworzyński, Sosnowski, Dębicki, Wiślocki, Świdziński, Michałowski, Wiśłobocki, Żelechowski, Dwernicki, Korecki, Nowodworski, Czyżewski, Biliński i t. d.

Nawet w stroju niczem się nie różnili proboszczowie i księża ruscy od polskich; zwykle nosili w codziennem użyciu szamerowane kapoty i konfederatki zawiesziste. Rząd austriacki widząc, że system józefiński zniemczenia Galicji nie przynosi spodziewanych rezultatów, obmyślił po r. 1820, zdaje się w czasie krótkotrwałego gubernatorstwa Taaffego lub Lobkowitza, projekt wychowania odrębnego ruskiego kleru, wierny zasadzie: *Divide et impera*, zasadzie, która ostatecznie tak zgubną okazała się dla istnienia Austrii i stała się główną przyczyną jej rozkładu i upadku. Ponieważ istniejące we Lwowie józefińskie seminarjum grecko-katolickie było jednym z naigłówniejszych ognisk konspiracyjnych i patriotycznych polskich, przeto rząd ówczesny utworzył we Wiedniu osobne seminarjum duchowne, tak zwane Central-Seminar, połączone z dwiema najwyższymi klasami gimnazjalnemi: filozofją i fizyką, które w owych czasach stanowiły już część studjum uniwersyteckiego. Tam w Wiedniu za pomocą specjalnie dobranych profesorów niemieckich, starano się w tej młodzieży, złożonej wyłącznie z alumnów z zamożnych, przeważnie szlacheckich domów, rozbudzić poczucie odrębności narodowej i nienawiść do Polski.

Ale zanim jeszcze skutki takiego wychowania mogły się okazać, zwrócił na to uwagę rząd rosyjski, poinformowany przez swojego ambasadora o tych dążeniach Austrii. Wkrótce zdarzyło się, że do Wiednia w charakterze członków ambasady rosyjskiej przybyło wielu młodych ludzi — sama szlachta i ludzie bogaci o głośnych nazwiskach. Nieznacznie a zręcznie starali się wejść ci panowie w styczność i przyjaźń z alum-

nami tego seminarjum. Doszło do tego, że każdy prawie alumn galicyjski miał jakiegoś opiekuna i protektora wśród Rosjan, którzy się z alumnami wesoło bawili, często płacili za nich długi i w serdecznej żyjąc zażyłości, zwolna potrafili w nich wmówić, że jeżeli nie są Polakami, to są Rosjanami a nie jakimiś Rusinami, bo każdy wykształcony Rusin jest Rosjaninem. To się tak przyjęło, że z tego seminarjum wiedeńskiego wyszedł cały zastęp wykształconych działaczy rosyjskich w Galicji, którzy dali początek tak zwanej „partji ruskiej“, trochę później staroruską zwanej. Z tego seminarjum wyszli tacy działacze, jak: Kuziemski, Naumowicz, Pawlików i cały szereg rusofilskich księży galicyjskich.

To byli pierwsi odstępcy polskiej narodowości, uważający siebie i lud grecko-katolicki w Galicji za Rosjan, utrzymujący zresztą z polską szlachtą przeważnie dobre stosunki.

Tacy też weszli pierwsi Rusini galicyjscy do parlamentu wiedeńskiego po roku 1860.

Późno, jak zwykle, spostrzegł się rząd austriacki na tej sztuczce, urządzonej mu przez „zaprzyjaźnionego sąsiada“ i dopiero około r. 1880 usiłował odrobić to złe przez nowy eksperyment, tak samo w skutkach nieudały.

Podczas gdy charakter Rady świętojurskiej, stworzonej przez gubernatora Stadjona i metropolitę Jachimowicza, był wyraźnie rusofilskim, usiłował rząd centralny wiedeński wytworzyć odrębną partję ruską, u którejby nienawiść do Polaków łączyła się z patriotyzmem austriackim i w tym celu upatrzył sobie człowieka, któryby do koła siebie skupił wyższe du-

chowieństwo ruskie i bardzo nieliczną wówczas garstkę inteligentów, którzy pod wpływem agitacji biurokratów niemieckich zerwali z Polakami i szli własną drogą, nie zdając sobie sprawy, ani nie wiedząc czego chcą i do czego dążą.

Spirydjon Litwinowicz, młody, przystojny alumn wiedeński, zwrócił na siebie uwagę najwyższych sfer rządowych i dworskich głównie dla swoich zalet towarzyskich. Litwinowicz nie był właściwie ani Polakiem, ani Rusinem ani Rosjaninem. To był, jak mówili Wiedeńczycy „ein Lebemann“, człowiek umiejący żyć i używać. Przygarnięto go do sfer najwyższej arystokracji austriackiej, posiadał więc dzięki temu ogromne stosunki i niezwykle wpływy. Mówiono nawet o dosyć dwuznacznym stosunku, jaki go łączył z arcyksiężną Zofją, matką późniejszego cesarza Franciszka Józefa I. a dzięki któremu wyrósł tak wysoko.

Otóż on właśnie, wyniesiony szybko na stanowisko metropolity lwowskiego (1859 do 1869) umiał skupić dokoła siebie takich księży ruskich, którzy nie chcieli się uważać ani za Polaków ani za Rosjan i którzy dzięki temu cieszyli się protekcją metropolity i rządu austriackiego, jeszcze wówczas w Galicji zupełnie prawie niemieckiego. Tylko tacy Rusini mogli dostąpić wyższych rang w urzędach sądowych i politycznych w Galicji, to też zwolna obok duchowieństwa zaczął się wytwarzać stan świecki, urzędniczy, odrębny od Polaków, jakkolwiek w potocznym życiu używający jeszcze ciągle języka polskiego a publicznie niemieckiego. Litwinowicz, podobnie jak przedtem w Wiedniu, tak później i w Galicji prowadził życie bardzo wystawne, na które zadłużył niesłycha-

nie dobra arcybiskupie. Słynne były jego przyjęcia i zabawy, które urządzał. Ale skutek tego wszystkiego był minimalny i przyczynił się chyba tylko do spaczenia charakteru narodowego Rusinów galicyjskich, których przywódcy od owego czasu ciągle w Wiedniu szukali swego zbawienia i nienawiść do wszystkiego, co polskie, nauczyli się uważać za równoznaczną z patriotyzmem państwowym austriackim i ruskim. Z ust wiarogodnych słyszałem opowiadanie o ostatnich chwilach życia tego dziwnego apostoła rusko-austriackiego. Kiedy członkowie kapituły otoczyli łożo umierającego metropolity a jeden z kanoników starał się go pocieszyć słowami: „Wir alle sehen uns bald wieder im Besseren Jenseit“ (Wszyscy się wkrótce zobaczymy na drugim świecie“), odpowiedział Litwinowicz „Wenns wahr ist!“ („Jeśli to prawda“!) Po tych słowach obróciwszy się do ściany wyzionął ducha.

Jak następnie za pośrednictwem szkoły i literatury ludowej wyodrębnił się język, w pisowni tylko od staroruskiego nieco odmienny, tak zwany fonetyczny, jak nastąpił zupełny rozłam między starorusinami czyli russofilami a galicyjskimi Rusinami, którzy przybrali nazwę Ukraińców, to należy już do historii najnowszych czasów*).

W latach przedwojennych, już od początku XIX wieku, pisma ruskie, obydwu odłamów, zięją zawziętą nienawiścią przeciwko Polakom i wszystkiemu co polskie, posłowie ruscy we Wiedniu i w sejmie lwowskim zajmują nieprzejednane stanowisko wobec wszel-

*) Michał Lityński, Przyczynek do historii Rusinów w Galicji Gazeta lwowska Nr. 109 z 13 maja 1919.

kich propozycji ugodowych polskich a chwiejna polityka sfer rządzących, popierająca na odmianę już to partję moskalofilską już to ukraińską, doprowadziła do takiego rozwydrzenia wśród Rusinów, że jako wynik jego należy uważać skrytobójcze morderstwo namiestnika Galicji hrabiego Andrzeja Potockiego we Lwowie na wiosnę r. 1908 r. przez Siczynskiego. Wstrząsający ten wypadek podzielał otrzeźwiająco na Polaków, nawet tych, którzy się jeszcze łudzili, że przecież uda się chociaż z pewną częścią inteligencji ruskiej dojść do porozumienia i zgodnego współżycia. Przecież Siczynski był najbliższym krewnym Kostja Lewickiego, jednego z przewódców samozwańczego rządu ukraińskiego z r. 1918. Skazanie na śmierć, lecz ułaskawienie a następnie ułatwienie ucieczki z więzienia Stanisławowskiego Siczynskiemu i dozwole nie na jego wyjazd zagranicę, było niewątpliwie dziełem tajnych konszachtów ukraińskich prowadzących z rządem austriackim po za plecami Polaków we Wiedniu. Odtąd owe tajne konszachty toczyły się dalej nieustannie, a chociaż pozornie rząd popierał w kraju dążenia ugodowe, które w końcu po długich, bardzo burzliwych naradach sejmowych, doprowadziły, głównie wskutek zręcznej polityki byłego namiestnika Korytowskiego, do uchwalenia i spisania ugody polsko-ruskiej, lecz ta ugoda, zresztą nieszczerą i wymuszona, pozostała tylko świszkiem papieru, nigdy nie zrealizowanym.

Tymczasem doniosłe wypadki dziejowe zbliżały się z szybkością lawiny i nie było już czasu do myślenia o naszych zaściankowych sprawach wobec groźnych pomruków burzy, która miała wkrótce cały

świat pograżyć na długie lata w odmętach nieprzebranych nieszczęść i przewrotów.

W niedzielę 26 czerwca 1914 r. byłem bardzo zajęty. Od wczesnego rana prawie przez cały dzień siedziałem w biurze przy ul. Akademickiej i pisałem a raczej dyktowałem do maszyny pewien akt sądowy. Całym wysiłkiem mego umysłu zajęty układaniem owego pisma, mało zważałem na to, co się tam działo na ulicy i tylko chwilami odrywałem się od pracy, aby spojrzeć przez okno.

A działy się tam rzeczy dziwne i niezwykle!

O wczesnej godzinie popołudniowej zabrzmiały dźwięki muzyk wojskowych i cywilnych, grające rozmaite jakieś marsze na motywach ludowych pieśni ruskich skomponowane, jak „Nechody Hryciu na wieczernyciu“, kołomyjki i kozaki, a środkiem ulicy polskiego miasta Lwowa sunął pochód kilkutysięczny rozmaitych drużyn młodzieży, chłopów i dziewcząt ruskich w odświętnych malowniczych strojach w wojskowym ordynku.

Tak chłopci, jak i młodzież uzbrojona była w karabiny wojskowe austriackie, w manlichery i broń przyboczną, lub poprostu w zwykłe pałki, a między nimi jako komendanci postępowali podoficerowie i żołnierze austriaccy w mundurach. Wszyscy mieli wstęgi niebiesko-żółte lub przynajmniej kokardy tego koloru do czapek, serdaków i kożuchów przypięte. Niezwykłość tego widoku zwabiła mnóstwo ludzi na ulice, chociaż to była godzina poobiednia a dzień był bardzo upalny. Dopiero później dowiedziałem się, że cały ten pochód, zaaranżowany przez Ukraińców w cisłem porozumieniu z rządem centralnym we Wie-

dniu miał na celu polityczną demonstrację przeciwko polskim strzeleckim drużynom, które właśnie na wiosnę tego roku odbyły pod Lwowem większe ćwiczenia polowe. Lecz kiedy polskim strzelcom nie wolno było urządzać pochodów w obrębie miast większych a przynajmniej starano się do tego nie dopuszczać, to ten ruski pochód sam rząd i wojskowość urządziły i wyekwipowały a na placu w parku Stryjskim, gdzie się ten pochód udał, odbyła się rewja w obecności głównego komenderującego miasta Lwowa a nawet namiestnika i innych rządowych dygnitarzy na wyraźny rozkaz z Wiednia.

Gdy sobie przypomniemy, że wówczas polityczne rządy w Austrii sprawował wobec zgrzybiałego wieku cesarza Franciszka Józefa, jego bratanek i następcę tronu, arcyksiążę Ferdynand, to zrozumiemy, że pogłoski o jego nieprzyjaznym do Polaków stosunku, były prawdziwe a ów pochód urządzony we Lwowie, jako w głównym ognisku polskiego ruchu strzeleckiego miał być demonstracją i przestrogą dla Polaków, że rząd austriacki może w każdej chwili poruszyć przeciwko nim „tym przeklętym rewolucjonistom“ (gegen diese verfluchte polnische Revolutionäre) ciemne masy ruskiego chłopstwa, nazywające się i nazywane przez Niemców szumnie „Tyrolczykami Wschodu“ (die Tiroler des Ostens)!

Była ledwie godzina czwarta popołudniu, kiedy znowu zostałem oderwany od mojej pracy okrzykami i wrzawą dochodzącą z ulicy; zbliżyłem się do okna i ujrzałem tym razem liczne grupy publiczności zebrane w rozmaitych miejscach i żywo rozmawiające. Widać było, że coś musiało zająć niezwykłego. Przed

wejściem do kasyna miejskiego stał automobil w którym siedziało dwóch panów, a dokoła otaczał ich zwarty tłum publiczności, której oni coś opowiadali. Z ulicy dochodziły rozmaite odgłosy, ale z powodu gwaru i ruchu powozów nie można było nic zrozumieć. Po chwili weszła służąca z doniesieniem, że „cesarza zamordowali“. Poruszony tą wiadomością telefonowałem w rozmaite strony, a szczególnie do redakcji. Lecz tam o tej porze nie było nikogo i tak dopiero w dobrą godzinę dowiedzieliśmy się prawdy: „Tego samego dnia w niedzielę 26 czerwca o godzinie południowej został arcyksiążę Ferdynand i jego żona zabici strzałami z rewolwerów przez spiskowców serbskich w chwili, kiedy po uroczystem przyjęciu w ratuszu w Serajewie wracali automobilerem przez miasto publicznością natłoczone. Sprawcy zostali ujęci“ *).

Wkrótce zjawiły się w mieście nadzwyczajne dodatki dzienników, pierwsze w okresie przedwojennym, potwierdzające w zupełności całą wiadomość z dodaniem szczegółów, nazwisk spiskowców i t. d. i wskazujące na Serbję, jako inicjatorkę tego morderstwa. Żywo omawiano ten wypadek i wysnuwano z niego wszelkie możliwe następstwa: ponowne opróżnienie miejsca następcy tronu w państwie Habsburgów w podobnie tragiczny sposób jak niedgdyś wskutek samobójstwa Rudolfa, omawiano osobę następcy tronu, arcyksięcia Karola, syna Ottona, po-

*) Tak wielce zależało sferom rządowym na odbyciu się demonstracji ruskiej, że wiadomość tę już o godzinie 2 popołudniu nadeszłą do namiestnictwa zatajono i nie zaniechano pochodu i rewji ruskiej.

wszechnie przypuszczano wojnę z Serbją i nową bałkańską zawieruchę; rozważniejsi widzieli nawet możliwość większych zawikłań ze względu na stanowisko Rosji, od dawna głośnej opiekunki Serbów i wicherzycielki na Bałkanie — ale zdaje się nie tylko u nas, lecz na całym świecie z wyjątkiem Berlina, nikt wówczas nie spodziewał się i nie myślał o wojnie Niemców z Francuzami a coś dopiero o wojnie, w której miały wziąć udział ludy całego świata.

To też gdy minął tydzień jeden i drugi a oprócz wiadomości dziennikarskich o żywej wymianie not dyplomatycznych i powrocie monarchów i dyplomatów z letnisk do stolic — nie było jednak widać żadnych nadzwyczajnych przygotowań do wojny, gdy zdawało się, że skończy się może na procesie sądowo-politycznym wytoczonym Serbji i wykryciu właściwych sprawców Serajewskiego nieszczęścia, jakoteż odpowiedniemi ich ukaraniem, umysły powoli uspakajały się, pierwsze wzburzenie przeminęło, a ludzie powracali zwolna do swoich zwykłych zajęć i normalnego trybu życia. Uzdrowiska i miejsca kąpielowe były nadal przepełnione a handel i przemysł pracował zupełnie prawidłowo. Jeśliby nawet miało przyjść do wojny, tak mówiono sobie, to najpierw będzie to wojna lokalna a potem nie potrwa długo. Przecież najtężsi ekonomiści i strategicy przedwojenni wykazywali w swych sławnych dziełach, że wobec olbrzymiego postępu techniki wojennej i niemożliwości wyżywienia długo mas miljonowych, przyszłe wojny będą krótkotrwałe i same załamią się w sobie a w danym wypadku skończy się cała wojna zapewne na ukaraniu i upokorzeniu Serbji i może na chwi-

lowem zajęciu Belgradu przez Austriaków. Więcej jak kilka tygodni to nie potrwa.

Więc i ja, załatwiwszy sprawy we Lwowie, powróciłem do Czerniowiec i do kopalni węgla w Dżurowie, której stan był wówczas kwitnący.

Latem zwykle w kopalniach węgla robią się większe przygotowania do kampanji zimowej.

Dlatego lipiec upływał mi na ciągłych wyjazdach z Czerniowiec do Dżurowa i Widynowa i na gospodarskich naradach z zarządem kopalni.

Lecz już w połowie miesiąca znalazłem się znowu we Lwowie wezwany przez adwokata. Tak się zdarzyło, że mogłem wówczas właśnie pożegnać się z odjeżdżającym do Włoch i na Sycylię moim przyjacielem i kolegą zawodowym Dr. Michałem Janikiem. O jakże mu zazdrościłem tej podróży na południe, które mię zawsze tak bardzo ciągnęło zarówno klimatem swoim boskim, jak i skarbami sztuki, jaki nic równego nie ma na świecie całym.

Nie wiedziałem, że ta jego podróż tak rychło i gwałtownie przerwana zostanie i że się ujrzymy wkrótce w zupełnie zmienionych warunkach życia.

Pewnego dnia na dworcu kolejowym w Winnikach, pode Lwowem, oczekując na pociąg powrotny siedziałem z kilku znajomymi na ławeczce na peronie. Czytaliśmy „Gazetę Poranną“, właśnie nadeszłą: Dziennik donosił o groźnych chmurach zbierających się na horyzoncie Europy. Przyszły mi na myśl owe pogodne i gorące dni lipcowe w r. 1870, gdy nagle z Ems, spokojnego miejsca kąpielowego podniosła się chmura, z której wkrótce wypadły ogniste pio-

runy wojny francusko-niemieckiej i wstrząsnęły całą Europą. Byłem wówczas 10-letnim chłopakiem, lecz chciwie nastawiałem ucha na wieści, czytane z gazety przez mego ojca i matkę siedzących w taki sam piękny pogodny dzień na ganeczku dworku naszego w Monasterzyskach. Jakie to nadzieje wówczas budziły się w sercach polskich, jak błyszczały oczy, rumieniły się oblicza, jak całą duszą wówczas wszyscy sprzyjaliśmy Francji.

Wkrótce potem wypadła mi podróż do Wiednia. W podróży tej towarzyszył mi dawny przyjaciel naszej rodziny, zasłużony ksiądz prałat z Kochawiny Jan Trzopiński, z którym ułożyliśmy się, że po szczęśliwym załatwieniu spraw naszych we Wiedniu, zrobimy sobie choćby kilkudniową wycieczkę w Alpy.

We Wiedniu krzątałem się żwawo i czas nam upływał na licznych audjencjach w ministerstwach i parlamencie. Upał był niebywały a wśród rozpalonych murów i bruków trudno było oddychać. To też z uczuciem wielkiej ulgi powitaliśmy ulewny deszcz. Było to popołudniu 23 lipca, gdyśmy siedzieli przy kawie na Grabenie. W tym czasie zdecydowani byliśmy na wyjazd do Iszlu, gdzie stale od wielu lat spędzał czas letni cesarz Franciszek Józef i gdzie bawił także minister Biliński z rodziną. Ksiądz prałat Trzopiński, dobry znajomy i przyjaciel rodziny państwa Bilińskich, postanowił tam ich odwiedzić a mnie uśmiechała się myśl poznania przy tej sposobności tego czarownego zakątka Wysokich Alp i słynnej pięknością stolicy Salzkammergut.

Ulewa nie ustawała, powietrze się nieco ochłodziło, gdy nagle od strony Kärtner-Strasse, wypadło

kilku chłopaków i z okrzykiem: „Extra-ausgabe, Ultimatum au Serbien“, rozbiegło się na wszystkie strony, roznosząc nadzwyczajne dodatki dzienników. Później w czasie wojny te „Extra ausgaben“ były codzienną strawą Wiedeńczyków i zawierając szumne sensacje po największej części kłamliwych wieści o ogromnych zwycięstwach państw centralnych — nie robiły prawie żadnego wrażenia. Lecz wówczas wiadomość ta była zbyt aktualną a chociaż to już blisko miesiąc czasu upłynął od morderstwa w Serajewie, jednak była zbyt widocznym jego następstwem i przybliżała możliwość wybuchu wojny. Poruszenie wśród niemieckiej publiczności było ogromne a z podnieconych rozmów i okrzyków można było poznać zadowolenie, z jakim przyjęto tę wiadomość.

Ogólnie cieszyli się Niemcy wiedeńscy, iż raz wreszcie rząd austriacki wyjdzie ze swojej bierności i kunktatorstwa i ukarze przykładowie tego niespokojnego sąsiada słowiańskiego, który chociaż sam słaby i biedny, odważa się ciągle wichrzyć i niepokoić bogatą i potężną monarchję. O tem, że Austro-Węgry wskutek okupacji a niedawno aneksji Bośni i Hercegowiny, same ograbiły tego sąsiada z czysto sebrskich krajów i uczyniły go słabym i biednym, że zamknęły mu drogę do zjednoczenia narodowego i dążenie do tego uważały za zdradę stanu, o tem nikt wówczas nie pomyślał. Przeciwnie, ekspansja germańska ku Tryjestowi, bardzo silna w Austrii przed wojną i całą siłą popierana przez rząd berliński i Niemców pruskich, widziała w tej wojnie z Serbją, pożądaną dla siebie sposobność rozpostarcia się i umocnienia tam na południu i usunięcia przeszkód stawianych

na tej drodze przez młode, słowiańskie i już dlatego nienawistne jej państewka bałkańskie. Chociaż ostry ton noty dyplomatycznej zawierającej ultimatum i wprost upokarzające warunki, jakie rząd austro-węgierski podyktował Serbji, raczej kazały się spodziewać odmowy i bliskiego wybuchu wojny, jednak po krótkiej naradzie postanowiliśmy nie zmieniać planu podróży do Iszlu i to tem bardziej, że tam w pobliżu dworu monarszego i przez wtajemniczonego we wszystko pana ministra Bilińskiego, spodziewaliśmy się dowiedzieć dokładniej o bliskich możliwościach politycznych i do tego się zastosować.

Więc nazajutrz 24 lipca o godzinie 1 w południe wyjechaliśmy z Wiednia pospiesznym pociągami a spędziwszy kilka godzin na nieustannem podziwianiu prześlicznych widoków alpejskich około 7-mej wieczorem, znaleźliśmy się w Iszlu, przepełnionym letnikami i tylko z trudem uzyskaliśmy dwa pokoje w hotelu „Goldenes Kreuz“, położonym w środku miasteczka przy Kreuz-placu.

W pośród uroczej kotliny, ze wszystkich stron otoczonej wysokimi górami, w miejscu, gdzie rzeka Iszl wypływająca z jeziora Wolfgang, łączy się z rzeką Traun, mieści się to słynne zdrojowisko, szczególnie cenione dla swego położenia, wolnego od przeciągów i wichrów, dla wspaniałych otaczających je zewsząd lasów i źródeł solnosiarkowych. Miasteczko, liczące kilka tysięcy mieszkańców, lecz w czasie wielkiego zjazdu gości i po nad dwadzieścia, posiada szereg prześlicznych wil, pałaców i z największym komfortem urządzonych hoteli, w których często gościli członkowie rodzin panujących i sfer arystokra-

tycznych, ciągnących tu za dworem cesarskim. Często też lszył był miejscem zjazdów i narad politycznych. Wszelkie urządzenia wygodnego i przyjemnego pobytu, kanalizacja, wodociągi, oświetlenie elektryczne sanatorium, pensjonaty, Kurhaus, wspaniałe promenady i prześliczne dalekie aleje leśne, ściągają tu latem liczne międzynarodowe towarzystwo. Słynna Sophien Esplanade, długa cienista aleja wzdłuż rzeki Traun jest korsem eleganckiego świata, gdzie w godzinach południowych i wieczornych roi się od gości strojnych i gdzie grywają najlepsze kapele koncertowe. Życie sportowe rozwija się tu również w sezonie bardzo żywo, stąd wyruszają na wszystkie strony liczne wycieczki górskie, lecz do najmielszych i najbardziej uroczych należą przejażdżki parowcami na bliskich jeziorach alpejskich, jak Hallstatt i St. Wolfgang. Cesarz austriacki wraz z dworem zamieszkiwał w Iszlu we własnym pałacu otoczonym wielkim parkiem, odłączonym rzeczką od miasta; liczne dworskie automobile i powozy uwijały się często po ulicach wioząc dygnitarzy i gości, wśród których zauważyliśmy w owych dniach niezwykle licznych panów w mundurach pruskich i błyszczących pikelhaubach.

Rozeszła się nawet wśród publiczności pogłoska, że to sam cesarz Wilhem przybył w odwiedzinach do cesarza Franciszka Józefa; że tam jednak byli w tej wielkiej chwili dziejowej jego najzaufańsi wysłannicy, którzy z jego rozkazu wprost wymusili na zniedołężniałym starcu ostateczną decyzję wypowiedzenia wojny — o tem dziś już nikt nie wątpi.

Ale wówczas, któżby się był spodziewał, że z tego zakątka górskiego, z tego zdrojowiska, odda-

nego odpoczynkowi, leczeniu zdrowia i zabawom, wyjdzie już w kilka dni po naszym tam przybyciu hasło do burzy wojennej, która jak najszańszy orkan pogrążyła świat cały w odmetach najstraszniejszych nieszczęść a wielu milionom ludzi młodych i dzielnych przyniosła śmierć a ich rodzinom ostateczną rozpacz i nędzę.

Kilka dni pobytu w Iszlu upłynęło nam bardzo przyjemnie; nie tylko poznaliśmy samo zdrojowisko i jego niezwykle urządzenia, lecz nawet zrobiliśmy kilka wycieczek w okolice i tak zaraz nazajutrz po przyjeździe dłuższą pieszą wycieczkę wspaniałą aleją leśną aż do pomnika cesarza Franciszka Józefa w myśliwskim stroju tyrolskim na sztucznym podnóżu skalnym, a popołudniu tegoż dnia najpierw koleją, a potem parowcem do St. Wolfgang na jeziorze tegoż nazwiska, gdzie podziwialiśmy gotycki kościół parafialny z XV. wieku, a w nim słynny piękną wielki ołtarz, arcydzieło niemieckiej sztuki snycerskiej, wykonany przez Michała Pachera w r. 1481, a także starożytny posąg św. Wolfganga, pustelnika. Tak żywo przypominają te kolorowe i wyłacane rzeźby krakowskie ołtarze Wita Stwosza i tak samo tysiącem szczegółów przykuwają oko i zachwycają.

Po powrocie koleją był ksiądz prałat Trzopiński tak zmęczony, że wcześniej po kolacji spać się położył, ja zaś udałem się do kawiarni przy głównej ulicy miasta, wprost naprzeciw hotelu „Zur Post“ i tam na werandzie przy czarnej kawie przeglądałem dzienniki. Była to pamiętna w dziejach wojny światowej sobota 24 lipca 1914, bo tego dnia upływał 48 godzinny termin, naznaczony Serbji do odpowiedzi

na ultimatum austro-węgierskie. Dzienniki były pełne najsprzecznějších wiadomości, lecz przeważnie uspakajających i zapewniających, iż Serbja nie odważy się odrzucić chociaż tak srogię i poniżającego ją aktu dyplomatycznego i całe to zaostrenie sytuacji rozplynie się w notach i konferencjach politycznych:

Jakoż istotnie spokojny nastrój publiczności w Iszlu zdawał się potwierdzać te przypuszczenia. Około 6 godziny wieczorem na Sophien-Promenade rozeszła się nawet wieść, iż Serbja przyjęła warunki ultimatum i zaraz zapanowała głośna radość wśród gości kąpielowych, iż będą mogli spokojnie oddawać się leczeniu i rozrywkom. Muzyki zagrały uroczyste hymn cesarski i melodje narodowe niemieckie, które publiczność przepełniająca o tej porze promenadę, hucznie oklaskiwała. Gdy zbliżył się wieczór, zwolna opustoszały parki i ulice, a przepełniły się restauracje i pensjonaty rzęsiście oświetlone. Była godzina 9-ta wieczorem, gdy zauważyłem z mego stanowiska na werandzie kawiarnianej, jak przed bramę hotelu „Zur Post“ po przeciwnej stronie ulicy, zajechał cesarski automobil, ozdobiony po bokach wysrebrzonym herbem monarchji. Z automobilu wysiadł jakiś pan w ciemnym ubraniu i wszedł do wnętrza jasno oświetlonego westybulu hotelowego. W tej chwili zauważałem także jak z wnętrza, czy też od klatki schodowej zbliżył się do niego ktoś z hotelowych i oddał mu ukłon głęboki. To mię zastanowiło, ale jeszcze bardziej byłem zaintrygowany, gdy spostrzegłem, jak koło szofera cesarskiego automobilu zebrała się w jednej chwili dosyć wielka grupa ludzi i coś tam żywo rozmawiano i gestykulowano. Ludzi

było coraz więcej i gwar się zwiększał, ale właśnie dlatego nie mogłem zrozumieć, co się stało. Zawołałem szybko „zahlen“ i po chwili znalazłem się w tłumie na ulicy. „Kriegserklärung“ to było słowo, które leciało z ust do ust, budząc potężne wrażenie i niepokój. Kto przyniósł tę wiadomość, kto jest ten pan ze dworu, pytano? „Herr von Prileski, Wirtschaftsdirektor Seiner Majestät des Kaisers“. Soeben wurde der Krieg an Serbien erklärt! była odpowiedź.

Trudno opisać, co się działo w całym Iszlu. Mnóstwo ludzi wylęgło na ulicę, krzyk, gwar, poruszenie niezwykle. Niepokój ogarnął wszystkich, restauracje i kawiarnie przepełnione, opowiadano, krzyczano, odgrażano się Serbom i wszystkim Słowianom i pito na umor do późnej nocy.

Byli i tacy, którzy powróciwszy do mieszkań, czempředzej pakowali się i jeszcze tej samej nocy wyjechali do domu.

Ja w pierwszej chwili miałem zamiar także pójść do hotelu, obudzić księdza Trzopińskiego i naradzić się, co robić dalej. Lecz zrobiło mi się żal niepokoić zmęczonego towarzysza podróży i poszedłem do jakiejś winiarni, gdzie przypadkiem poznałem się z pewnym włoskim towarzystwem, złożonem z pań i panów i na bardzo ożywionej rozmowie o mających nastąpić wypadkach i zawikłaniach wojennych, upłynął nam czas do bardzo późnej a raczej już wczesnej nocnej godziny.

Rano w niedzielę obudziłem się dosyć późno. Postanowiliśmy poddać sprawę naszego dalszego pobytu lub wyjazdu z Iszlu rozstrzygnięciu ministra Biłińskiego, którego o radę w tym względzie miał za-

pytać ksiądz Trzopiński. Przy tej sposobności poznałem jeszcze jednego Polaka, młodego księdza Markowskiego i tak we trójkę naradzając się, postanowiliśmy przecie jeszcze na każdy sposób niedzielę spędzić w Iszlu. Od rana mżył deszczyk.

W samo południe pojawiły się na murach wielkie żółte plakaty, ogłaszające zastanowienie ruchu wielu pociągów, łączących północne i wschodnie części monarchji z granicą Serbji, aby zrobić miejsce dla transportów wojskowych. To wywołało nowy niepokój wśród publiczności, mnóstwo rodzin pospiesznie opuszczało Iszl, hotele i pensjonaty na gwałt się opróżniały a w kierunku dworca kolejowego zdążyły całe szeregi powozów, przepełnionych podróżnymi i tobołami.

Po obiedzie w hotelu „Goldenes Kreuz“, wybrał się ksiądz Trzopiński do państwa Bilińskich a ja z księdzem Markowskim wybrałem się na jeszcze jedną wycieczkę do Hallstadt, o którego niezwyklej piękności już dawno słyszałem. Czarowna rzeczywistość przeszła wszelkie oczekiwania. W niespełna godzinę jazdy kolejowej z Iszlu, znaleźliśmy się na stacji w Steeg nad brzegiem jeziora i stąd parowcem prawie przez całą długość jego, 8 kilometrów wynoszącą, przeprawiliśmy się na ciemno zielonej toni, wśród niebotycznych, bardzo stromo opadających wieszarów górskich, do malutkiej, bardzo schludnej, i jakby do ściany górskiej przylepionej osady Hallstadt.

Grupa białych domków, obok i nad sobą skupionych, zajmuje pas wybrzeża, ledwie kilkanaście kroków szerokości mający między jeziorem a spa-

dzistym stokiem górskim w tem miejscu drzewkami porośłym; na cyplu górskim wśród domów wznosi się dosyć wyniosła budowa kościoła katolickiego a dalej na lewo nad brzegiem jeziora, okolony małym parkiem ukazuje się kościół ewangelicki z typową spiczastą wieżą, czerwoną blachą pokrytą. Pierwszy rząd domów i rozmaitych przybudówek wyrasta wprost z toni jeziora. Okręt przybija do samego brzegu, gdyż jezioro Hallstackie ma przeszło 300 metrów głębokości.

Miasteczko Hallstadt liczy zaledwie 800 mieszkańców, posiada zarząd salin i lasów, zakład kąpielowy i szkołę zawodową snycerstwa i obrabiania marmurów, których łomy znajdują się w pobliżu w górach. Jest tu także małe muzeum przedhistorycznych wykopalisk, które w wielkiej ilości w okolicy odkryto. Są to pamiątki z epoki celtyckiej, rozmaite przedmioty, jak broń i ozdoby z brązu, które głównie jednak wywieziono do Wiednia, tak, że niewiele na miejscu pozostało.

Nadchodził wieczór, trzeba było wracać, więc zwiedziwszy wszystko tylko bardzo pobieżnie i zakupiwszy kilka drobnych przedmiotów z drzewa wyrzeźbionych na pamiątkę, przeprawiliśmy się parowcem na drugą stronę jeziora do stacji kolejowej i wkrótce wchodziliśmy w oświetlone i gwarne ulice Iszlu z niezapomnianem wrażeniem w duszy.

Zbudziła nas przykra rzeczywistość, wojna, wojna! Odczuwało się ją już na każdym kroku. Wyjazd gości kąpielowych trwał w całej pełni i wzmógł się raczej. Przybywszy do naszego hotelu, ujrzelśmy księdza Trzopińskiego zajętego przygotowaniem do po-

droży, więc już nawet nie pytaliśmy go o wynik konferencji ministerjalnej.

Wieczorem, w wielkiej restauracji, gdzieśmy się udali na kolację, upłynął nam czas bardzo niemile i niespokojnie. Niemiecka publiczność silnie podniecona, nieustannie wznosiła okrzyki hurra! na cześć monarchów austriackiego i niemieckiego i groźby pod adresem Serbów i wszystkich Słowian; co chwilę trzeba było powstawać z miejsca i wysłuchiwać grane przez orkiestrę hymny: „Gott erhalte“, „Heil dir im Siegeskranz, Deutschland über Alles i Wacht am Rein, wreszcie z wielkim aplauzem węgierski marsz Rakoczego. Było nam bardzo nieswojsko, jakieś nieufne i podejrzliwe oczy spoglądały na nas zewsząd, jakby na intruzów, którzy w tej demonstracji politycznej nie biorą szczerego udziału.

Kiedy to się działo — tymczasem już w tej samej chwili, licznymi szlakami kolejowymi z północy i wschodu, toczyły się ku granicy serbskiej olbrzymie pociągi, przeważnie słowiańskimi żołnierzami, Polakami, Czechami i Rusinami przepełnione, aby rozpocząć bratobójczą wojnę, w imię tych hasła pangermańskich tak szumnie okrzykiwanych. Wieczne przekleństwo niewolników!

Nazajutrz o godzinie 11. przedpołudniem, opuściliśmy Iszl pociągiem pospiesznym i nie zatrzymując się we Wiedniu, przyjechaliśmy na dworzec północny i zaraz wyruszyli dalej wprost do Lwowa, gdzieśmy stanęli 28. lipca o godzinie 10. rano. Gnały nas coraz bardziej niepokojące wiadomości, które ze wszystkich stron świata nadchodziły. Nawet w przedziale I. klasy, którym jechaliśmy, panował ścisk nie

do opisania i tylko z trudem udało się zdobyć miejsce siedzące dla księdza prałata.

Zaledwie kilka godzin zatrzymałem się we Lwowie i zaraz odjechałem do Czerniowiec, a nazajutrz do Dżurowa, aby odbyć naradę z kierownikiem inżynierem Drobniakiem w sprawach kopalni węgla. Wielu górników powołano do służby wojskowej, musieli więc natychmiast odejść, a moje telegraficzne przedstawienia u władz nic nie pomogły. Zresztą już 31-go lipca o godzinie 3. po południu ogłoszono w Czerniowcach ogólną mobilizację, co było widocznie skierowane przeciwko Rosji, jakkolwiek dzienniki o tem milczały, a konsul rosyjski, Polak p. Dobrowolski, pozostał nadal na swoim stanowisku, w mieszkaniu przy Herrengasse, ozdobionem na zewnątrz dwugłowym orłem rosyjskim. Natychmiast ruch pociągów kolejowych oddano pod kierownictwo władzy wojskowej i zmieniono cały rozkład jazdy. Mobilizacja była dla kopalni węgla w Dżurowie wielkim ciosem, gdyż większa część robotników, wszyscy urzędnicy i kierownik będący oficerem rezerwowym artylerji, musieli natychmiast odejść do swoich oddziałów wojskowych. Kopalnia produkowała wówczas około piętnaście wagonów węgla dziennie i miała stałą dostawę dla kolei państwowej i okolicznych fabryk. To wszystko nagle musiałoby ustać. Dlatego zaraz udałem się do Lwowa, aby u władz wyższych w namiestnictwie i komendzie generalnej, wyjednać ulgi dla tego przemysłu, tak bardzo zresztą dla celów wojennych niezbędnego. Ale niestety, natrafiłem wszędzie na taki chaos i na brak zrozumienia moich postulatów, że wszelkie zabiegi na nic się nie przydały,

a niemiecka wojskowość posądzała mnie nawet o „niepatriotyczny” sposób myślenia.

Prześliczna ciągle panowała pogoda i upały we Lwowie, który w tych pierwszych dniach sierpniowych zmienił swój wygląd nie do poznania. Ruch na ulicach szalony, niebywały, tysiące i tysiące ludzi ciągnie do koszar, starzy i młodzi. Uspokobienie wesołe. Na ulicach co chwilę rozbrzmiewają pieśni narodowe, grają muzyki wojskowe, po kawiarniach i restauracjach przemawiają okolicznościowi politycy, wszyscy niezwykle poruszeni i podnieceni.

Wracając z Brzuchowic, dokąd udałem się odwiedzić rodzinę, ujrzałem na wzgórzach żołnierzy i robotników zajętych pracą około okopów, co było w owej chwili czemś niezwykłym i stawiało przed oczy nasze możliwość niebezpieczeństwa wojennego dla samego Lwowa. W mieście ruch olbrzymi. Mówią o pojawieniu się Kubańców w Sokalskiem, a nawet o patrolach kozackich w lasach brzuchowickich.

W nocy powracam do Czerniowiec, gdzie postanawiam spędzić czas wojny, która, jak się wówczas wszystkim zdawało, może najwyżej potrwać kilka miesięcy. Na dworcu i w wagonach ścisk niesłychany, tak, że z trudnością zdobywam miejsce w korytarzu, na którym stojąc przepędzam noc całą. Pociąg nasz odjeżdżający o godzinie 12 w nocy żegna głośny śpiew żołnierzy z sąsiedniego peronu: „Jeszcze Polska nie zginęła“!

To nasi Strzelcy odjeżdżają do Krakowa.

II.

Geneza wojny światowej. — Nadzieje Polaków. —
Różnymi drogami do wspólnego celu. — Legjony. —
Dzień 6 sierpnia 1914. — Lwów w przededniu wkro-
czenia Rosjan. — Ostatnie chwile w Czerniowcach
i na Bukowinie. — Rosjanie pod Krakowem.

Wenn Kronen-Raub dir einst gelang,
Wenn dir vor Völker-Mord nicht bang,
Wenn ohne Scham du und Erbarmen
Mit Füßen trittst des Schwachen gutes Recht,
Und hinter Häschern steckend und Gendarmen
Dich brütestest nur als ein Tyrannen Knecht,
Wenn ganze Welt erlag in Blut und Flammen,
Bist du ein grosser Mann noch lange nicht
Und sieh — ich nenne keinen Namen —
Und jeder kennt dich gleich — du feiger Wicht!

Wiersz powyższy pojawił się jako anons bez tytułu i podpisu na ostatniej stronie „Dziennika Polskiego“ we Lwowie w r. 1880, tuż po słynnych „rughach pruskich“ t. j. wyrzuceniu 40.000 włościan polskich z Poznańskiego przez ówczesnego kanclerza Niemiec Bismarka. Autorem wiersza był słynny satyryk i literat lwowski Jan Lam, który w owym czasie pisywał stale w „Dzienniku Polskim“ pamiętne Lwowianom kroniki tygodniowe, poruszając wszelkie wypadki chwili bieżącej nie tylko bardzo dowcipnie i interesująco, lecz nieraz, gdy chodziło o ważne sprawy polityczne, w sposób rozumiały tylko autorowi i czytelnikom, a usuwający się z pod ołówka cenzora. I wówczas, gdy się pojawił ten wiersz, uszedł zrazu domyślności cenzury i dopiero, gdy w kilka dni później Borkowski, redaktor „Djabła“ w Krakowie, powtórzył go w swem piśmie z przydatkiem „Do B“ w tytule i z literami J. L. u dołu, rozpętała się cała burza w policji i prokuratorji lwowskiej. Nie tylko po księgarniach i trafikach, lecz nawet w lokalach pu-

blicznych, redakcjach, kasynie, klubach i towarzystwach akademickich przedsięwzięto rewizje i poszukiwania, a redaktora „Dziennika Polskiego“ i Lama pociągnięto do karno-sądowej odpowiedzialności za obrazę „wielkiego ministra zaprzyjaźnionego państwa“. Podobno nawet Lam kilka dni przesiedział w więzieniu, co mu zresztą bardzo dobrze zrobiło, bo prowadził życie bardzo niehygieniczne i ekscentryczne, stale zamieniając dzień na noc i odwrotnie. Co wieczór około godziny 10-tej zbierało się towarzystwo literatów, dziennikarzy i artystów dramatycznych najpierw w tak zwanej „Kiszce literackiej“, t. j. bocznym wąskim pokoju w cukierni Macieja Kosteckiego w gmachu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego przy ul. Karola Ludwika (dzisiejszej Legionów) a następnie już późno w nocy kończyło swe zebranie zazwyczaj w kawiarience u „cioci Superłowej“ przy ul. Grodzickich,

Przypominam sobie, jak w owych czasach szalonego ucisku pruskiego w Poznańskim, witał nas genialny Jan Lam deklamacją pierwszego ustępu z Konrada Wallenroda: „Sto lat mijało, jak zakon krzyżowy we krwi pogaństwa litewskiego brodził“... To było hasło do rozmowy o groźą przejmujących wypadkach dzikiego podeptania wszelkich boskich i ludzkich praw biednego naszego narodu przez Prusaków w dobie obecnej, gorzały lica, biły gorąco serca i ścisnęły się dłonie, a w uczuciu bezsilności i przegnębienia błagaliśmy tylko Boga słowami Wieszcza: „Wielką wojnę narodów racz nam dać Panie“!

Stało się! Chociaż jeszcze dopiero po kilku dziesiątkach lat prośba nasza wysłuchaną została. Nadeszła wielka wojna narodów, niosąc nam zbawienie

i wolność, łamiąc i upokarzając tę piekielną pychę i zarozumiałość prusko-niemiecką i zadając kłam tym spaczonym wyobrażeniom i hasłom nacjonalistycznej filozofji i polityki pruskiej, stawiającej siłę przed prawem i ponad prawem.

Krwawa tradycja krzyżackiego zakonu żyła dalej u pruskich Hohenzollernów, a cała historia tego rodu jest jednym pasmem zbrodni, popełnianych na prawie narodów. Wielki kurfirst przysięga dochowania sankcji pragmatycznej, poręczającej nienaruszalność granic Austrii, a Fryderyk Wielki w czasie największego pokoju napada i zajmuje Śląsk. Ten sam Fryderyk, pierwszy przedkłada projekt podziału Polski, a jego następcy, dokonawszy tej zbrodni, depcą własne przyrzeczenia zachowania narodowości i praw nieszczęśliwego narodu i doprowadzają do tego, że hasłem pruskich polityków w stosunku do Polaków staje się bismarkowskie „ausrotten“.

Zwycięstwo nad Francją w r. 1870, stwarzając podstawy mocarstwowego stanowiska Niemiec, było początkiem nowej nauki o państwie i jego znaczeniu, nauki zgubnej, opartej na machjawelskiem przykazaniu: „cel uświęca środki“, na uwielbieniu siły, której wyrazem jest państwo i brutalnem pomiataniu wszystkimi i wszystkim, co nie było niemieckie i z ducha pruskie. A ponieważ najwyższym wyrazem siły państwowej i jej zewnętrznym objawem jest wojsko i wojna, więc stąd poszło to uwielbienie militarystyki i wojny, niemal jako celu istnienia na świecie narodu i państwa niemieckiego. Temu najwyższemu celowi było wszystko podporządkowane a wychowanie młodzieży, doktrynerstwo profesorów najwyższych uczelni,

dzieła filozoficzne i polityczne, a wreszcie cały ton prasy niemieckiej i działalność stronnictw, przejętych krańcowym szowinizmem narodowym zatrwały całą umysłowość niemiecką w okresie przedwojennym.

Dziś już nikomu nie jest tajem, że moralnym i materjalnym sprawcą wojny światowej były Niemcy, znakomicie przygotowane oddawna we wszystkich szczegółach. One to już od roku 1870 cały wysiłek państwa i narodu niemieckiego skierowały ku zorganizowaniu, wyćwiczeniu i wydoskonaleniu armji; dziś nam jeszcze w żywej są pamięci owe liczne, co kilka lat uchwalane ustawy o armji „Armeegesetze“, które za każdym razem wstrząsały opinią publiczną państw europejskich i zmuszały je do naśladowania Niemiec i do zbrojeń na lądzie i morzu.

W jesieni r. 1914, w chwili, gdy Anglja zdecydowała się wziąć udział w wojnie i stanąć po stronie Belgji i Francji przeciw Niemcom, wyszła w Londynie nadzwyczaj interesująca, a mało komu znana książka, która w czasie pobytu mego w Wiedniu dostała się do moich rąk za pośrednictwem wielce mi życzliwego pana Stanisława Zielińskiego, podówczas sekretarza Muzeum narodowego w Rapperswylu. Profesorowie wydziału historii nowoczesnej słynnego uniwersytetu w Oxfordzie wydali tę książkę, aby uzasadnić prawne stanowisko Wielkiej Brytanji, umyślnie także w niemieckim języku pod tytułem: „Dlaczego prowadzimy wojnę“ ?*)

W książce tej, na podstawie dołączonych do niej

*) Warum wir Krieg führen, Grossbritaniens Rechtsstandpunkt von Mitgliedern der Oxforder Fakultät der Geschichte der Neuzeit. Oxford, Universitäts Verlag, 1914.

oryginalnych dokumentów i not dyplomatycznych, przedstawiona jest geneza wojny światowej w sposób nietylko ściśle bezstronny i w najdrobniejszych faktach prawdziwy, ale zarazem z taką powagą i spokojem, jaka godnie licuje z wysokim stanowiskiem autorów. Obok artykułów historyczno-politycznych, oświetlających neutralność Belgii i Luksemburgu, powiększenie ilości aljansów politycznych i współzawodnictwo w zbrojeniach od r. 1871, ostatnie rokowania dyplomatyczne i nową niemiecką naukę o państwie, zawiera ta książka bardzo interesująco ułożoną chronologię wypadków historycznych, które w dziejowym przebiegu były najdalszemi i coraz bliższemi przyczynami ostatecznego skutku t. j. wybuchu wojny światowej. Niemal na samym początku tych dat historycznych, znajdujemy **r o z b i o r y P o l s k i**, jako najstarszą przyczynę trwałego zachwiania równowagi politycznej Europy.

Takie stwierdzenie publiczne najwyższego angielskiego autorytetu naukowego, nietylko napawało nas Polaków zadowoleniem, lecz budziło także nadzieję, że ta wojna wreszcie musi doprowadzić do naprawy błędów przeszłości i do przywrócenia niepodległości naszej ojczyźnie.

Interesującym także bardzo jest umieszczony w tej książce chronologiczny dziennik wydarzeń, bezpośrednio do wybuchu wojny wiodących, który dla przypomnienia owych chwil, tak brzemiennej w następstwa, pozwolę sobie tu przytoczyć:

C z e r w i e c 28. Zamordowanie arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego żony księżniczki Hohenberg w Serajewo.

Lipiec 6. Cesarz Wilhelm udaje się na wycieczkę letnią na morze północne.

Lipiec 9. Rząd austro-węgierski przedkłada cesarzowi Franciszkowi Józefowi wyniki dochodzeń w sprawie serbskiej zbrodni.

Lipiec 13, 14. Niepokojące wynurzenia o stanie francuskiej armji.

Lipiec 16. Węgierski premier hr. Tisza przemawia w parlamencie o smutnej konieczności wojny.

Lipiec 23. Austro-Węgry doręczają Serbji ultimatum z żądaniem odpowiedzi w 48 godzinach.

Lipiec 24, piątek. Rada gabinetowa rosyjska uznaje postępowanie Austrii jako prowakację Rosji. Powstanie robotników w Petersburgu.

Lipiec 25, sobota. Odpowiedź Serbji, uznana przez Austrię jako niedostateczna, poseł austriacki opuszcza Belgrad.

Rosyjski poseł we Wiedniu żąda przedłużenia terminu danego Serbji.

Sir E. Grey, proponuje pośrednictwo czterech mocarstw w Wiedniu i Petersburgu.

Lipiec 26, niedziela. Sir E. Grey proponuje konferencję ambasadorów Francji, Włoch i Niemiec, w celu bezwzględnej narady nad ominięciem zawikłań politycznych.

Austro-Węgry zarządzają częściową mobilizację armji.

Rosyjski minister spraw zagranicznych przestrzega niemieckiego ambasadora, że Rosja interesuje się losem Serbji.

Sir E. Goschen oświadcza, że cesarz (Wilhelm II) dziś w nocy powraca.

Lipiec 27, poniedziałek. Francja i Włochy przyjmują propozycję angielską odbycia wspólnej konferencji, Niemcy stanowczo odmawiają.

Rosyjski minister spraw zagranicznych proponuje bezpośrednie omówienie sprawy między Wiedniem a Petersburgiem.

Flota brytyjska po manewrach pozostaje nierozdzieloną.

Sir E. Grey przedstawia w Izbie gmin stanowisko w Brytanji.

Cesarz niemiecki wraca popołudniu z Kilonji do Poczdamu.

Lipiec 28, wtorek. Austro-Węgry wypowiadają wojnę Serbji.

Rosja oświadcza, że wszystko zależy od zachowania się Berlina.

Austria odrzuca wszelkie propozycje rokowań na podstawie noty Serbskiej.

Wymiana depesz między carem a Wilhelmem II.

Lipiec 29, środa. Mobilizacja rosyjska w czterech okręgach: Odessy, Kijowa, Moskwy i Kazania.

Niemcy proponują Anglji zachowanie neutralności, w zamian za co przyrzekają nienaruszyć integralności Francji, lecz nie chcą tego zapewnienia rozszerzyć także na kolonie francuskie.

Sir Grey ostrzega posła niemieckiego, iż Anglja nie pozostanie na uboczu, jeśliby wszelkie jej usiłowania utrzymania pokoju spęzły na niczem.

Dalsza wymiana depesz między carem a Wilhelmem.

Lipiec 30, czwartek. Ostrzeliwanie Belgradu przez wojska austro-węgierskie.

Premjer angielski przedstawia w Izbie Gmin powagę położenia.

Car telegrafuje do cesarza Wilhelma.

Lipiec 31, piątek. Ogólna mobilizacja rosyjska.

Sir E. Grey zapytuje Niemcy i Francję, czy w razie wybuchu wojny uszanują neutralność Belgii.

Francja otwarcie przyrzeka, Niemcy wymijająco odpowiadają, iż wątpią, czy może być dana odpowiedź na to pytanie.

Austria oświadcza spóźnioną notą gotowość do rozważań nad jej notą zawierającą ultimatum do Serbji.

Nowa wymiana depesz między carem a Wilhelmem.

Niemcy wysyłają ultimatum do Rosji z żądaniem powstrzymania mobilizacji w ciągu 12-tu godzin.

Niemcy wysyłają ultimatum do Francji z żądaniem określenia stanowiska, jakie Francja zajmie w razie wybuchu wojny Rosji z Niemcami.

Angielscy bankierzy naradzają się z rządem nad położeniem finansowem.

Sierpień 1, sobota. Sir E. Grey protestuje przeciwko zatrzymaniu angielskich okrętów w Hamburgu.

Ogólna mobilizacja armji niemieckiej

Ogólna mobilizacja armji francuskiej.

Sierpień 2, niedziela. Niemcy wpadają do Luksemburgu.

Sir E. Grey daje Francji zapewnienie, że flota

angielska będzie ochraniać północne wybrzeże Francji przeciwko flocie niemieckiej.

Niemcy wpadają na francuskie terytorjum koło Cirey.

Sierpień 3, poniedziałek. Włochy ogłaszają swoją neutralność z powodu, że dwa inne państwa, należące do trójprzymierza nie prowadzą wojny obronnej.

Niemcy doręczają ultimatum Belgji.

Sir E. Grey wypowiada w Izbie gmin wielce znaczącą mowę.

Sierpień 4, wtorek. Niemcy wkraczają na terytorjum belgijskie.

Wielka Brytania doręcza Niemcom ultimatum z terminem odpowiedzi przed północą.

Premjer zapowiada w Izbie gmin wypowiedzenie wojny Niemcom.

Sierpień 6. Austro-Węgry wypowiadają wojnę Rosji.

Sierpień 11. Francuski ambasador opuszcza Wiedeń.

Sierpień 12. Wielka Brytania wypowiada wojnę Austro-Węgrom.

Nie mam zamiaru podawać tu opisu i przebiegu całej batalji dyplomatycznej, jaką stoczyli dyplomaci w przededniu wybuchu wojny światowej, piszę bowiem mój osobisty pamiętnik, lecz ktoby chciał poznać dokładną i prawdziwą genezę wojny światowej, tego odsyłam do innej jeszcze książki, jaka się pojawiła już nawet w polskiem tłumaczeniu w r. 1921, a która z pośród wszystkich pamiętników wojennych wybija się na pierwsze miejsce, jako dzieło

jednej z osób dramatu wojny światowej, dziś jeszcze pierwszorzędną rolę polityczną odgrywającej. Jest to „geneza wojny światowej“, opisana a raczej wypowiedziana przez Raymonda Poincarégo, byłego prezydenta Rzeczypospolitej a dziś prezydenta ministrów republiki francuskiej ¹⁾).

Tak więc równocześnie w dwóch punktach na wschodzie i na zachodzie Europy buchnęły dwa płomienie, od których z przerażającą szybkością rozszerzył się pożar wojny na olbrzymim obszarze najpierw starego a później nowego świata.

Jak wobec wybuchu wojny zachowali się Polacy?

Jedno jest pewnem. We wszystkich zaborach, wszystkie warstwy ludności uświadomionej narodowo, poruszone zostały do głębi duszy jedną myślą: „Teraz nadejdzie chwila odmiany naszego położenia“. Jakiegokolwiek później objawiły się orientacje polityczne Polaków, to jednak wszystkie stronnictwa i ugrupowania bez wyjątku czuły i rozumiały, że obecnie nadchodzi ta wielka przez genialnych wieszczów naszych przepowiedziana a przez całe pokolenia z utęsknieniem wyczekiwana chwila, w której sprawa polska wypłynie znowu na widownię polityczną. I cokolwiekby miało nastąpić i jakąkolwiekby formę bytu miała nam przynieść ta ciemna wówczas i dla najbystrzejszych polityków niedostrzegalna

¹⁾ Raymond Poincaré, b. prezydent Rzeczypospolitej, Członek Akademii Francuskiej. *Geneza wojny światowej* (Les origines de la guerre). Sześć odczytów wygłoszonych w Paryżu w r. 1921. Książka ozdobiona portretem autora z jego własnoręcznym dopiskiem: *Hommage á la Pologne*. R. Poincaré.

przyszłość, to jednak u wszystkich Polaków bez wyjątku, z najgłębszej jaźni ducha narodowego, wydobyla się na jaw i wionęła ku niebu pieśń niezłomnego przekonania i pewności, że,

„czy zginąć nam przyjdzie na polu,
„czy w tajgach Sybiru nam zgnieć,
„z trudu naszego i znoju
„Polska powstanie, by żyć!

I to jest jedynie słuszne, bezwzględnie na prawdzie oparte i historycznie sprawiedliwe stanowisko, z którego oceniać i analizować można te rozmaite drogi i środki, jakimi szła i jakich używała ogólnie narodowa myśl polska w okresie wojny światowej. Rozmaitemi drogami do wspólnego celu, do Polski!

Gdyby tak nie było, gdyby rozbieżność myśli i orientacji politycznych nie była skrępowaną tą naczelną zasadą wspólnego celu, gdyby ścieranie się stronnictw i zwalczanie odmiennych orientacji nie miało granic przez wrodzony duszy polskiej instynkt nakreślonych, to zdaniem mojem, nigdyby nie mogła w oczach naszych ziścić się owa precudowna przemiana naszego bytu politycznego, owo kolejne zrastanie się i zrośnięcie wreszcie tych rozlicznych części i części naszej Ojczyzny nietylko od rozbiorów, lecz od wieków całych od macierzy odłączonych.

Wypadkami wojennymi porwany i własnym popędem wiedziony, pracowałem przeszło pół roku w biurze prasowym Naczelnego Komitetu Narodowego i miałem sposobność przypatrzeć się z bliska rozmaitym ludziom i sprawom. Nie mogę się zgodzić na potępienie w czambuł tych i owych i chciałbym,

żeby mój sąd i opis ludzi i wypadków był wernem echem niedawno minionych wielkich chwil i dożyć.

Jedną z wielkich, niezapomnianych dla mnie chwil była wiadomość, wyczytana w dziennikach za pobytu mego w Czerniowcach, iż dnia 6 sierpnia 1914 wkroczyły oddziały naszych Strzelców, pozostających pod komendą Józefa Piłsudskiego w granice Królestwa i że wkrótce potem stoczyły zwycięską potyczkę pod Miechowem. Wiadomość ta zelektryzowała wszystkich a choć rozmaite wywołała sądy i obudziła nadzieje i obawy, jednak wszyscyśmy czuli, że stało się coś niezwykłego, że po raz pierwszy od długich długich lat żołnierz polski z karabinem w ręku zjawił się na ziemi polskiej, aby walczyć o jej niepodległość! Gorąco zabiły nam serca, zbudziła się duma narodowa, że i my posiadamy już zawiązek własnej armji, ożywiła się radosna nadzieja, że przecież ta wojna nie będzie mogła przejść nad nami do porządku dziennego. Przypomniałem sobie wówczas Piłsudskiego z przed lat kilku, rozumiałem pobudki tego czynu i pojąłem, że choćby ten śmiały czyn stać się miał tylko piękną brawurową demonstracją, to jednak był on zarazem spełnieniem najgorętszych pragnień duszy polskiej.

Zaczęliśmy żyć życiem górnem, pełnem nadziei i radosnych uniesień, lecz na odmianę także smutków, przygnębień i obaw i znowu pełnem wesela i dumy radosnej a miarą tą i bodźcem tych nastrojów były wieści ze wszystkich teatrów wojny światowej, lecz najbardziej z tych pól ojczystych, gdzie w szarych mundurach bili się, ginęli i zwyciężali

żołnierze nasi polscy pod wodzą swego ukochanego Komendanta.

We Lwowie utworzył się „Centralny Komitet Narodowy“ złożony z narodowych demokratów i podolskich konserwatystów z Cieńskim Tadeuszem na czele. Zamiast zbliżenia się do żywiołów lewicowych zgrupowanych w „Tymczasowej Komisji skonfederowanych stronnictw“, widziałem w tem rozbieżności narodowej tak bardzo potrzebne w tej chwili. To też z ogromną radością powitaliśmy znowu wszyscy zebranie się Koła Sejmowego w Krakowie i utworzenie z delegatów wszystkich polskich stronnictw „Naczelnego Komitetu Narodowego“ w dniu 16 sierpnia 1914 w Krakowie.

We dwa dni później przynoszą dzienniki polskie gorącą odezwę Koła Polskiego do zjednoczonego narodu i zapowiedź utworzenia Legionów jako zawiązku armji polskiej dla walki z Rosją przy boku armji austriackiej. Ale nadaremnie oczekiwaliśmy z dnia na dzień zapowiedzianego manifestu cesarza Franciszka Józefa do Polaków, w którym spodziewaliśmy się znaleźć pewne gwarancje polityczne i jakiś rzut oka w przyszłość Polski. Manifest taki nie pojawił się wcale, natomiast już w drugiej połowie sierpnia przyniosła „Czernowitzer Allgemeine Zeitung“ odezwę generalissimusa armji rosyjskiej Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza do narodu polskiego, wzywająca do zgody z narodem rosyjskim i przebaczenia sobie wzajemnych uraz jakoteż zapowiadająca „zjednoczenie wszystkich dzielnic polskich pod berłem carskiem“.

W tym samym numerze umieszczono także,

jakby dla przeciwwagi bardzo banalną i bardzo niemądrą odezwę Naczelnej Komendy wojsk austriackich, wkraczających do Królestwa Polskiego do ludności tego kraju. Oto jej tekst dosłowny:

„Powitajcie nasze sztandary z ufnością, bo one zapewniają Wam sprawiedliwość. Sztandary te nie są obce Wam i Waszym rodakom. Już od półtora wieku rozwija się wspaniale Wasz naród pod berłem Austro-Węgier i Niemiec(!) a pełna sławy tradycja przeszłości Waszej łączy się jak najściślej jeszcze od czasów króla Jana Sobieskiego, który pospieszył z pomocą zagrożonemu państwu Habsburgów, z tradycją Waszych sąsiadów na zachodzie“!

Dziś jeszcze po tylu latach, gdy się czyta tę odezwę, niepodobna się oprzeć uczuciu oburzenia, iż władze wojskowe austriackie mogły w taki sposób zarówno naiwny jak brutalny odezwać się do Polaków w chwili, kiedy przecież wiedzieć musiały dobrze, jakie uczucia żywią Polacy dla Niemców i że większą część powodzenia oręża austriackiego w Polsce zawiśła jest od zachowania się ludności.

To też z tem większą radością i zapałem powitaliśmy utworzenie i oficjalne uznanie Legionów polskich, bo w nich jedynie widzieliśmy zawiązek armji polskiej walczącej dla Polski i o Polskę. Nie przestanę powtarzać z całą stanowczością, że oparcie się tych legionów o Austrię było w oczach ogromnej większości Polaków, do jakichkolwiek obozów politycznych i orientacji wojennych walczących, tylko koniecznością chwili, niezbędną dla umożliwienia organizacji i wyćwiczenia bojowego własnej narodowej armji a przedewszystkiem do uzyskania uzbrojenia

i wyekwipowania wojennego. Wprawdzie od pierwszej chwili, odruchowo urządzono wszędzie komitety i składano ofiarnie i hojnie pieniądze, złoto, srebro, klejnoty, obrączki nawet ślubne a w składkach tych brały udział wszystkie warstwy ludności, najwięcej jednak klasa średnia i robotnicza, ale to wszystko razem choć osiągało kwoty milionowych, nie mogłoby wystarczyć ani w małej części na zakupno broni i amunicji, bo zresztą o kupnie nie mogło być nawet mowy; broń i amunicję miał tylko rząd i wojskowość austriacka i od nich trzeba było ją wydość. Nie było w tej myśli żadnego podstępni ani zdrady, wszakże wspólnym naszym wrogiem był wówczas carat rosyjski i do wspólnej gotowaliśmy się walki, rząd austriacki i wojskowość powinny były we własnym interesie nas poprzeć. Zdawało się nam to zupełnie naturalnem i jasnem i wszystko, co temu pogładowi przeczyło, było dla nas dziwnem, niezrozumiałem, przegnębiającem aż do czasu, gdy się wreszcie okazało jasno, że Austria nietylko sama nie ma w sprawie polskiej żadnego jasnego planu działania, ale nawet gotowa jest przyłożyć rękę do nowego podziału Polski lub nawet odstąpić całą Galicję wraz z Królestwem Niemcom. A do Niemców i ich polityki na wschodzie Europy nie mieliśmy nigdy zaufania i niczego dobrego od nich nie mogliśmy się spodziewać. Nietylko uczyła nas tego cała przeszłość i aż do ostatnich chwil przed wybuchem wojny trwający ucisk i straszliwa, bezlitosna, eksterminacyjna polityka pruska stosowana w Poznańskim; komisja kolonizacyjna, przymusowe wywłaszczanie i ustawa językowa w zbyt żywej i bolesnej były pa-

mięci, a pierwsze dni wojenne i wkroczenie Niemców do Królestwa odrazu zapisały się krwawo w sercach Polaków; okrutne, bezmyślne zbombardowanie Kalisza wywołało u nas ogólny okrzyk oburzenia.

Tak zwany „austrofilizm“ Naczelnego Komitetu Narodowego nie był nigdy identycznym z germanofilizmem, który objawił się u nas w ciągu wojny światowej zaledwie u kilku polityków, nie mających żadnego odgłosu w duszy społeczeństwa polskiego a tylko omamionych niebывałymi zwycięstwami armji niemieckiej na wschodzie i na zachodzie. Lecz i u tych polityków, jak np. u Władysława Studnickiego, z którym się później zetknąłem osobiście, ideowem podłożem kalkulacji i planów politycznych, było osiągnięcie w razie ostatecznego zwycięstwa Niemców jak najlepszego bytu dla Polski lub przynajmniej ochronienia jej przed smutnym losem Poznańskiego. Zapewne, że było to złudzenie bardzo naiwne i bolesne, bo dla olbrzymiej większości uświadomionych Polaków nie mogło być wątpliwem, że zwycięstwo Niemiec to zguba Polski!

Losów wojny nikt nie mógł przewidzieć, był to rok 1914.

Większa część sierpnia minęła mi w domu w Czerniowcach.

W piątek 7-go sierpnia 1914 r., wczesnym rankiem szalała ogromna burza z grzmotami, którą ludzie wylekli wzięli za kanonadę. Jakoż istotnie pokazało się, że tegoż dnia była bitwa pod Nowosielicą rosyjską, gdzie, jak z triumfem doniosły dzienniki miejscowe, wojska austriackie odparły atak rosyjski i zdobyły górę Mogiłę. Odznaczyli się przy tem wachmistrz

żandarmerji Gazda i strażnik skarbowy Baranek. O tem „sławnem zwycięstwie“ roztrąbiły pisma niemieckie po całym państwie, a naiwnym ludziom zdawało się istotnie, że to było coś więcej, niż pograniczna potyczka patroli i że teraz już droga w głąb Rosji otwarta.

W mieście dość cicho, wojska linjowe i rezerwy odeszły; bataljon „pospolitego ruszenia“ zajął „dom niemiecki“ i odtąd codziennie rano o 5-tej godzinie ustawiali się na ulicy przed naszymi oknami w szeregach żołnierze kompanji odchodzących na bliski front bojowy pod Nowosielicą. Byli to przeważnie mężczyźni starsi, znani nam mieszkańcy Czerniowiec, wśród nich wielu robotników i rzemieślników Polaków, których wówczas około 18.000 mieszkało stale w tem mieście. Rannych codziennie zwożono zwykle na prostych wozach chłopskich do szpitala polowego, na który zamieniono wielkie koszary 41 pułku piechoty. Wieści ze wszystkich frontów bojowych głosiły o zwycięstwach Niemców na Wschodzie i na Zachodzie, Austriaków nad Rosjanami w pogranicznych miejscowościach Galicji koło Brodów, Sokala i Podwołoczysk.

Jeszcze 6. sierpnia wyjechał z Czerniowiec konsul rosyjski, p. Doliwa Dobrowolski i zdjęto dwugłowego orła z domu, w którym mieszkał. Zaraz też ogłoszono stan wyjątkowy, sądy doraźne i główna władza przeszła do wojskowości. Jeden tylko pociąg kolejowy przeznaczony dla cywilnych, kursował odtąd między Czerniowcami a Lwowem i odbywał tę drogę w ciągu prawie 24 godzin, zamiast jak zwykle w ciągu 6 godzin. Do Wiednia trzeba było jechać

72 godzin, zamiast 16-tu. Przyczynę tego zarządzenia, dosyć nierozsądnego, upatrywaliśmy w oddaniu całego ruchu kolejowego na transporty kolejowe. Jeszcze przykrejszem było zaprowadzenie przepustek, wystawianych wprawdzie przez policję, lecz zatwierdzanych przez wojskową komendę etapową. Nie było łatwą rzeczą otrzymać taką przepustkę, tłumy ludu całymi dniami obłęgały lokale etapowe i wtedy powstały owe słynne wojenne ogonki, które następnie przez tyle lat były charakterystyczną cechą całego życia ludności w okresie wojennym. Życie polskie w Czerniowcach skupiało się w „Domu polskim“, pięknym budynku przy ul. Pańskiej. Była w nim wielka sala, ozdobiona pięknie polskimi herbami i sztandarami, biblioteka i szereg sal mniejszych na biura zarządu przeznaczonych. W części budynku mieściło się także gimnazjum polskie z prywatnych funduszów i składek utrzymywane, przez Towarzystwo Szkoły Ludowej wspierane, nadaremnie od kilku lat walczące o uzyskanie prawa publiczności. Oprócz wspomnianej już warstwy robotniczej przeważnie kolejarzy i rzemieślników, był mały zastęp inteligentnej publiczności polskiej, częścią na stanowiskach urzędników państwowych, sędziów, urzędników Filji Banku Hipotecznego, Krakowskiego Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń, Kolei państwowej, kilku kupców i garstki księży polskich rzymsko i ormiańsko katolickiego wyznania. Prezesem zrzeszenia polskiego był Dr. Stanisław Kwiatkowski, gorący Polak, który też w dniu 15. sierpnia zwołał nas na zebranie obywatelskie w Domu Polskim. Pod wpływem radosnej wieści o zjednoczeniu narodowym wszystkich stron-

nictw polskich i pierwszych zawiązkach Armji polskiej, zapadła uchwała wyekwipowania oddziału czerńowieckich i bukowińskich strzelców polskich i wysłania go do Lwowa, gdzie już się tworzył wschodni Legion polski. Posypały się hojne dary pieniężne, panie polskie zajęły się umundurowaniem i aprowizacją i tak nie pozostaliśmy ostatnimi w ogólnym zapale dla dobra sprawy narodowej.

Nazajutrz otrzymałem depeszę wzywającą mnie do Lwowa,

Odjechałem najpierw do Dżurowa.

Obok oficjalnych komunikatów o zwycięstwach, któremi przepełnione były wszystkie dzienniki, dochodziły wieści uboczne, przeważnie przez żydków kolportowane, donoszące o ogromnych masach wojsk rosyjskich, już znajdujących się w Galicji wschodniej o ucieczce starostów z Sokala, Brodów, Skałatu, Trembowli i Husiatyna, o ucieczce obywatelstwa wiejskiego i panice, jaka ogarnęła całą ludność tamtych okolic. Wieści te budziły w nas pewien niepokój, lecz nie zmniejszały jeszcze wówczas zaufania w potęgę armji austriackiej, lada dzień spodziewaliśmy się jakiejś wielkiej bitwy i zwycięskiego zakończenia tych początkowych bojów. Potem już, choćby wojna potrwała jeszcze i miesiąc i dwa, to jednak toczyć się będzie od nas zdaleka, na rosyjskiej ziemi, gdzieś w okolicy Kijowa lub Moskwy, tak, jak to opisywały nam przed wojną fantastyczne powieści o przyszłej wojnie między Niemcami i Austrią a Rosją. Wszakże słynny ekonomista warszawski Bloch udowodnił, że przyszła wojna światowa nie może potrwać jak kilka miesięcy najwyżej i musi się sama w sobie załamać,

gdyż wszelkie środki prowadzenia jej, wyczerpią się zupełnie. A cesarz Wilhelm, żegnając pułki niemieckie odchodzące z Berlina na plac boju, zapewniał żołnierzy, że wrócą do domu jako zwycięzcy, zanim jeszcze liście tegoroczne z drzew opadną.

W drodze do Lwowa, doszły nas dzienniki, z których dowiedzieliśmy się nowych sensacyjnych wiadomości. Papież Pius X. umarł. Japonja wypowiada wojnę Niemcom. Powiększają się szeregi nieprzyjaciół państw centralnych. Miła perspektywa! We Lwowie stanęliśmy 21. sierpnia o godzinie 6. rano. Ruch w mieście był ogromny, gdyż nie tylko mieszkańcy z letnich wyczasów i uzdrowisk na odgłos mobilizacji i wojny powrócili do domów, lecz i uchodźców ze wschodniej części kraju co chwilę spotykało się na ulicach. Powozy dworskie zaprzężone często w czwórkę rasowych koni wiozły rodziny właścicieli obszarów dworskich, a za nimi dobrze wyładowane wozy ze zbożem i dobytkiem, jaki się dał na prędkę zapakować i unieść. Zatrzymywali się na placu Marjackim i zaraz otaczała ich publiczność ciekawa wiadomości „prawdziwych“, bo już wówczas komunikaty wojenne, głoszące codziennie o wielkich zwycięstwach armji austriackiej nad Rosjanami a podpisywane przez generała von Höfera, stały w jaskrawem przeciwieństwie do wieści nadchodzących drogą prywatną i poufną. A wieści te nie były wesołe. Bo chociaż w Królestwie Polskiem armja austriacka posuwała się na-przód ku Kraśnikowi i Lublinowi, to tu w Galicji, na wschodzie nie dobrze się działo. Wielka część kraju była już zalaną przez nieprzyjaciela, a uchodźcy opowiadali o niewidzianej potędze wojsk rosyjskich,

jaka postępuje zwolna naprzód, zajmując powiat za powiatem, a oddziały austriackie ciągle się przed nią cofają. Już Zbaraż, już Skałat, Trembowla i Husiatyn zajęte, Tarnopol zagrożony, a koło Sokala na północ od Lwowa także coś niedobrze. Oddziały kawalerji rosyjskiej podobno już widziano w okolicy Radziechowa i Żółkwi.

Dziwna rzecz, że pomimo takich wieści, niefrasobliwość panowała jeszcze w umysłach przeważnej części Lwowa a wszyscy spodziewali się lada chwila jakiejś rozstrzygającej wielkiej bitwy, jakiegoś zwycięstwa, które jednym zamachem odsunie tę groźbę najazdu nieprzyjacielskiego. Zdawał się te nadzieje potwierdzać ogłoszony właśnie komunikat wojenny generalnego sztabu:

„Wojska nasze, ożywione najlepszym duchem, zajmują niewzruszenie planem nakazane pozycje. Na naszych szanцах ciepło i słonecznie — von Höfer“.

Ludek lwowski, z natury wesołego usposobienia, zironizował natychmiast powyższy komunikat w wierszyku krążącym wówczas z ust do ust:

„Mieliśmy właśnie złapać moskala,
Ale nam uciekł sukin syn,
Z Warszawy uciekł aż do Sokala,
I chciałby zemknąć aż „nach Wien“.

A my cofamy, cofamy się wiecznie,
Aby wykonać strategiczny plan,
Na naszych szanцах „ciepło i słonecznie“
Jak o tem pisze Höfer sam“.

Istotnie pogodny, letni dzień sierpniowy, przepełniony blaskami słońca, nastrajał dusze dobroczynnie i kojąco. Widok dziarskich oddziałów naszych strzelców, wracających z wesołą piosnką z ćwiczeń po-

rannych z okolic Lwowa, dodał jeszcze większej otuchy i zapalił w szczerych polskich sercach uczucie radości i długo oczekiwanego szczęścia...

W południowej porze odwiedziłem redakcję „Wieku Nowego“, gdzie dowiedziałem się o toczącej się właśnie większej bitwie z Rosjanami pod Żółkwią.

Wiadomość ta, chociaż lotem błyskawicy rozszła się po mieście, jednak nie wywołała wcale popłochu. Twarze były wesołe, oczy błyszczały podnieceniem niezwykłych przeżyć, tłumy przewalały się ulicami, wojsko rozmaitej broni, strzelcy nasi, formujący się właśnie legion wschodni, który lada dzień miał również wyruszyć na plac boju, kurjerzy wojskowi konno i automobilami pędzący, oddziały huzarów węgierskich w pełnym wojennym rynsztunku, witane i żegnane okrzykami „eljen“, panowie i panie z orzełkami srebrnymi na piersiach, to wszystko razem tworzyło obraz niezwykle oryginalny i malowniczy. Krakowskim placem w kierunku Żółkiewskiej roгатki sunęły od wczesnego ranka niezliczone zastępy piechoty różnych nieznanych u nas pułków, dudniły ciężko po bruku armaty i jaszczyki w sześć koni zaprzężnięte, całe pułki konnicy, niezliczona ilość karabinów maszynowych, sanitariusze, saperzy, a w końcu setki podwód ciągnęły bez końca i bez końca.

Nad miastem krążyły samoloty.

Popołudniu przysłała wiadomość o zniszczeniu całej dywizji kozackiej pod Turynką w okolicy Żółkwi, wszyscy unosili się w pochwałach nad dzielnością generała Brudermana, Lwowianina, który tak dzielnie zalał Moskałom sadła za skórę. Jakoż

o zmroku mieliśmy naoczne potwierdzenie tego zwycięstwa. Właśnie z profesorem J. Schadenem szliśmy ulicą Łyczakowską, gdy nadjechał wolnym krokiem automobil, w którym wieziono ciężko rannego w bitwie pod Turynką rosyjskiego generała Wannowskiego, dowódcę kozaków. Pomimo bardzo troskliwej, natychmiastowej pomocy lekarskiej i operacji umarł nazajutrz Wannowski w szpitalu wojskowym.

Wieczorem najwyższy szczyt Wysokiego Zamku, Kopiec Unji Lubelskiej, pokryty był całym mrowiem ludzi, wypatrujących na wszystkie strony rozległego widnokręgu. Lecz i z alei zamkowych widać było dalekie łuny na wschodzie. Świadczące, iż burza wojenna już się na dobre rozpętała nad naszym krajem.

Wieczór spędziłem znowu w „Wieku Nowym“ u redaktora Laskownickiego, z którym łączyła mnie przyjaźń i przynależność do jednego stronnictwa politycznego, polskiego stronnictwa postępowego.

Było nas więcej razem i wielkie panowało ożywienie. Wszakże to spełniały się nasze rojenia, nasze tak często przez ugodowców wyśmiewane zamierzenia i przygotowania do zbrojnej walki z odwiecznym wrogiem.

Wszakże to myśmy nie szczędzili zabiegów ni ofiar, by wśród młodzieży i dorosłych budzić i rozwijać to poczucie, że tylko walka z bronią w rękę może i musi doprowadzić do wyzwolenia Ojczyzny! Wydawaliśmy pisma, jak n. p. we Lwowie „Życie“ pod redakcją Gustawa Daniłowskiego, broszury, książki i przy każdej nadarzonej sposobności budziliśmy ospałych i jakby w przewidywaniu wielkich wypadków, mających nastąpić, już na wiele lat przed wojną od-

bywaliśmy narady i tajne zebrania, łącząc się z żywiołami niepodległościowcami wśród inteligencji i sfer robotniczych we Lwowie, Krakowie i nawet Warszawie, dokąd jeszcze w r. 1907 udaliśmy się całą grupą, aby wejść w kontakt z tamtejszymi działaczami politycznymi.

„Wiek Nowy“ był zawsze głównym orędownikiem i szerzycielem myśli i zamierzeń niepodległościowego obozu.

Przypominam sobie, jak raz wracając z narady politycznej w domu jednego z wybitnych patriotów warszawskich, znaleźliśmy się my Lwowianie (Laskownicki, H. Śliwiński, Dr. Janik i ja) nocą na placu Saskim pod murami świeżo wówczas wzniesionego Soboru prawosławnego, jako symbolu i dowodu rosyjskości Warszawy i utrwalenia tam już na zawsze rządów moskiewskich. W podnieceniu, oburzony do głębi widokiem tego pomnika niewoli, rzuciłem na pół żartem wniosek, że jak tylko odzyskamy wolność, to powierzmy Śliwińskiemu, jako architektce rozbiórkę tego gmachu. Ktoby się był spodziewał, że jeszcze kiedyś i to w stosunkowo niedługim czasie, ów żart spełni się, jako uchwała niepodległego narodu, zrzucającego z siebie wszelkie oznaki hańby i niewoli.

Przyjmowaliśmy później warszawskich delegatów we Lwowie, a chociaż między nimi znaleźli się także ugodowcy i zwolennicy Słowianofilstwa rosyjskiego, to jednak nie daliśmy się omamić tym szumnym hasłom i zaznaczyli wyraźnie nasze stanowisko i naszą drogę jasną i prostą: „Naprzód niepodległość Polski a potem ogólnosłowiańskie ideały“. Z jakąż więc

teraz radością, dowiedziałem się od przybyłego właśnie do redakcji kurjera z frontu bojowego Legjonistów w Królestwie o pierwszych walkach i dzielnym zachowaniu się w ogniu naszych żołnierzy pod dowództwem Józefa Piłsudskiego.

Dnia 22 i 23 sierpnia 1914 r. stoczyły wojska austriackie, złożone przeważnie z bukowińskich żołnierzy 41 p. p. piechoty i pospolitego ruszenia zwycięską bitwę w pobliżu Czerniowiec, na terenie pogranicznych wsi Mahali, Rarańczy i Toporowiec. Rosjanie usiłowali wtargnąć przez Bojany, gdzie jest most na Prucie, do Czerniowiec, lecz zostali odparci i musieli się cofnąć aż po zagraniczną Nowosielicę.

Nie byłem tego naocznym świadkiem, gdyż 23 sierpnia, w niedzielę, bawiłem jeszcze we Lwowie i dopiero wieczornym pociągim pocztowym, o godzinie 10, wyjechałem do Czerniowiec. Wszyscy w wagonie naturalnie mówili o wypadkach wojennych i rozgrywających się gdzieś na wschód i na północ od Lwowa walkach z Moskalami. Usposobienie było dobre i pełne poczucia zwycięstwa, gdyż właśnie widzieliśmy tego dnia wieczorem we Lwowie pochód jeńców rosyjskich, złożony z kilkuset żołnierzy rozmaitej broni, z 23 oficerami na czele, a z tyłu z 8 karabinami maszynowymi, z szeregiem kuchni wojennych, taborem wozów napełnionych stosami lanc kozackich i broni, a wreszcie stadem dorodnych koni jako zdobyczą wojenną.

Mówiono o bitwie pod Turynką koło Żółkwi, o osaczeniu 2.000 Moskali w lasach lwowskich, o wyparciu Moskali z Brodów i wtargnięciu naszych wojsk na Wołyń. Wszyscy byli pewni, że olbrzymia armja

austrjacka, której nieprzejrane zastępy przeciągnęły w ostatnich dniach przez Lwów w kierunku wschodnim i północnym, już przekroczyła granicę państwa i że lada chwila usłyszymy o ogromnem zwycięstwie nad Moskalami.

Pierwszy niepokój wkradł się w nasze dusze na stacji Sichowie, gdzie z okien wagonu widać było daleko ponad czarną linią lasów od strony południowej, gorejącą łunę na niebie. Odezwały się przypuszczenia i uwagi, lecz nie mogliśmy się pozbyć niepokojącego uczucia, że i w stronie południowej od Lwowa, jakby w Winnikach lub gdzieś dalej, może także odbywa się jakaś bitwa. Nie wiedzieliśmy wcale, że właśnie już wówczas walczyły wojska austriackie z przemagającymi siłami nieprzyjaciół w okolicy Brzeżan, Przemyślan i Winnik. W Chodorowie, gdzie stanęliśmy o godzinie 2-iej w nocy, obudził nas wielki hałas na stacji. Kilka tysięcy ludzi najrozmaitszego stanu i wieku, całe rodziny z tobołami i widocznie na prędce zebrany dobytek, rzuciły się formalnie na nasz pociąg, w którym w mgnieniu oka zrobił się ścisk i gwałt niesłychany. O spaniu nie było już mowy, bo tu groza wojny zajrzała nam po raz pierwszy w oczy. Była to ludność uciekająca z Tarnopola i okolicznych miast i miasteczek, w przestachu przed armją rosyjską i bitwami, które się już w tamtych stronach toczyły.

Na dalszych stacjach w kierunku Stanisławowa mijały się z nami pociągi, wiozące na plac boju wojska węgierskie. Z wszystkich okien olbrzymiego naszego pociągu wychylona publiczność żegnała odjeżdżających żołnierzy okrzykami „Eljen“ i życzeniami zwy-

cięstwa. Na przystanku w Bołszowcach, na polu wzdłuż linii kolejowej ujrzeliśmy ustawiony długi szereg armat i jaszczków dopiero co wyładowanych z wagonów, mnóstwo koni i ludzi krzątało się gorączkowo. Widać gdzieś w pobliżu spodziewano się nieprzyjaciela. Jakoż, gdy o godzinie 6 tej rano stanęliśmy w Stanisławowie, dowiedzieliśmy się od znajomych oficerów i żołnierzy zapelniających peron, że właśnie w nocy odszedł stamtąd cały korpus w kierunku Niżniowa, gdzie w rozgałęzieniach i zakrętach dniestrowskich spodziewano się lada chwila bitwy.

Uspokojenie było jak najlepsze i pewność zwycięstwa zupełna.

Nagle zajechał na dworzec pociąg osobowy od strony Czerniowiec, a nieliczni pasażerowie przynieśli pierwsze wiadomości o wczorajszym zwycięstwie pod Czerniowcami i odparciu Moskali. Za chwilę pociąg od strony Buczacza przybył, znów przywiózł wielu urzędników kolejowych z rodzinami, którzy w ostatniej chwili opuścili stację przed nieprzyjacielem następującym od strony Czortkowa. „A więc i w tamtej stronie są już Moskale!“ — mówiono sobie półgłosem — zaniepokojenie poczęło wzrastać, lecz wkrótce ustąpiło miejsca niezbitej pewności zwycięstwa. Przyczynił się do tego niewątpliwie prześliczny, słoneczny dzień sierpniowy i dzielna, zdecydowana postawa wojska. W Stanisławowie jednak już nie wiele go było, tylko ogromny tren furgonów, z budami pokrytymi szarem płótnem, białął z daleka na ogromnej równinie pod miastem.

W dalszej drodze do Czerniowiec, która jeszcze trwała cały dzień aż do 5-tej godziny popołudniu,

spotkaliśmy się na stacjach tylko z dwoma pociągami, zasługującymi na bliższą uwagę. W pierwszym z nich, na którejś stacji w pobliżu Kołomyji kilkuset jeńców rosyjskich jechało pod straż żołnierzy. Jak dowiedzieliśmy się wzięto ich dnia poprzedniego w bitwie pod Czerniowcami. Byli to przeważnie ruscy chłopci z okolicy Mohylowa, znaczna ilość żydów i kilku Polaków z Królestwa; ci ostatni mieli minę bardzo zadowoloną i objawiali żywą radość na wiadomość odemnie o formowaniu się Legionów przeciwko Moskwie. Ale zruszczony sałdat z pod Mohylowa, inaczej wojnę pojmował.

„Poco Was pod Czerniowce posłano?” pytam go. „Nam w pułku kazali — odpowiada żargonem rusko-moskiewskim — że carowa życzy sobie jeść obiad w Czerniowcach”. Mówił zaś to biedak z całą naiwnością i wiarą. Publiczność nasza i dla tych biedaków miała litość i traktowała ich czem mogła, cygaretami, wędlinami i owocami, na które rzucili się chciwie.

Drugi pociąg, który spotkaliśmy już blisko Czerniowiec zaniepokoił nas znowu trochę. Oto wiózł on w kilku wagonach całą kolonję urzędników bankowych czerniowieckich z filją Banku autsro-węgierskiego na czele. Mnóstwo znajomych witało i żegnało się z nami, opowiadając zarazem bliższe szczegóły wczorajszego wielkiego zwycięstwa, którego doniosłość stała jednak w jaskrawem przeciwieństwie do „ucieczki” banków z Czerniowiec. Tak się nam wówczas zdawało i nie tailiśmy wcale naszego zdziwienia. — Mój towarzysz podróży, jako kierownik filji lwowskiego Banku Hipotecznego, był zupełnie spokojny. Właśnie

odwiozł był rodzinę do Wiednia i powracał z zamiarem pozostania w Czerniowcach, jako obecnie, według jego zdania, miejscu bezpiecznem. Wieczorem w Czerniowcach panowała wielka radość. Przez jasno oświetlone ulice miasta przeciągały tłumy publiczności ze sztandarami i śpiewami patryjotycznymi. Urządzono owację przed pałacem rządowym i gmachem generalicji. Wojska było w mieście dosyć, lecz i rannych zwożono wszystkimi ulicami do szpitalów, już z poprzednich bitew pod Nowosielicą dość zapełnionych.

Późnym wieczorem zaroіło się znowu na ulicach. To wracali nasi bukowinscy pospolitacy z pobożowska nowosielickiego po kilkudniowych trudach wojennych, na krótki odpoczynek. Dowiadujemy się o licznych stratach wśród znajomych; sąsiad, kapitan 41 p. p. i stróż kamieniczny ciężko ranni przewiezieni do szpitala.

Kilka następnych dni upłynęło we względnym spokoju. Uczucie bezpieczeństwa owładnęło nami i dziwiliśmy się ludziom, którzy spakowawszy co najważniejsze, zaczęli z Czerniowiec gromadnie wyjeżdżać. Właśnie mówiono i pisano w miejscowych dziennikach o ogromnych zwycięstwach odniesionych nad Moskalami w okolicy Załeszczyk i Stanisławowa. Mówiono o wzięciu do niewoli całej armji rosyjskiej, złożonej z 80.000 ludzi. Tembardziej dziwnem się wydawało, że poczta przestała przyjmować listy i telegramy do Galicji, a budynek pocztowy otoczono strażą i pozwolono zbliżać się do niego tylko jednym wejściem. Właśnie przekazałem był sobie z pocztowej Kasy Oszczędności pewną kwotę na bieżące wydatki. Listonosz pieniężny nie wypłacił mi jej jednak, a gdy

się zwróciłem z czekiem na pocztę, zastałem kas zamkniętą. Dyrektor oświadczył mi, że spodziewa się przesyłki drogą na Węgry i że za kilka dni wypłaci mi kwotę, o którą szło. To mnie uspokoiło zupełnie i spowodowało do pozostania wraz z rodziną w Czerniowcach.

We wtorek udałem się na policję dla wyrobienia na każdy wypadek legitymacji na wyjazd do Kołomyji, skąd w razie potrzeby łatwiej można się było przedostać koleją na Węgry. Tymczasem władze wszelkiego rodzaju czyniły gorączkowe przygotowania do opuszczenia miasta. W rządzie krajowym, policji i innych instytucjach pakowano akta i wywożono. Rodziny zamożniejsze zaczęły także opuszczać miasto, kierując się głównie do Seretu, Storożyńca i ku południowej części Bukowiny. Niepokój zawładnął umysłami. Jednak jeszcze w piątek, 28 sierpnia, zegnaliśmy na boisku sokół i wieczorem na dworcu dzielną drużynę naszych polskich strzelców bukowiańskich; tłumy publiczności odprowadzały ich na kolej — śpiewano pieśni narodowe polskie a w sobotę zmieniła się fizjognomja miasta. Miejsce policji zajęła na ulicach nowo zorganizowana straż obywatelska, w strojach cywilnych, w białych czapkach letnich kąpielowych, ze strzelbami myśliwskimi na ramieniu. Z dumą paradowali ci panowie po mieście; zaciągnęli także straż na głównym odwachu przed ratuszem w rynku. Gmach policji był już w tym dniu zamknięty, a z Namiestnictwa wywożono paki z aktami. Poczta i telegraf już nie funkcjonowały, a jedynym urzędem, który jeszcze w niedzielę 30 sierpnia, w zupełności spełniał swe obowiązki,

było Kierownictwo Koleji Państwowej. Tam się też udałem i skorzystałem z uprzejmości znajomego mi starszego radcy kolejowego, który mnie zapewnił, że jeszcze w poniedziałek, 31 sierpnia o godz. 5-tej rano odejdzie pociąg pocztowy w kierunku Wiednia i że będę mógł nim wyjechać wraz z rodziną.

Już w nocy, z soboty na niedzielę powstały w mieście rozruchy, wywołane przez jakieś podejrzanе elementy. Po północy jacyś nieznani ludzie, podobno także nawet niektórzy członkowie straży obywatelskiej dzwonili do bram domów i polecali stróżom budzić wszystkich mieszkańców, gdyż „Moskale nadchodzą“. Wywołało to w całym mieście panikę i zbiegowiska, szczególnie na głównych ulicach. Wkrótce przekonaliśmy się, że cały ten alarm był sprawką jakichś podejrzanych indywiduów lub rzezimieszków, wywołanym po to, aby wśród paniki, jaka powstała, dopuszczać się rabunków.

Niedziela przeszła względnie spokojnie. Dopiero w nocy, około godz. 1-szej niezwykły ruch na ulicach obudził nagle wszystkich ze snu. Wszystkimi ulicami, idącemi od Prutu w górę miasta ku stacji Volksgarten i ku ulicy Kuczurmare maszerowały zbite szeregi wojska austro-węgierskiego rozmaitej broni, piechota, pospolitacy, dragoni, artylerja, a wśród nich wozy trenu i dużo rannych. Z trudnością uzyskałem za wysoką cenę fiakra, którym się udałem na dworzec, aby się upewnić, czy ów zapowiedziany pociąg odejdzie. Jakiś kapitan 41 p. p. przysiadł się do mnie, gdyż jak mówił, chciałby żonę swoją wyprawić także z miasta, do którego według jego zdania, już rano wejdą wojska rosyjskie. —

Wśród szeregów wojsk i tłumów ludu dostajemy się wreszcie na dworzec. Jakież było nasze przerażenie, gdyśmy spostrzegli dworzec już zupełnie opuszczony, a konduktorów i kilku urzędników zajętych wynoszeniem ostatnich przedmiotów z biur telegraficznych. Gdy wracałem do domu już wojska w mieście nie było, a wśród publiczności zaczęła się tłumna i paniczna ucieczka w kierunku dworca Volksgartenu, skąd spodziewano się jeszcze odjechać pociągiem w kierunku Ickan, Suczawy i Dorna Watry. Ledwie powróciłem i postanowiłem wraz rodziną z rezygnacją oczekiwać dalszych wypadków, gdy nagle rozległy się potężne wystrzały armatnie. Byliśmy pewni, że to już Moskale zaczynają bombardować miasto. Na ulicach powstał nieopisany popłoch. Po chwili jednak ucichło i już się strzały nie powtórzyły. Dowiedzieliśmy się później, że to żołnierze austriaccy wysadzili w powietrze obydwa wspaniałe, żelazne mosty na Prucie, kolejowy i drogowy łączący Czerniowce z gminą Żuczka. O śnie nie było mowy, wszyscy tej nocy w Czerniowcach czuwali. Gdy się trochę rozwidniło w poniedziałek, dnia 31 sierpnia, a zapowiedziane przybycie Moskali nie następowało, zaroilo się znowu na ulicach od uciekających. Gromadki ludzi różnego stanu i wieku z tobołkami i walizkami, matki z dziećmi na rękach, wszystko pieszo dążyło do odległej o 3 km. stacji Volksgarten.

W ratuszu, na I. piętrze, w sali radzieckiej, paliły się jeszcze światła elektryczne a w oknach widziałem radców miejskich w czarnych strojach, oczekujących przybycia wojsk rosyjskich. Około godz.

8-mej pojawiła się na murach miasta odezwa burmistrza, dra Weisselbergera, zaczynająca się od słów: „In tief ernster Stunde“ i wzywająca obywateli do spokojnego zachowania się i przyjaznego przyjęcia wojsk rosyjskich, mających lada chwila wkroczyć do miasta.

Mało kto mógł się zdobyć na wyjazd z rodziną, gdyż jak się pokazało, pociągi już nie kursowały, a dorożkarze, wyzyskując sytuację, żądali bajecznych sum za wyjazd do sąsiednich, o kilkanaście kilometrów oddalonych miejscowości, Storożyńca i Hliboki. Płacono po 500, 600 a do Dorny nawet po 1.000 koron.

Tymczasem Moskale nie nadchodzili a popołudniu tego dnia urzędnicy Polacy, z cukrowni w Żuczce należącej do ks. Lubomirskiego, przedostali się przez uszkodzony most drogowy do Czerniowiec i opowiadali, iż nigdzie, aż do granicy rosyjskiej niema Moskali i, że to widocznie był jakiś popłoch nieuzasadniony, który spowodował nagłe cofnięcie się wojsk z pozycji tam zajmowanych.

To ośmieliło ludność, która też użyła pięknego, słonecznego popołudnia na tłumną przechadzkę w stronę Prutu dla oglądnięcia wysadzonych mostów. Uspokojenie wracało i tylko jedna bardzo przykra okoliczność dokuczała wszystkim: brak wody, gdyż rury wodociągowe zniszczono wraz z wysadzeniem mostów. Noc z poniedziałku na wtorek upłynęła spokojnie. Dopiero we wtorek, 1 września w południe udało mi się za stosunkowo niewielką kwotę kilkadziesiąt koron, wynająć fiakra i wyjechać wraz z rodziną do Hliboki a następnie do Hatny, gdzie

trzeba było przenocować i dopiero następnego dnia w południe dalej pociągiem do Dorny wyjechać. W drodze na stacji w uroczej górskiej miejscowości Jakobeny, doszła nas wiadomość telegrafowana do tamtejszego Urzędu stacyjnego z Hliboki, że Moskale o godz. 6 wieczorem wkroczyli do Czerniowiec.

Nazajutrz w Dornie-Watrze również powstała wielka panika. Mówiono o posuwaniu się Rosjan ku Seretowi, kto mógł tylko opuszczał Bukowinę, udając się w daleką i w bardzo uciążliwą drogę do oddalanej przeszło o 80 km. siedmiogrodzkiej miejscowości Bystrzycy, a stamtąd dalej w świat na tułaczkę wśród obcych i na nieznane losu koleje.

Wyruszyliśmy również. Wiózł nas Lipowanin bukowiński t. j. członek sekty religijnej rosyjskiej, niegdyś wypędzonej z Rosji i zdawna osiadłej na Bukowinie, Fedor Radjanow, na dwóch niskich wózkach, wspaniałym gościńcem karpackim lesistą górską okolicą coraz wyżej i wyżej aż do karczmy, położonej na najwyższym grzbiecie tych gór, oddzielających Bukowinę od Siedmiogrodu. Co chwilę musieliśmy ustępować z drogi olbrzymim taborom wozów, na których wieśniacy i towarzyszący im żołnierze przewozili zboże z magazynów bukowińskich na Węgry, aby je uratować od zajęcia przez nieprzyjaciela. Wiadomość o wielkiej przegranej bitwie w Galicji i o szybkim posuwaniu się wojsk rosyjskich w głąb Bukowiny — były zupełnie prawdziwe. Przecież to był dzień 3-go września, w którym Rosjanie Lwów zajęli a po zajęciu Czerniowiec wdarli się aż do Seretu. Sprawdziłszy to dopiero znacznie później a wówczas pocie-

szaliśmy się myślą rychłego powrotu i wyjazd ten uważaliśmy raczej jakby wycieczkę wakacyjną. „No, co wy na to, państwo Polacy, mówił do nas żartobliwie Radjanów, wy uciekacie przed Rosjanami a „russkij“ wam w tem pomaga!“ I dużo nam w drodze opowiadał o Lipowanach, o Mitoce, wiosce bułkowińskiej, gdzie ich archijerej rezyduje i o tem, jak oni żywo u siebie przechowują tradycje rosyjskie. Zwierzył się nam, że on sam często bywał w Rosji. Był nawet w Moskwie na owej tragicznej koronacji cara Mikołaja, gdzie wskutek ścisku przy rozdawaniu darów kilka tysięcy ludzi śmierć poniosło, co już wówczas uważano za zły omen. Właśnie 20 lat minęło od tego czasu a teraz przyszła wojna, która miała przynieść tak tragiczny koniec carowi i jego rodzinie.

Wieczór był prześliczny, ciepły, powietrze w górach balsamiczne, lecz noc nadeszła chłodna a na popasie w karczmie na szczytach gór tak było zimno, żeśmy rozpakowali nasze tobołki, aby wyjąć cieplejsze okrycia.

W dalszej podróży, aż do świtu oka nie zmrzyłem, nie tylko z powodu zimna, lecz głównie dlatego, że droga wiodła ciągłemi serpentynami na dół wśród głębokiego lasu a przytem w wielu miejscach nad przeraźliwemi przepaściami a na gościńcu często brakło poręczy. Do tego nasi przewodnicy obydwaj Radjanowie, ojciec i syn, spali sobie w najlepsze. Musiałem więc sam pilnować konika, lejców, wypadających z rąk woźnicy a także budzić co chwilę chłopaka powożącego drugim wózkiem jadącym tuż za nami.

Na szczęście noc była księżycowa, prześliczna i tylko miejscami zanurzaliśmy się w ciemnej głębi niebotycznych, jodłowych lasów. Miejscami szumiały gdzieś w przepaściach wodospady górskich potoków, czasem otwierały się dalekie polany w poświacie księżycowej. Tuż obok gościńca na pagórku jakaś ogromna, długa, szara budowla. Jak się później dowiedziałem były to baraki wojskowe, zbudowane tam i zachowane jeszcze od r. 1849, gdy Rosjanie szli Austriakom na pomoc przeciwko zbuntowanym Węgrom na Siedmiogrodzie i ich dowódcy, naszemu dzielnemu generałowi Bemowi.

Bo to już była Siedmiogrodzka ziemia, na którą wstąpiliśmy po raz pierwszy w naszej tułaczce wojennej. O świcie, wynurzywszy się wreszcie z lasów i opuściwszy góry, zatrzymaliśmy się przed karczmą na popas w jakiejś bogatej wsi rumuńskiej. Ogromnie zmęczeni podróżą, weszliśmy do obszernej i dosyć schludnej izby tego zajazdu, gdzie posiliwszy się mlekiem gorącym, poukładaliśmy się na długich ławach, jak kto gdzie mógł i po chwili zmorzył nas sen głęboki. Po dobrej godzinie popasu ruszyliśmy w dalszą podróż. Wkrótce dobroczynne słońce ogrzało nas zziębniętych i całonocną podróżą strudzonych. Przejeżdżaliśmy krajem wesołym i bogatym. Na łąkach i ścierniskach pasły się trzody bydła, wsie porządnie zabudowane o domach murowanych i pięknych kościołach ze spiczastymi wieżycami. To były siedziby niemieckich kolonistów, Sasów Siedmiogrodzkich, ewangelików, którzy w tym kraju od dawna a głównie za Józefa II osiedli.

W jednej z takich wsi, już z daleka spostrze-

gliśmy tłum ludzi, zbliżający się ku nam dosyć szybko. Był to oddział węgierskiego „pospolitego ruszenia“, z kilku oficerami i małym oddziałkiem umundurowanych i uzbrojonych żołnierzy na czele. Zresztą sami cywilni chłopci rumuńscy i węgierscy w malowniczych różnobarwnych strojach, w czarnych kapeiuszach, ozdobionych wieńcami i bukietami kwiatów, jakoteż wstążkami o jaskrawych barwach węgierskich czerwono-biało-zielonych. Szli wszyscy piechotą w szeregach i kolumnach a tylko komenderujący oficer i jego adjutant na koniach. Oficer zatrzymał nas i troskliwie wypytywał, skąd i gdzie jedziemy i co wiemy o zbliżających się Rosjanach i o wojsku austriackiem na Bukowinie. Rozmawialiśmy po niemiecku. Wszystko, co tylko wiedziałem opowiedziałem dokładnie. Wkrótce ruszyliśmy dalej i dobrze już było z południa, gdyśmy wjechali do małego miasteczka Borgo-Prond, już połączonego linją kolejową z siecią węgierską. Lecz niestety poranny pociąg już odszedł, więc po krótkim zatrzymaniu się i wywiadzie co do rozkładu jazdy i małym targu dodatkowym z naszymi woźnicami pojechaliśmy do oddalonego jeszcze o kilkanaście kilometrów większego miasta Bistritz, czyli Bysłrzycy, skąd o godzinie 2-giej popołudniu odchodził pociąg pospieszny w stronę Budapesztu.

Gdyśmy około 1-ej godziny stanęli przed dworcem kolejowym i wysiedli z wózków, przedstawialiśmy opłakany obraz uchodźców wojennych. Po 24-godzinnej podróży na prymitywnych wehikułach lipowańskich, używanych zwykle tylko do robót ziemnych i wywożenia obornika na rolę, byliśmy śmiertelnie zmęczeni a ubrania nasze i fryzury w stanie

pożalowania godnym. Garstka ludzi przypatrywała nam się ciekawie i poważnie a nawet, jak można było zauważać, z pewną litością i współczuciem; były to pierwsze dni wojny i jeszcze się ludzie nie oswoili z takim widokiem, który stał się później tak powszednim. Byliśmy bardzo głodni, bo zapasy nasze wyczerpały się zupełnie. Dworzec zajęty był przez wojsko a restauracja zamieniona na lazaret, do którego automobilami zwożono rannych. Aby się zaopatrzyć w żywność, wziąłem jednokonkę żydowską z placu przed dworcem i kazałem się zawieść do miasteczka, gdzie zakupiwszy prowianty zaraz powróciłem na dworzec. Gdy chciałem płacić za drogę, poczciwy żydek odmówił przyjęcia pieniędzy ze słowami: „Ich danke, von Flüchtlingen nimm ich nichts an“.

Było w tym postępku coś niezwykłego i nawet rozczulającego. Na dworcu tymczasem zaroilo się od ludzi, cywilnych i wojskowych, między którymi po raz pierwszy ujrzelismy z dumą i radością naszego strzelca polskiego w szarym uniformie w maciejówce z orzełkiem. Ale przykry i bolesny był widok, gdy z automobila wynoszono ciężko rannego polskiego oficera. Widocznie gdzieś w pobliżu już się toczyły bitwy.

Po chwili siedzieliśmy w wygodnym przedziale drugiej klasy pospiesznego pociągu, pędzącego ku wnętrzu kraju. Zbyt jednak wszyscy byliśmy zmęczeni, byśmy się mogli zdecydować na drugą noc podróży. Więc rozejrzawszy się w rozkładzie jazdy postanowiłem tego dnia przenocować i odpocząć w Kołoszwarze, większem siedmiogrodzkim mieście, gdzieśmy stanęli o godzinie 6-tej wieczorem i za-

mieszkali w wygodnym i schludnym hotelu „Nowy Jork“ w śródmieściu.

Przez cały dzień 5 września zwiedzaliśmy to miasto. Miasto bardzo czyste i ma wiele pięknych budynków, teatr, uniwersytet, ogród botaniczny i pomnik króla Macieja Hunjadego.

Nazajutrz rano byliśmy w Budapeszcie, gdzie wskutek wojennego rozkładu pociągów kolejowych musieliśmy się znowu zatrzymać przez dzień cały.

Nic jeszcze w owym czasie nie zdradzało przynębenia wojennego, tak charakterystycznego w następnych latach; przeciwnie, wesoły gwar znamiłował pewność siebie i jakąś niefrasobliwość. Był to dzień niedzielny, więc ogromne tłumy publiczności odświeżenie przebranej, snuły się nad brzegami pięknego Dunaju, lub urządzały statkami bliższe i dalsze wycieczki. I my przeprawiliśmy się do Budy, gdzie prawie cały dzień spędziliśmy na zwiedzaniu prześlicznej baszty rybaków, kościoła św. Macieja i wspaniałej rezydencji królewskiej. Popołudniu w Peszcie oglądaliśmy pomniki Deaka i Koszuta, bohaterów walki o niepodległość w r. 1848 i 1849 i na placu Gizeli niezrównanej piękności pomnik poety węgierskiego i twórcy pieśni narodowych Vörösmarty'ego. Poeta, typowa węgierska postać siedzi na wysokim piedestale, u stóp którego dokoła żywym wieńcem otaczają go postacie mężczyzn kobiet i dzieci ze wszystkich stanów, splecione w uściskach lub trzymające się za ręce i śpiewające hymn narodowy, w którego dźwięki jakby zasłuchany jest autor poeta.

Jacy ci Węgrzy szczęśliwi, myśleliśmy. Mają niepodległość, cudny bogaty kraj, wspaniałą stolicę

i takie znaczenie w Europie a zwłaszcza w Austrii, w której właściwie rej wodzą. Prezydent Tisza decyduje niemal o wszystkim. A jednak porwał ich także szal wojny i poszli ujarzmić swobodne słowiańskie ludy południa.

Wieczorem wsiedliśmy do pociągu, odchodzącego do Wiednia i zaraz usnęliśmy. Obudził nas świt i okrzyki konduktorów, oznajmiających zbliżanie się do stolicy państwa austriackiego. Już po drodze do hotelu uderzyło nas jakieś przygnębienie ogólne Wiednia, malujące się na twarzach przechodniów, pilnie czytających najnowsze wiadomości w porannych dziennikach. Kupiłem „Neue Freie Presse“ i zaraz uderzył mnie napis nad wstępnym artykułem: „Lemberg gefallen“!

Ta groźna wiadomość wstrząsnęła nami do głębi. Wszelkie złudzenia zniknęły, nadzieja powrotu rychłego prysła i po raz pierwszy poczuliśmy się uchodźcami wojennymi, rzuconymi na łaskę losu. Co się tam dzieje? Co się stanie teraz z tem polskim miastem? Wyobraźnia malowała nam walki uliczne, szturm i rzeź, jak niegdyś zdobycie Pragi i Warszawy przez Suworowa. Na wszystkie te pytania i przypuszczenia nie było jasnej odpowiedzi w dziennikach a tylko bardzo smutne i bolesne pożegnanie Lwowa, jako perły korony austriackiej i zapowiedź rychłego jej odebrania z rąk najeźdźców, w co jednak po tylu zawodach trudno nam było uwierzyć. Zresztą poważny nastrój Wiedeńczyków i już nieukrywane wiadomości o wielkiej klęsce wojsk austriackich w Galicji Wschodniej nie wróżyły nic dobrego.

Postanowiłem po trudach takiej podróży odpocząć tylko kilka dni we Wiedniu, zaopatrzyć się w pie-

niądze i czempredzej podążyć do celu naszej podróży do Krakowa, aby tam przebyć czas wojennej zawieruchy.

Udałem się na policję, aby wyrobić dla nas przepustkę na podróż do Krakowa, odesłano mnie do inspekcji wojskowej na dworcu północnym. Przytem uderzyło mnie zdziwienie komisarza policji tem, że do Krakowa chcemy jechać, gdy wszyscy właśnie z tamtych stron na zachód i do Wiednia wyjeżdżają. Nazajutrz udało mi się uzyskać wojskowy „passierschein“ na cztery osoby do Krakowa. W czasie pobytu mego na dworcu północnym odjeżdżali stamtąd polscy ochotnicy legioniści do Krakowa. Uzyskałem jakoś wstęp na peron i razem z licznie zebraną publicznością polską z Wiednia serdecznie żegnałem naszych dzielnych chłopców. Wręczono im mnóstwo kwiatów i z pieśnią narodową na ustach odjechali na plac boju. Gdy pociąg zwolna opuszczał peron, rozległy się okrzyki: Niech żyje Polska! Szczęść Boże legionom polskim! po polsku i po niemiecku.

Wiedeń zapełniał się coraz bardziej uchodźcami z całej Galicji, więc gdyśmy drugiego dnia wieczorem odjeżdżali na dworzec północny, ludzie stawali na ulicach, dziwiąc się naszej odwadze. Podróż do Krakowa trwała pełnych 24 godzin. Jechaliśmy wygodnie, gdyż w wagonach, przeznaczonych dla cywilnych było zaledwie kilka osób. Zato w kierunku przeciwnym ruch panował ogromny. Mijało nas mnóstwo pociągów z rannymi, cały tren zakonu maltańskiego, pospolitacy z Moraw, pociągi z wojskiem. W Oświęcimiu widzieliśmy po raz pierwszy pruskich żołnierzy w wojennem uzbrojeniu, w pikielhaubach. W Krakowie

dworzec również obsadzony wojskiem. Zajechaliśmy narazie do hotelu Pollera.

Cały Kraków przepelniony był w owym czasie wojskami austriackimi, wszelkiej broni. Po ulicach uwijali się także bardzo licznie legjoniści polscy w szarych mundurach i czapkach, zwanych maciejówkami, które za przykładem Piłsudskiego, stały się pierwszym wojskowym nakryciem głowy polskich żołnierzy.

W Krakowie pozostaliśmy przez cały wrzesień. Być może, że wogóle bylibyśmy już tam na stałe pozostali, gdyby nie okoliczność, że wolne mieszkanie w domu naszym, na Podgórzu, zostało zajęte na szkołę dla wojska. Tak więc musieliśmy korzystać z gościnności sąsiadki naszej na Podgórzu. Zresztą ogólna sytuacja wojenna i położenie Krakowa pogorszyły się tak bardzo, iż zarządzono przymusową ewakuację tego miasta, jako twierdzy, której zagrażało oblężenie. Nauczeni smutnem doświadczeniem przebytych chwil w Czerniowcach, postanowiliśmy nie czekać, aż wybuchnie panika i ogólna ucieczka mieszkańców, lecz przedtem jeszcze we względnym spokoju przenieść się do Wiednia.

Lecz zanim to nastąpiło, dał nam ówczesny pobyt w prastarej stolicy Polski sposobność przeżycia wielu chwil niezwykłych i prawdziwie historycznych wypadków w dziejach wyzwolenia naszej Ojczyzny.

Żyliśmy wówczas, jak i wszyscy mieszkańcy Krakowa w nieustannem podnieceniu. Wywoływały je, nie tylko wiadomości z frontów bojowych i coraz bardziej zbliżający się do Krakowa najazd nieprzyjacielski, lecz także ruch niezwykły na ulicach miasta,

dniem i nocą ciągnące wojska, rozmaitej broni i narodowości, polskie, czeskie i ruskie pułki piechoty, huzarzy węgierscy, honwedzi, artylerja i bez końca przeciągające tabory wozów, automobile pędzące ku dworcowi kolejowemu i rozwożące rannych do miejscowych szpitali, urządzonych we wszystkich szkołach i budynkach uniwersyteckich, ciężkie treny amunicyjne i całe pociągi przemienione na warsztaty wojskowe. Było się na co patrzeć i słuchać. Co chwilę rozlegały się śpiewy żołnierzy, odgłosy komendy, turkot wozów i dudnienie po bruku ciężkich dział i jaszczyków lub ciężarowych automobilów.

Publiczność zalegała chodniki, grupami stojąc, przypatrywała się temu niezwykłemu ruchowi i żywo rozmawiała o wypadkach dnia. Tylko, gdy polskie oddziały strzeleckie przechodziły w żwawym marszu w stronę ulicy Wolskiej i Oleandrów, śpiewając przebudne pieśni wojenne, których tyle zrodziła ówczesna chwila, rozjaśniały oblicza wszystkich, ręce składały się do oklasków a usta wyrażały życzenia gorące i błogosławieństwa młodym żołnierzom polskim. W niejednem oku zakręciła się łza serdeczna a serce biło, wezbrane błogiem uczuciem, iż Bóg nam dozwolił dożyć tej chwili wytęsknionej i własnymi oczami oglądać polskich żołnierzy, o Polskę walczących z bronią w rękę na polskiej ziemi.

Na ustach wszystkich było imię Piłsudskiego, który w tej chwili już na czele walecznej i oddanej sobie młodzieży, staczał w Królestwie zwycięskie walki z Moskalami.

Tymczasem ze wschodniej Galicji nadchodziły smutne wieści. Niemieckie gazety wiedeńskie donosiły

o zniszczeniu całych ulic i budynków lwowskich, o zburzeniu prześlicznego, nowo zbudowanego kościoła św. Elżbiety, o znęcaniu się Rosjan nad ludnością; na szczęście wszystkie te wiadomości okazały się później tak samo kłamliwymi jak poprzednie wieści o zwycięstwach Austriaków. Jedno tylko było pewnem, że wśród powszechnej paniki, pierwsze uciekły ze Lwowa władze austriackie z namiestnikiem Korytowskim na czele, że wyjechał także prezydent miasta Neumann i kilkunastu radnych, bo ci bawili właśnie w Krakowie, więc tem bardziej niespokojni byliśmy i przejęci obawą o nasze rodziny i całą ludność Lwowa, wydaną w ten sposób na pastwę wroga. Dopiero znacznie później doszła nas wiadomość o bohaterskiem pozostaniu na placówce i skutecznej opiece, jaką otoczył miasto i całą ludność jego w tak poważnej chwili, sędziwy wiceprezydent miasta Dr. Tadeusz Rutowski.

W połowie września przysłyły wiadomości o nowej, przegranej bitwie pod Gródkiem Jagiellońskim i cofaniu się wojsk austriackich pod Sądową Wisznę. Wywołało to w całym Krakowie wielkie przygnębienie, które zamieniło się w popłoch, gdy na murach miasta pojawiły się ogłoszenia komendy twierdzy krakowskiej o bezpłatnych pociągach ewakuacyjnych dla ludności w ciągu najbliższych czterech dni od czwartku do soboty 20 września. Około 40 tysięcy ludzi skorzystało z tej sposobności i opuściło Kraków w tym czasie.

Myśmy jednak pozostali, gdyż nie chcąc jechać razem z tłumem uciekających, rozpocząłem starania o legitymację na wyjazd zwykłymi pociągami. Zresztą

po kilku dniach uspokoiło się nieco a nawet mówiono o jakimś zwycięstwie i wzięciu wielu ludzi do niewoli. Równocześnie po dwóch dniach pochmurnych i deszczowych znowu zaświeciło słońce i znowu powróciła jakaś otucha i nadzieja chwil lepszych.

Napisałem w owym czasie dla „Nowej Reformy“ mały artykuł z opisem ciekawszych epizodów naszych przejść wojennych, a chociaż kolega mój i współpracownik tego dziennika prof. Dąbrowski za mojem zezwoleniem wiele w treści tego opisu zmienił i opuścił, jednak prokuratorja i cenzura wojskowa skonfiskowały w całości. Tak to wówczas władze rządowe starannie zatajały prawdę.

Korzystając z pobytu w tem drogiem sercu polskiemu grodzie, zwiedzaliśmy z całą rodziną i znajomymi wspaniałe budowle i pomniki sławnej przeszłości naszej. Ja znałem Kraków dobrze, gdyż niegdyś tu najpiękniejsze lata mojej młodości przebyłem jako nauczyciel gimnazjum św. Anny i św. Jacka.

Pewnego razu w czasie zwiedzania katedry na Wawelu spotkaliśmy w kościele młodego podoficera legjonistę, w którym z radością poznałem naszego krewnego lwowianina, B. Jako żołnierz I Brygady, przydzielony do żandarmerji polowej, przybył na kilka dni do Krakowa w interesie służbowym i korzystając z wolnej chwili, zwiedzał Wawel. Należał on do tych, którzy nie czekając na wymarsz wschodniego legjonu, jeszcze w sierpniu opuścili Lwów i z Krakowa pod komendą Piłsudskiego, pierwsi wyruszyli na plac boju. Przybył z Kielc, które zajmowały wówczas nasze oddziały strzeleckie i od niego dowiedzieliśmy się

pierwszych autentycznych wiadomości o wstępnych bojach naszych żołnierzy w Królestwie.

Oto ich przebieg:

„Dnia 6 sierpnia o świcie, na kilkanaście godzin przed wypowiedzeniem wojny Rosji przez Austrię, wyruszyła z Oleandrów Krakowskich pierwsza tak zwana kadrowa kompanja strzelecka i już rankiem przekroczyła kordon graniczny, stwarzając w ten sposób, niezawisłe od kogokolwiek, fakt dokonany stanu wojennego między Polską a jej odwiecznym wrogiem Rosją, po przerwie 51 lat, od ostatniego powstania wynoszącej“.

To był fakt historyczny, pierwszorzędnego znaczenia, odwrócenie karty dziejów naszych i tego wielkopomnego faktu i zasługi jego twórcy Józefa Piłsudskiego, już nigdy ani zawiść obcych ani upodlenie swoich zmasać nie zdoła.

„We dwa dni później wyruszyły z Krakowa dalsze zastępy strzelców w łącznej liczbie dwóch tysięcy ludzi i już po sześciu dniach marszu dotarły do gubernialnego miasta Kielc, oddalonego przeszło 100 kilometrów od Krakowa. Pod Kielcami przyszło do bardzo ciężkiej dwudniowej walki z przeważającymi siłami rosyjskimi. Musiano nawet opuścić miasto, lecz gdy nadciągnęły dalsze posiłki, zajęto je ponownie dnia 18 sierpnia.

Chłopi w Królestwie dosyć obojętnie przyjęli wkraczających pierwszych żołnierzy polskich, zato ludność miejska i robotnicza z zapalem wszędzie ich witała i wkrótce mnóstwo ochotników zgłosiło się do szeregów narodowych“.

Z zapartym oddechem słuchaliśmy tego opowiadania; nazwiska dowódców: ukochanego Komendanta Piłsudskiego, szefa sztabu Kazimierza Sosnkowskiego, Śmigłego i twórcy pierwszego szwadronu

ułańów polskich i już w licznych potyczkach i wywiadach zasłużonego rotmistrza Beliny, wywoływały u wszystkich z nas szlachetną dumę, wdzięczność i uwielbienie.

Wkrótce potem w pięknej kawiarni Esplanad i u Hawelki spotkałem innych znajomych żołnierzy, byłych moich uczniów ze Lwowa, którzy przywieźli wiadomość o przystąpieniu Piłsudskiego do ogłoszonej właśnie organizacji Legionów polskich w Krakowie. Wobec obrzucania później zarzutem austrofilizmu pierwszych twórców polskiej siły zbrojnej w tej wojnie przez pisma narodowo-demokratyczne, pozwolę sobie tu przytoczyć mało znaną odezwę Józefa Piłsudskiego do Legionów polskich, która się wówczas okazała:

Kwatera główna, Kielce, 22 sierpnia 1914.

Żołnierze!

„Wśród powszechnej bierności naszego społeczeństwa, wypadki dziejowe zaskoczyły Polaków, zostawiając ich bez określonych decyzji, bez możliwości jednolitego i silnego postępowania. Koniecznem było, by najśmielsi i najenergiczniejsi wzięli na swoje barki odpowiedzialność, inicjatywę rzucenia iskry na proch. Tę iskrę rzuciliście, dając przykład innym, jako przodownicy walki narodu polskiego o niepodległość Ojczyzny.

Wystąpiliśmy jako garstka. W Kielcach i pod Brzegami wstrzymaliśmy przemoc odwiecznego wroga, zasłaniając sobą to, co już było wolne od stopy najeźdźcy. Obecnie naród budzić się zaczyna i nie chce nas zostawić samotnymi tak, jak byliśmy dotychczas. W Krakowie zawiązał się Naczelny Komitet Narodowy ze wszystkich stronnictw polskich, który za

zgoda austro-węgierskiej monarchji ma wystawić Legjony Polskie do walki z Rosją.

Po porozumieniu się z tajnym Rządem Narodowym w Warszawie, zgłosiłem w swoim i waszem imieniu przystąpienie do organizacji szerszej, zapewniającej wojsku polskiemu większe środki i silniejsze działanie.

Według umowy zawartej między Naczelnym Komitetem Narodowym a dowódcą naczelnym armji austriackiej, oddziały nasze mają być kadrami formujących się Legjonów.

Dziękuję wszystkim szarżom i żołnierzom za trudy i pracę dotąd czynione i chcę wierzyć, że zapał i dyscyplina wojskowa, które dotąd wykazujecie, będą dostateczną siłą, by przyszłe Legjony natchnąć pewnością zwycięstwa.

Z wiarą taką oddział nasz zejdzie na czas pewien z przednich wysuniętych linii bojowych, by dopełnić swej misji organizatorskiej.

Józef Piłsudski

Komendant główny.

Treść powyższej odezwy była wiernem odbiciem ducha, jaki ożywiał wówczas wszystkich gorących patriotów i kierowników ruchu politycznego i wojennego u nas; czy było w niej jakieś zaprzękanie Austrii, czy tylko konieczność układów dla uzyskania możliwości organizacji i wyekwipowania własnych polskich sił zbrojnych, niech osądzą uczciwi i bezstronni ludzie, niech osądzi historia! Mojem zdaniem, inaczej i lepiej postępować u nas w owym czasie, nie można było. Skazywać naród polski wówczas na zupełną bezczynność, na oczekiwanie z założonemi rękami wyniku wojny światowej, znaczyło oddać go na pastwę Austriakom, wietrzącym i tak wszędzie zdradę i Moskałom niosącym śmierć i zniszczenie.

Zresztą ci sami żołnierze, ta sama młodzież, która zapełniała Legjony i walczyła pod polską komendą i dla polskiej sprawy, byłaby znalazła się prędzej lub później w szeregach armji austriackiej lub rosyjskiej i pod obcą komendą służyła i walczyła dla obcych nam celów. Setki tysięcy jeśli nie miliony naszych ludzi doznało takiego smutnego losu, ale ta garstka polskich żołnierzy, polskich legjonów, była jakby zakładnikiem wyłącznie polskiego interesu i drogowskaniem polskiej myśli politycznej w tej wojnie.

Zresztą w owym czasie, w połowie września 1914 r. była u nas jeszcze w orientacji politycznej jedność. Szczera czy nieszczera, a choć tylko pozorna, ale jedność, a wyrazem jej zewnętrznym był utworzony zgodnie przez wszystkie stronnictwa polskie od konserwatystów do polskich socjalistów, Naczelny Komitet Narodowy, rezydujący w Krakowie w gmachu dawnej Szkoły Przem., przy ul. Gołębiej w śródmieściu.

Zaraz po przybyciu do Krakowa udałem się tam i zgłosiłem się do jakiegokolwiek służby u wiceprezesa Komitetu p. Leopolda Władysława Jaworskiego, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Znałem profesora Jaworskiego już dawniej, z Wiednia, z działalności jego w parlamencie i jeszcze z dawniejszych czasów. Kilku dobrych znajomych i przyjaciół znalazłem też w departamentach N. K. N.

Panował tam ruch niezwykle od wczesnego rana do nocy. Mnóstwo osób rozmaitego stanu, wieku i płci zbierało się tam i zalegało tam nie tylko biura urzędujące, lecz i kurytarze budynku, ciągle przyjeżdżali i odjeżdżali kurjerzy wojskowi i cywilni na fronty bojowe i z frontów i w rozmaite miejsca. Był

to czas organizacji i wielkiego zapалу u wszystkich. Odbierano informacje, rozkazy i polecenia. Departamenty prasowy, skarbowy i organizacyjny pracowały bez wytchnienia.

Przydzielony zrazu do prowiantury wojskowej, miałem sposobność poznać także owe słynne „Oleandry“, t. j. obóz legionistów w parku Jordana na błoniach za rogatką Wolską, gdzie w kilkunastu domach, pozostałych po wystawie budownictwa polskiego mieściły się kadry wojskowe Legionów polskich. Pracowało tam gorączkowo niemal dzień i noc wiele osób z najwyższem poświęceniem. Stamtąd co kilka dni odchodziły na front do Królestwa nowo zorganizowane oddziały, tam zgłaszali się ochotnicy, tam oczekiwano wówczas z niecierpliwością i niepokojem nadejścia Legionu Wschodniego, który w sile przeszło 6.000 ludzi opuścił Lwów i zdążył do Krakowa dla połączenia się z pierwszą brygadą. Lecz już wówczas zaczęły krążyć wieści, zrazu niepewne, potem coraz bardziej smutne i przykre o ludziach, którym powierzone było doprowadzenie tych żołnierzy polskich do Krakowa. Gorętsi mówili o zdradzie sprawy narodowej przez przewódców i o zupełnem rozbiciu tych legionów.

Wycofałem się z prowiantury, na czele której stał w owym czasie p. Henryk Löwenfeld a sekretarzem był p. Müller, którego miałem zastępować, gdyż mieszkając bardzo daleko, bo aż na Podgórzu, nie chciałem przekraczać porządku i rygoru wojskowego, jaki tam panować musiał. Zresztą bardziej przydatnym mogłem być w biurze prasowem, gdzie też później pracowałem czas dłuższy.

Tymczasem dnia 19 września nadeszły jak najgorsze wiadomości wojenne. Austrjacka armja Dankla po rzekomem krwawem zwycięstwie pod Kraśnikiem, wraca z pod Lublina, ustępując przed natarciem Rosjan a i po drugiej stronie Wisły z powodu nadciągającej od północy wielkiej nawały moskiewskiej, nastąpił odwrót wojsk austriackich. Także i Legjony polskie po trzech tygodniach pobytu w Kieleckiem, musiały wśród ciągłych walk i utarczek z przeważającymi siłami rosyjskimi ustąpić na południe, aby bronić przejść przez Wisłę między Opatowem a Szczucinem, aby osłonić odwrót Dankla.

Wieczorem tegoż dnia w „Esplenadzie“ wobec licznie zebranych gości opowiada przybyły ze wschodu p. Dunka de Sajo o bezładnej ucieczce Austrjaków ze Lwowa, o rabowaniu i paleniu wsi i miasteczek galicyjskich przez cofających się honwedów.

Nazajutrz, 20 września, smutny, ponury deszczowy dzień jesienny. Usposobienie ogólne bardzo przykre, gdyż wszystkie te wieści potwierdzają się. Moskale zajmują znowu całe Królestwo aż po Miechów. Legjony wycofują się do Galicji przez Wisłę i tu w Gręboszowie jakiś czas po krwawych trudach odpoczywają. Istotnie krwawe to były trudy, zaszczytne przez Legjonistów spełnione. Nie dopuszczając nawały rosyjskiej do przeprawienia się przez Wisłę, zasłoniły Legjony polskie odwrót armji austriackiej generała Dankla z pod Lublina. Odwrót ten był konieczny, gdyż wówczas w drugiej połowie września, Rosjanie pobiwszy ponownie Austrjaków na głowę w wielkiej bitwie pod Gródkiem Jagiellońskim, oblęgli Przemyśl i zwycięsko posuwali się na zachód,

a przy równoczesnej ofensywie rosyjskiej od północy, mogli odciąć i otoczyć armję Dankła w zupełności.

Upłynęło kilka dni w bardzo ponurym nastroju. Z kraju wiadomości coraz gorsze. Wszystko ucieka. Starosta w Drohobyczu pali akta na rynku. Żadnych depesz, nawet urzędowych już do Galicji nie przyjmują. Często zachodzę do Starostwa górniczego, gdzie mam dobrych znajomych i przyjaciół.

Tymczasem w mieście opowiadano o ciągłych aresztowaniach jakichś szpiegów i o sądach doraźnych wojskowych w więzieniu przy ul. Montelupich. Między uwięzionymi było podobno wielu niewinnych, szczególnie obcych Francuzów, których wojna u nas zaskoczyła. Z pośród wielu innych przypominam sobie nazwisko Szmacera, bogatego Paryżanina, przemysłowca, który przybywszy do Krakowa w odwiedziny do swego zięcia, został uwięziony i groziło mu rozstrzelanie, jako szpiegowi. Gorąco wstawiano się za nim, nie wiem z jakim skutkiem. Ale to wszystko razem wywoływało uczucie zdenerwowania i niepokoju. Taka ciągła niepewność, co nam jutrzejszy dzień przyniesie. Ciągłe nadśłuchiwanie wieści trwożliwie szeptanych, tajemnicze rozmowy wojskowych i cywilnych grupami na ulicach stojących, handelki i kawiarnie przepełnione wprawdzie jak dawniej — lecz zamiast gwaru wesołego, tak charakterystycznego dla Krakowa, cicho szepcące grupy ludzi — to wszystko nie wróżyło nic dobrego.

W Banku Przemysłowym poznałem hr. Dominika Potockiego, podporucznika ułanów, przydzielonego do generalnego sztabu, który właśnie powrócił

z frontu galicyjskiego. Przywiózł on bardzo złe wieści. Pierwszy korpus pruski dotychczas zupełnie rozbity w Galicji a także austriacki korpus generała Kummera. Jasło będzie jeszcze w ciągu tego dnia (24 września) zajęte. Wogóle olbrzymie siły moskiewskie zbliżają się coraz bardziej do Krakowa. W dotychczasowych walkach odznaczyli się najbardziej 13 pułk piechoty i legioniści pod Piłsudskim, o których bohaterstwie wyrażał się z entuzjazmem.

Tegoż dnia popołudniu zwrócił powszechną uwagę najpierw olbrzymi tabor wozów, który przez kilka godzin ciągnął przez miasto. Wieczorem zaś na Podgórzu zaroіło się od Prusaków. Mieszkańcy tłumnie wylęgli na ulice, aby przypatrzeć się tym „sojusznikom“, których olbrzymie masy najeżone piket-haubami, w głębokich kolumnach, miarowym krokiem maszerowały przez most Podgórski.

Po słotnym dniu, nastala pogodna noc księżycowa. Potężne mury Wawelu rysowały się z daleka a baszty i wieżycy królewskiego zamku zdawały się pytać, co znaczy to dziwne zjawisko? Przecież to potomkowie Krzyżaków, których niegdyś władca tego zamku i kraju pod Grunwaldem rozgromił jako najcięższych wrogów Litwy i Polski! Cóż oni tu dzisiaj robią.

Niezbadane są wyroki boskie! Oto ci sami zmuszeni są dzisiaj bronić tego zamku i tego ludu przed zalewem nawały moskiewskiej.

Więc dziwnie pomieszane uczucia otuchy i jakby lęku równocześnie, opanowały nas wówczas. Mała, kilkunastoletnia dziewczynka Lilusia, córeczka naszej gospodyni wraz z naszą siostrzenicą Olą Zarzycką,

ułożyły wówczas, trawestując znanego Krakowiaka, następujący wierszyk, dobrze oddający nasze nastroje i uczucia:

Na Wawel, na Wawel Prusaku pobieżaj,
Przed wielkością Polski czołem tam uderzaj
Pokłonem powitaj prochy Jagiełłowe,
Co was pod Grunwaldem powalił na głowę.
Niech to przypomnienie męstwo w was rozpala
Byście z równą siłą pobili Moskała!

Jakoś nie wnieśli ci nasi podejrzani sprzymierzeńcy uspokojenia do zdenerwowanego miasta. Zaraz bowiem nazajutrz pojawiły się na murach afisze zapowiadające ponownie ewakuację Krakowa, tym razem już przymusową dla wszystkich, którzy nie mogli się wykazać dostatecznym zaopatrzeniem w zapasy żywności na czas dłuższy. Odtąd odchodziły codziennie pociągi przepełnione niezamożnymi mieszkańcami uwożąc ich na koszt państwa, lub za ustanowioną opłatą 1 korony dla dorosłych a 60 halerzy dla dzieci w stronę Morawii i Czech.

Pod koniec września dobrze pochłodziło. Mimo odejścia Prusaków na front, wiadomości coraz gorsze nadchodziły; Moskale zajęli już Żabno pod Tarnowem, a oblężenie Krakowa wydawało się nieuchronnem. Sytuacji nie poprawił nawet Hindenburg, wsławiony niedawno odniesionem zwycięstwem nad Moskalami przy Mazurskich jeziorach w Prusiech Wschodnich. Teraz przybył on 27 września wraz z 10 oficerami sztabowymi do Krakowa, aby powstrzymać odwrót austriackiej armji Dankła, która niemal w popłochu cofała się w stronę Żywca. Jak się komendy i oficerowie austriaccy obchodzili z ludnością a szczególnie z obywatelstwem wiejskiem bezwzględnie i po

barbarzyńsku, teraz dopiero można się było nasłuchać. Rekwizycje i konfiskaty zboża i koni, bydła i wozów a wszelkie przedstawienia i wyrzuty galicyjskich Polaków nic nie pomagały. Z oburzeniem i butą odpowiadali: *Was wollt ihr, wir sind ja doch im Feindeslande*. Tak było już w czasie pochodu naprzód a coś dopiero w czasie odwrotu! Wszędzie wietrzono zdradę a doraźne sądy wojskowe bez miłosierdzia rozstrzeliwały i wieszały rzekomo podejrzanych. Często jednak komendanci nawet bez sądu tracili najniewinniejszych ludzi. Taki wstrząsający grozą wypadek opowiadał mi pewien lekarz, Polak, przydzielony do niemieckiego pułku strzelców tyrolskich tak zwanych „Kaiserjägerów“, zakwaterowanych w pewnej wiosce polskiej w pobliżu dawnej granicy galicyjskiej. Na wieży dzwonnicy wiejskiego kościółka zatknięto czarno-żółtą chorągiew. Tymczasem źle umocowana, przechyliła się znacznie od wiatru. Lekarz ów spostrzegłszy to, polecił małemu, zwinnemu chłopakowi, aby wylazł na dach i poprawił chorągiew. Sam jednak nie mógł dopilnować tego, bo już wóz czekał mający go odwieźć do sąsiedniej wsi, gdzie byli ranni w lazarecie polowym. Kiedy powrócił, chciał wynagrodzić owego chłopaka i dopytywał się o niego. Jakież było jego przerażenie, gdy mu pokazano chłopca powieszzonego na drzewie w pobliżu kościoła! Chłopak tłumaczył się ze łzami, błagał po polsku — nie rozumiano go wcale, wzięto go za zdrajcę i szpiega, a nieludzki oficer Niemiec, postąpił z nim jak nieodrodny Krzyżak! Podobnych wypadków było bez liku i jeszcze stokroć straszniejszych — czyż można się dziwić, że serca ludności

polskiej w Królestwie wcale nie sprzyjały tym „oryginalnym oswobodzicielom“.

Wreszcie i na nas przyszedł czas wyjazdu z Krakowa, bo i my nie mieliśmy zapasów żywności ani nawet własnego mieszkania. Uzyskawszy wreszcie legitymację i pozwolenie na wyjazd do Wiednia, dnia 1 października wieczorem wyruszyliśmy do stolicy państwa austriackiego. Tegoż dnia rano, żegnaliśmy jeszcze na krakowskim dworcu towarowym II. Brygadę Legjonów, odchodzącą pod komendą generała Durskiego na Węgry. W pośród kawalerzystów znajdowali się znani nam dobrze od dziecka dwaj dzielni młodzieńcy, bracia Józef i Mieczysław Zalescy, synowie naszego przyjaciela. Dziarsko prezentowała się młodzież nasza w nowych mundurach i dobrze uzbrojona. Wesołe rozlegały się pieśni, gorące pożegnania i uściski, a piękne Krakowianki kwiatami zasypały wagony w których na krwawe boje odjeżdżali polscy żołnierze. Niech ich Bóg prowadzi i strzeże.

III.

Dzieje brygady Piłsudskiego 1914–1915.—Jesień we Wiedniu 1914. — Wyjazd do Czerniowiec, chwilowo uwolnionych od najazdu rosyjskiego. — Służba w N. K. N. we Wiedniu. — Polskie nastroje polityczne.

Zanim opiszę dalsze dzieje naszego tułactwa wojennego, muszę choć w krótkim zarysie skreślić dzieje oddziału Piłsudskiego. Jest to nie tylko potrzebą mego serca, lecz koniecznym uzupełnieniem mego opowiadania dla zrozumienia ogólnego nastroju, jaki panował u gorętszej patriotycznej części społeczeństwa polskiego w kraju i na uchodźstwie.

Codziennym niemal tematem rozmów naszych prywatnych i publicznych były wypadki, działania, pochody, odwroty, walki i odpoczynki tego oddziału, nazwiska bohaterskich dowódców od ukochanego Komendanta poczynawszy, były wszystkim znane, czyny ich gorąco omawiane a każda wieść z obozu legjonowego, przywieziona przez kurjera lub przygodnego gościa na froncie, rozchodziła się lotem błyskawicy wśród Polaków, chociaż z reguły dzienniki polskie i niemieckie z wyższych względów wojskowych czy też politycznych o tem milczały. Czasem tylko ko-

munikaty bojowe i to częściej niemieckie jak austriackie donosiły w krótkiej wzmiance o dziarskiem sprawieniu się polskich legjonistów w jakiejś potyczce lub bitwie.

W okresie nieco późniejszym, tak samo walki drugiej Brygady Legjonów w Karpatach i na Węgrzech były przedmiotem powszechnego zainteresowania, trosk, niepokojów i opieki, na jaką tylko zdobyć się mogły serca Polaków galicyjskich, samych rozbitych i rozprószonych wówczas po rozmaitych prowincjach Austrii a skupionych głównie we Wiedniu, lub w tym małym zakątku Krakowskim i na Śląsku, wolnych jeszcze od najazdu moskiewskiego. Ale we wrześniu, październiku, listopadzie i grudniu 1914 roku, dochodziły przedewszystkiem wieści z Królestwa i z Galicji od walczących tam nieustannie z przeważającemi siłami wroga kilku bataljonów polskich żołnierzy pieszych wraz z zaimprovizowanym oddziałem jazdy i małą baterją muzealnych armatek, pod naczelnem dowództwem Józefa Piłsudskiego, którego nazwisko i postać, jako pierwszego, nieustraszonego twórcy i kierownika polskiej siły zbrojnej, urastała olbrzymio w oczach i umysłach współczesnych a z każdym jego nowym czynem wojennym przyoblekała się promienną aureolą niezwyciężonego wodza narodu. Dziś nie ulega wątpliwości, że odważny czyn Piłsudskiego z 6 sierpnia 1914 był zarazem pierwszym głośnem wysunięciem sprawy polskiej na arenę polityczną wojny światowej i od powodzenia tego czynu zależało w wielkiej mierze dalsze ukształtowanie się tej sprawy.

Piłsudski rozumiał to dobrze, że dając żołnie-

rzowi polskiemu broń do ręki, uczył go nie tylko walczyć i zwyciężać, lecz umiał go także chronić w potrzebie i nie szczędząc ofiary zdrowia i życia tam, gdzie tego wymagała potrzeba wojny, obowiązek żołnierski i honor narodu, jednak od tysiąckrotnie grożącej zagłady umiał swoją brygadę ocalić i mimo strat koniecznych szczęśliwie ją przeprowadził przez różne fazy wojny aż do swego ustąpienia i niewoli niemieckiej. Całe korpusy i armje rozpraszały się i ginęły w tej wielkiej zawierusze wojennej bez śladu, więc zupełne rozbicie i rozprószenie małej garstki ludzi, jaką stanowił w największym swoim rozwoju 5-ciotysięczny oddział Piłsudskiego, mogło być dziełem jednego nieogłédnego ataku lub zasadzki; strata taka nie mogłaby nawet wcale zaważyć na losach wojny, ale jakimżeby była niesłychanym ciosem moralnym dla wyzwalającego się ducha narodu, dla jego nadziei i dążeń!

Działania bojowe oddziałów Piłsudskiego w tym czasie dadzą się ująć w trzy okresy jakby w trzy obrazy odrębne, całość stanowiące; pierwszy, to wyprawa Kielecka z licznymi potyczkami i utarczkami na przestrzeni między Krakowem a Kielcami w czasie od 6 sierpnia do 23 września 1914; drugi to wyprawa pod Dęblin i Warszawę od 28 września do 23 listopada 1914, w której oprócz bardzo licznych potyczek stoczono już wielkie bitwy pod Laskami, Brzegami, Krzywopłotami; a trzeci obejmuje wszystkie boje na południe od Wisły na Podhalu aż po Nowy Sącz i Tarnów z krwawymi walkami pod Marcinkowicami w okolicy Limanowej i sławną 4 dniową bitwą pod Łowczókiem w czasie od 23 listopada aż do pierw-

szych dni stycznia czyli aż do postoju i dłuższego odpoczynku w Kętach.

Miasto Kraków stanowi punkt węzłowy w tych działaniach, jako punkt wyjścia i wielokrotnego przejścia, jako podstawa operacji i źródło rezerw i wreszcie jako siedziba cywilnej władzy najwyższej: Naczelnego Komitetu Narodowego.

Jakkolwiek pod względem taktycznym nie stanowią oddziały Piłsudskiego samoistnej jednostki bojowej, lecz są poddane ogólnym rozkazom naczelnej komendy armji austriackiej (A. O. K.) a później częściowo niemieckiej, chociaż nawet w tym okresie rzadko kiedy są wszystkie bataljony Piłsudskiego skupione razem i razem w walce użyte; przeciwnie często poszczególne bataljony bywały detaszowane i odkomenderowane, to jednak utrzymywało się wśród nich zawsze silne poczucie jedności i przynależności wspólnej a Komenda i Sztab umiały zawsze swoją samodzielność i odrębność zaznaczać i zachować i zarówno Austriaków jak i Niemców do uszanowania jej zniewolić. Od samego początku była to armja polska z polską komendą i sztandarami i polską ideą niepodległościową złączona.

Wprawdzie pierwsza kompanja „Kadrowa“ już 6 sierpnia 1914 o świcie opuściła Oleandry w Krakowie i nad ranem przekroczyła granicę Królestwa w Michałowicach a następnie szybkim marszem wyruszyła przez Słomniki i Miechów na północ, lecz inne uzupełniające oddziały i dowództwo wyruszyły z Krakowa dopiero w następnych dniach i postępując tą samą drogą na Miechów i Jędrzejów znalazły się w Kielcach dopiero 12-go sierpnia w chwili, gdy

od strony północnej dochodziły odgłosy strzałów kawalerji Beliny z kilkunastu jeźdźców złożonej przeciwko nadchodzącym patrolom kozackim.

Kiedy jednak patrole polskie przyniosły wiadomość o nadciąganiu większej siły moskiewskiej, złożonej z całej brygady straży pogranicznej i dwóch pułków kawalerji huzarów i kozaków, wówczas, szef sztabu oddziału polskiego Kazimierz Sosnkowski, nie chcąc narażać miasta na walki uliczne i ewentualne zniszczenie, polecił wycofanie się i zajęcie odległego o tysiąc kroków od dworca Czarnowy, folwarku położonego na wzgórzu w dogodniejszej do obrony i ataku pozycji. Nazajutrz zbliżyły się oddziały rosyjskie i zaczęły ze wszystkich stron okalać Polaków, którzy rozsypani w linje tyraljerskie przyjęli nad wyraz mężnie i spokojnie rozpoczynającą się bitwę. Naszym przybył na pomoc oddział konny lwowskiego Sokoła w sile 46 ludzi pod dowództwem kpt. Śniadowskiego, który zaraz przez przezornego szefa sztabu został użyty do zabezpieczenia linji odwrotu na szosie Chęcińskiej.

Około południa zaczęły grać armaty rosyjskie, prażąc szrapnelami najpierw linje tyraljerskie a potem obrzucając granatami podwórze folwarku, gdzie stały tabory legionowe a między nimi wóz ze 160 kg. dynamitu. Jeszcze z godzinę wytrzymały polskie oddziały strzeleckie i ten pierwszy chrzest armatni wojenny, a gdy wreszcie dano rozkaz odwrotu, w największym porządku i spokoju, kolejno wycofały się szosą chęcińską w lasy Karczówki, gdzie tymczasem jazda polska odpędziła kozaków.

Pod Chęcunami nadciągnęła oczekiwana pomoc;

to główny Komendant Józef Piłsudski na czele bataljonu strzelców przybywa i objąwszy dowództwo, nakazuje zaraz przeprawę na prawy brzeg Nidy, wybiera dogodną pozycję i uszykowuje oddziały do przyjęcia bitwy z nadciągającym nieprzyjacielem. Lecz dopiero nazajutrz 14 sierpnia wywiązała się dwugodzinna utarczka, zakończona odparciem i cofnięciem się Moskali na całej linii, poczem nastąpił pościg i pochód naprzód, a już 22 sierpnia zajął pułk Piłsudskiego liczący już 5 bataljonów napowrót Kielce, gdzie w pałacu gubernatorskim urządzono główną komendę legionów na czas dłuższy. Tymczasem od strony Krakowa wkroczyły w ślad za legionami polskimi większe siły austriackie i posuwały się zwolna po lewym brzegu Wisły w stronę północno-wschodnią, towarzysząc równoczesnemu pochodowi armji generała Dankla w kierunku Kraśnika i Lublina po drugiej stronie Wisły.

Postój, organizacja i zagospodarowanie się Legionów w Kielcach przy równoczesnych wyprawach większych i mniejszych oddziałów we wszystkich kierunkach trwały aż do 10 września, a więc blisko miesiąc i w tym czasie wzrosły siły polskie przez napływ ochotników miejscowych, częste przejścia Polaków z armji rosyjskiej i przymarsz nowych oddziałów z kadrów w Oleandrach w Krakowie do liczby 6 bataljonów piechoty i 2 szwadronów jazdy.

Jakie usługi oddawała kawalerja polska od samego początku, od owego 2 sierpnia 1914 w którym na rozkaz Piłsudskiego wkroczył Belina na czele 6 pieszych strzelców w granice Królestwa, a już po drodze dostawszy 5 koni patrolował jako szpica wkra-

czającej kadrowej kompanji polskiej i zajął miasteczko Słomniki, a następnie po utarczce z kozakami, Miechów w imieniu Rządu Narodowego, jak następnie w czasie bitwy kieleckiej i odwrotu i w całej tej kampanji cudów waleczności dokazywał, o tem zaraz głosiła Krakowianinom wojenna piosenka ułańska, którą już we wrześniu 1914 r. śpiewano na ulicach Krakowa:

Hej tam pod Warszawą, modra Wisła płynie
Szemrzą fale, fale szemrzą piosnkę o Belinie,
Piosnkę o Belinie i jego ułanach
Wyjm Belino swą szabelkę, siej postrach w ty-
[ranach

Lecz już 10 września zamiast iść naprzód ku Warszawie, zmuszone były oddziały polskie ogólnemi wypadkami wojennemi, jakie w tym czasie zaszły w Galicji, do odwrotu z Kielc w kierunku Wisły i obrony tej rzeki w okolicy Szczucina przed napierającemi wojskami moskiewskimi. Zadanie to spełniły oddziały nasze znakomicie staczając aż do 23-go września przeważnie na lewym północnym brzegu Wisły ustawiczne utarczki i bitwy z przeważającemi siłami rosyjskimi. Pod osobistem dowództwem Komendanta Piłsudskiego, cudów waleczności i nieustraszonej odwagi dokazywali nasi ułani i piechota, zaopatrzona wreszcie w Mannlichery, szczególnie w okolicy Nowego Korczyna i pod Szczytnikami, gdzie w nocnym ataku wycięto w pień całą sotnię kozaków i z bogatym łupem w koniach, siodłach, uprzęży i broni powrócono do własnych pozycji. Dzieje owych czasów żyją do dziś we wspomnieniu żołnierskiem,

jak najczarowniejszy obraz prawdziwie homeryckich walk i zapasów bohaterskich.

Marsz nocny odbył się bez przeszkód, Korczyn został zajęty i wówczas ochrona Wisły zamieniła się w ofensywę, która wyruszyła na północ po obu brzegach Nidy. Przez kilka dni aż do 22 września posuwali się nasi żołnierze naprzód, wszędzie staczając bohaterskie walki z wielokroć przeważającym nieprzyjacielem. Niestety, spalenie mostu pod Szczucinem przez wojska austriackie i zupełne opuszczenie strzeleckich oddziałów, które jedynie same działały na terenie Królestwa w tym czasie a pozostawione same sobie, bez artylerji i karabinów maszynowych, były wystawione jakby na niechybną zgubę, spowodowały Komendanta do wydania rozkazu odwrotu i przeprawy na południowy brzeg Wisły. Było to tembardziej wskazane, że Wisła i Dunajec wzbierały z każdą sekundą i wreszcie rozlały się jakby w zatokę morską, wzburzoną wirami spienionej wody. Zebrawszy wszystkie swe bagaże, 19 zabitych i 14 rannych przeprawiły się szczęśliwie wszystkie oddziały polskie na promach i pontonach przez wezbraną rzekę i dnia 23 września znalazły się na dobrze zasłużonym wypoczynku w Gręboszowie w Galicji, witane przez ludność wiejską z ogromną radością i gościnnością.

Tak na samym początku wojny światowej spełniły bohatersko swoje zadanie polskie oddziały zbrojne zasłaniając odbywający się w tym samym czasie odwrot armji generała Dankla z pod Lublina.

Kiedy w połowie października podjęły armje mocarstw centralnych nową ofensywę przeciwko Rosjanom, przeprawiła się także i I. Brygada ponownie

przez Wisłę do Królestwa Polskiego i dążąc lewym brzegiem, postępowała forsownie na front bojowy pod Dęblinem. Wielkie nadzieje rozbudziły się znowu, w polskich szeregach wierząco powszechnie, iż tym razem uda się uwolnić z pod panowania wroga nie tylko wielką część kraju, lecz nawet zająć Warszawę. Dlatego przyjęto z radością przydzielenie do armji niemieckiej, operującej pod stolicą, dwóch bataljonów legjonowych drugiego i czwartego pod dowództwem majora Norwida i kapitana Wyrwy, podczas gdy Komendant Piłsudski poprowadził osobiście cztery inne bataljony w stronę Dęblina.

Niestety krótko trwała ta radość, a uroczyste wkroczenie naszych do wolnej Warszawy, okazało się złudzeniem. Już w okolicy Grojca na 40 kilometrów od Warszawy, zmuszeni byli legjoniści do zmiany kierunku pochodu na zachód ku Skierniewicom i Łowiczowi, gdyż już w tym czasie cała armja niemiecka cofała się pospiesznie na zachód i południe poza rzeki Bzurę i Pilicę. I znowu polskim oddziałom przypadło zadanie obrony tych rzek i przepraw dla zasłony odwrotu głównych sił niemieckich, które nie mogły wytrzymać naporu olbrzymiej nawały moskiewskiej, rzuconej na front nadwiślański. I znowu w ciężkich zmaganiach wśród nieustannych walk i konieczności torowania sobie bagnetem drogi przez osaczających ze wszystkich stron nieprzyjaciół, zasypywane nieustannie ogniem armatnim i karabinowym przedostały się szczęśliwie bataljony polskie do Kalisza i Ostrowa, skąd koleją poznańską wróciły do Krakowa.

Tymczasem Piłsudski na czele swoich oddzia-

łów stoczył na froncie Dęblińskim dwie bardzo krwawe i zwycięskie bitwy z Rosjanami pod Anielinem i Laskami, gdzie młody żołnierz polski, nie tylko w okopach pod straszliwym ogniem wytrzymywał kilkanaście ataków moskiewskich, lecz z takim zapałem i nieustraszoną walecznością wykonywał szturm na bagnety, iż porwał za sobą do ataku całą linię wojsk austriackich. Ukochany Komendant i dowódcy wszędzie na przedzie walcząc, wystawiali się osobiście nieraz na największe niebezpieczeństwo, i wtedy to powstała legenda o tym Piłsudskim, „którego się kule nie czepiają” i sławą okryły się imiona majora Rydza Śmigłego, co w bitwie pod Anielinem przełamał oskrzydlenie całej dywizji i w ataku na bagnety wziął przeszło dwieście jeńców, jakoteż kapitana Żymirskiego, co idąc na czele do ataku, padł ciężko ranny na placu boju, a przewieziony do szpitala we Wiedniu długo walczył ze śmiercią, dopóki młodość i zdrowy organizm nie zwyciężyły. Także inni dowódcy bataljonów i wielu oficerów odniosło cięższe lub lżejsze rany a kilkudziesięciu legjonistów oddało swe młode życie za Ojczyznę. Już z końcem października zdawało się, że Rosjanie dłużej nie wytrzymają, gdyż stanowiska ich pod Dęblinem były poważnie zachwiane, gdy odwrót Niemców z pod Warszawy spowodował i tutaj rozkaz do ogólnego odwrotu.

Ciężko i trudno było Polakom opuszczać miejsca swoich zwycięstw i sławy i uczynili to tylko pod przymusem ogólnej sytuacji bojowej, gdy wielkie armje, niemiecka i austriacka, nie wytrzymały naporu kolosu rosyjskiego. Wtedy to Komendant Piłsudski,

postępując ze swoim oddziałem zupełnie odosobniony, daleko na tyłach cofających się szybko Austriaków, wykonał z Uliny Małej ów sławny w dziejach sztuki wojennej odwrót. Manewrując po mistrzowsku wśród otaczających go ze wszystkich stron olbrzymich sił nieprzyjacielskich, nocami i lasami maszerując a w dzień zapadając jakby pod ziemię, wyprowadził szczęśliwie bez jakiegokolwiek straty swoich żołnierzy jakby z lwiej paszczy i 11 listopada stanął w Krakowie.

Jeszcze jedną bardzo twardą i zaciętą walkę przyszło stoczyć innym oddziałom I. Brygady podczas odwrotu z pod Dębłina. Czwarty i szósty bataljon legionów wraz z dwiema baterjami wówczas właśnie utworzonej artylerji polskiej pod dzielnym kapitanem Brzozą przez cztery dni pod Krzywopłotami w pobliżu Wolbromia z niesłychanem męstwem i pogardą śmierci walczyły z wielokroć przeważającymi siłami rosyjskimi. Była chwila, gdy po cofnięciu się czeskich pułków z placu boju, sami pozostali Polacy w okopach na wysuniętej daleko naprzód pozycji, wystawieni na straszliwy ogień krzyżowy oskrzydlających ich linji rosyjskich.

Wówczas nadszedł rozkaz cofania się. Ale wykonać ten rozkaz było nadzwyczaj trudno, gdyż na otwartej niczem nie osłoniętej przestrzeni, wszystkie oddziały polskie przechodzić musiały kolejno. Wówczas śmiałym ruchem wysunął kapitan Brzoza swoje baterje na otwarte pole.

Naoczny świadek i uczestnik tej walki, tak opisał nam ową chwilę:

„Ryknęły nasze śmieszne, małe armatki, wywołując zdumienie u Moskali. Zionęły raz, drugi i dzie-

siąty ogniem i dymem z otwartych pozycji. Zręcznie rzucone, rwać się zaczęły granaty tuż nad okopami moskiewskimi, tłumiąc siłą swego ognia ich piechotę. A baterje, jak gdyby zachęcane odniesionym triumfem, jeły pracować ze zdwojoną siłą. Ciskały się kurczowo, dymiły, huczały małe Brzozy armatki. Poczerniali od prochu, okutani kłębamii dymu, zwiżali się pracowicie nasi artylerzyści, niosąc ulgę cofającej się piechocie i umożliwiając jej zabranie rannych.

Sekcja za sekcją odchodziła z rannymi z pola walki. Pozostałe w końcu dwa plutony, ostrzeliwały się aż do nadejścia zmroku. Wreszcie i one cofnęły się do lasku przy św. Krzyżu. Ogień rosyjski osłabł. Zrzadka tylko zabrzęczała kulka. Cisza zbliżającej się nocy położyła kres walce.“

Ciężkie były straty tego odwrotu, gdyż wynosiły 187 zabitych i rannych. Jednak ten szczodry posiew krwi wszczepił w dusze młodego żołnierza hart i zawziętość, czynnik nieodzowny zwycięstwa.

Z końcem listopada 1914 r. znalazły się i te dwa bataljony w okolicy Suhej w Galicji zachodniej na krótkim wypoczynku. Przybył tam również Komendant Piłsudski na czele czterech bataljonów i kawalerji, tak, że cała zebrana razem I. Brygada mogła spełnić ważne zadanie obrony polskiego Podhala przed napierającymi z północy i wschodu masami rosyjskimi. Tak się rozpoczął trzeci akt tych bohaterskich zapasów.

Górale podhalańscy z radością witali naszych żołnierzy i sami cisnęli się do polskich szeregów, bo wśród nich oddawna już była organizacja strzelecka a goście z rozmaitych stron Polski przybywa-

jący w ostatnich latach przed wojną do Zakopanego mogli z niemałym zdziwieniem zauważyć ćwiczące się w dolinach Tatrzańskich pod Reglami zastępy młodzieży góralskiej.

Więc gdy teraz zagrała trąbka bojowa, to jak by spełniła się cudna legenda podhalańskiego ludu o śpiących w głębi niebotycznych turni tatrzańskich, rycerzach polskich, którzy zbudzą się i wyruszą na bój o Polskę. Proste a szczere serca góralskie widziały w żołnierzach Piłsudskiego ziszczenie tej przepowiedni i całą duszą przyłgnęły do nich i do ukochanego Komendanta, co prowadził na bój o niepodległość Ojczyzny. Na całym Podhalu tatrzańskim, w Nowotarszczyźnie i Nowosądeckiem od Zakopanego i Nowego Targu, w uroczych Pieninach, w Czorsztynie i Krościenku i wzdłuż Dunajca aż do Limanowej i Nowego Sącza, poruszyły się umysły i gorące zabiły serca na widok żołnierzy polskich już okrytych sławą walk zwycięskich z wrogiem i krwi obficie przelanej. Nowe bohaterskie walki i zmaganie się legionów jeszcze bardziej podniosły i utwierdziły na Podhalu to przywiązanie i serdeczną miłość polskiego żołnierza i na dziś i na zawsze żyje i żyć będzie w sercach tamtejszego ludu pamięć tych krwawych szturmów, tych gwałtownych ataków na bagnety, tych forsownych marszów, wywiadów i zręcznych podejść wroga, w których całe wsie polskie, czem i jak mogły, pomagały swoim żołnierzom.

Z daleka dochodziły nas wieści o brawurowych czynach ułanów Beliny i baterji polskich kapitana Brzozy, o udziale legionów w wielkiej bitwie pod Limanową, o przyjęciu gościnnem naszych żołnierzy

w Nowym Sączu, gdzie dla nich ludność przygotowywała wigilję Świąt Bożego Narodzenia i z bolem serca właśnie w dzień wigilji żegnać ich musiała, odchodzących na najcięższą ze wszystkich dotychczasowych, czterodniową bitwę pod Łowczówkiem, która okazała w całej pełni wysoką wartość bojową legionów, ich nieustraszone męstwo, poświęcenie i nieugiętą wytrwałość w najstraszniejszych chwilach walki i zapamiętałe znoszenie najcięższych trudów, głodu, chłodu i bohaterskiej pogardy śmierci. Rosjanie, którzy za wszelką cenę postanowili przełamać front polski, wykonali 16 krwawych ataków, lecz wszystkie rozbiły się o żelazną wytrwałość legionów, dowodzonych w tej bitwie przez Kazimierza Sosnkowskiego, podówczas szefa sztabu brygady, gdyż Komendant Piłsudski powołany został do Wiednia w ważnych sprawach do urzędującego tam wówczas Naczelnego Komitetu Narodowego. Ktokolwiek dziś przejeżdża przez Łowczówek, stację kolei żelaznej w pobliżu Tarnowa w kierunku do Stróż i Krynicy, niech z dumą spoglądnie na zalesione wzgórza na zachód od toru kolejowego, bo tam toczył się ów wielki bój, który taką sławą okrył polskiego żołnierza, niech wspomni nazwiska nieustraszonych dowódców Rydza Śmigłego, kapitanów Berbeckiego, Herwina - Piątka, Bukackiego i poległych bohaterów Kubę - Bojarskiego, Kędzierskiego, Zagórskiego i kilkuset legionistów, którzy śmiercią swoją w ten dzień Narodzenia Chrystusa, przygotowali narodzenie Polski niepodległej!

Wkrótce po tej bitwie dnia 3 stycznia 1915 wydał brygadjer Piłsudski następujący rozkaz dzienny

na zakończenie tego okresu walk I brygady, wycofanej wreszcie z frontu bojowego i udającej się na dobrze zasłużony wypoczynek do Kęt w Galicji zachodniej:

Żołnierze!

„Pięć miesięcy mija od czasu, gdy krwią własną i odwiecznego wroga znaczyście istnienie w Ojczyźnie polskiego żołnierza! Pięć miesięcy krwawej i ciężkiej pracy, która nam dała sławę pierwszorzędnego wojska.

Z pięciu tysięcy ludzi, którzy byli w moim oddziale, tysiąc padło lub zostało rannych w bojach, świadcząc przed wszystkimi, że za honor należenia do naszego żołnierskiego koła obficie krwią płacić trzeba. Cześć im wszystkim i chwała a pamięć o nich niech zawsze bliską będzie naszemu sercu! My zaś będziemy gotowi do dalszych walk i bojów, z których, jestem pewien, potrafimy wyjść może uszczupleni w swem gronie, lecz zawsze z honorem.

U schyłku ubiegłego roku, podczas mojej nieobecności, stoczyliście z przeważającymi siłami nieprzyjaciela bój, najkrwawszy i najcięższy z tych, jakieśmy dotąd mieli. Zyskaliście w nim nową sławę, i nowy liść wawrzynu wpleśliście do wieńca sławy polskiego żołnierza. W imieniu sprawy, której służyśmy, dziękuję wam wszystkim za tę pracę. Jestem dumny, towarzysze broni, że wami przewodzę, jestem dumny z kłopotu, że gdy mam w rozkazie dziennym wymienić najbardziej godnych chwały, szukać muszę czegoś nadzwyczajnego, by wśród ogółu dzielnych, męźnych, znaleźć czyny, które nie będą dla nich powszedniemi“.

Dalej w tym rozkazie następuje zaszczytne wymienienie podpułkownika Sosnkowskiego, porucznika Burhardta, podporuczników Ścieżyńskiego i Bartnowskiego jakoteż owego śmiałka podoficera Świderskiego, który na czele patrolu z 9 ludzi przyprowadził jako jeńców pułkownika rosyjskiego a przy nim 3 oficerów i 28 ludzi, wzięwszy ich ze wsi jeszcze przez nieprzyjaciela obsadzonej.

Wymienionym oficerom i żołnierzom za przykłady odwagi i zręczności żołnierskiej, jakie w tym boju dali, wyrażam w imieniu oddziału podziękowanie i uznanie“.

Józef Piłsudski
Komendant.

Takie były początkowe dzieje I brygady i takie wieści przychodziły do nas z oddalonych frontów w ojcystym kraju, do nas, którzy już od kilku miesięcy pozbawieni własnych domów, rodziny, mieszkań, sprzętów, z tobołkami podróżnemi tułaliśmy się po rozmaitych prowincjach Austrii. Najwięcej uchodźców skupiło się jednak w samym Wiedniu, znajdując tam w pierwszej chwili z łatwością przytułek, pomoc i współczucie.

Jednak taki nastrój przyjazny zmienił się już w ciągu kilku miesięcy bardzo, gdy oprócz rdzennych Polaków, napłynęła tam w ogromnej ilości i najrozmaitszej jakości z całej Galicji ludność żydowska, zwłaszcza jej warstwy uboższe, brudne, niechlujne, budzące już swoim wyglądem i strojem odrazę u Wiedeńczyków a cóż dopiero, gdy się bliżej zapoznali z ich skłonnościami do wszelkiego rodzaju nieczystych sprawek i szachrajstwa, przebiegłego oszukań-

stwa i arogancji. Zapełniły się ulice i kawiarnie naszymi żydkami a policja wiedeńska nieraz miała z nimi do czynienia z powodu przekroczeń porządku i uczciwości. Ale ludność wiedeńska a zwłaszcza panująca wówczas we Wiedniu partja chrześcijańsko-społeczna nie umiała czy też nie chciała odróżniać Polaków chrześcijan od żydów i generalizując swoje sądy o przywarach przybyszów, rychło zaczęła się odnosić do wszystkich z nienawiścią. Nic nie pomagały nawoływania dzienników i skargi nieraz z tego powodu wnoszone do władz miejskich. Zaczęto traktować uchodźców na każdym kroku pogardliwie, odmawiać im wszelkich usług i sprzedaży nawet najkonieczniejszych środków do życia. Sklepikarze a nawet posługacze często nie chcieli za pieniądze wykonywać poleceń i przychodziło z tego powodu do scen przykrych i przewisk grubiańskich.

Winę wzrastającej wskutek wojny drożyzny zaczęto przypisywać uchodźcom, zniknęła dawna dobroduszość i usługowość Wiedeńczyków a słowo „Flüchtling“ stało się synonimem czegoś pogardy i nienawiści godnego. W miarę przedłużania się wojny pogarszało się położenie uchodźców i stosunki z ludnością wiedeńską, potworzone komitety, chrześcijańskie i żydowskie do rozdziału zapomóg między potrzebujących nie mogły wszystkich zadowolić, tem bardziej, że wśród uchodźców byli i tacy nieuczciwi, którzy przywieźli ze sobą znaczną gotówkę a jednak nie wstydzieli się korzystać z publicznej pomocy. Zdarzało się naprzykład wśród żydów, że stojącemu w ogonku przed biurem komitetu rozdzielającego zapomogi, pejsatemu obywatelowi skradziono pugi-

lares ze znaczną kwotą. Spostrzegłszy się, narobił krzyku, wdała się w to policja i nazajutrz czytaliśmy w dziennikach o takim gorszącym wypadku.

Słuszność przyznać każe, że jednak byli i tacy, zwłaszcza wśród przymusowych uchodźców urzędników austriackich z Galicji, co chociaż nieraz na długo pozbawieni swojej pensji, wstydzili się stawać w ogonku po zapomogę i ci woleli przymierać głodem, jak korzystać z ofiarności publicznej. Były także wyjątki wśród rodzin wiedeńskich, które z całą gotowością i gościnnością przyjmowały wyzute z siedzib własnych rodziny polskie i nie dawały odczuć tym ofiarom wojny ich przykrego położenia.

Razem z nami przybyli do Wiednia Dr. Aleksander Lisiewicz, adwokat ze Lwowa i Kazimierz Bogdanowicz, radca sądowy, obydwaj przedstawiciele postępowej demokracji polskiej i wybitni działacze polityczni. W drodze wiele rozprawialiśmy o sytuacji, Naczelnym Komitecie Narodowym i Legionach. Więc przedewszystkiem o klęskach Austrii i rozczarowaniu tych wszystkich, którzy do jej siły wojennej przywiązywali jakie nadzieje. Jej armie pobite cofają się na wszystkich frontach. Równocześnie urosła niezwykle przewaga jej sojusznika, Niemiec. Ale w pamięci naszej zbyt świeżo tkwi wieść o okrutnem zbombardowaniu Kalisza, którem ci Niemcy zainaugurowali swoje wkroczenie do Polski. Więc położenie N. K. N. bardzo nieszczególne a nawet jego dalszy pobyt w Krakowie zagrożony. Do tego w łonie samego N. K. N. ujawniło się już wyraźnie rozdwojenie skutkiem otwartego niemal moskalofilstwa narodowych demokratów. Już znane było wszystkim

rozbiecie Legionu Wschodniego przez Cieńskiego i Skarbka w Mszanie Dolnej a nas Lwowian szczególnie to bolało. Patrzyliśmy się przecież na tworzenie się tego Legionu, na zapał i ofiarność powszechną, na wielkie nadzieje przywiązane do tego zaczątku armii narodowej. Cokolwiekby można dziś powiedzieć na obronę tego rozbiecia ze stanowiska ogólnej polityki polskiej, to jedno jest pewnem, że my wszyscy a za nami ogromna większość narodu odczuła ten fakt, jako haniebną zdradę sprawy narodowej. Krakowianie tak długo, z utęsknieniem, z dnia na dzień, z godziny na godzinę wyczekiwali przybycia tej pomocy ze wschodu, a chociaż wymieniana cyfra 6 tysięcy młodzieży wschodnio-galicyskiej, nie odpowiadała istocie rzeczy, to jednak zasilenie oddziałów Piłsudskiego tym zastępem dobrze wyćwiczonych wschodnich drużyn strzeleckich byłoby naszemu wystąpieniu pierwszemu na widowni wojennej dodało większej powagi i znaczenia u swoich i obcych. Nieodżałowana to była sprawa i oburzenie nasze na sprawców tego rozbiecia było nadzwyczajne i przetrwało wszystkie wypadki wojenne. Do pewnej rehabilitacji Skarbka w oczach Lwowian przyczyniła się później w r. 1918 i 19 jego ofiarna i zapobiegliwa działalność w obronie Lwowa i wschodniej Galicji, lecz trudno było w sobie stłumić żal z powodu tego nieopatrzego czynu, który nic nam nie pomógł a nie mało zaszkodził choćby tylko z powodu objawionej niezgody naszej. To pewne, że rozbiecie jedności bojowej Legionów było tego bezpośredni następstwem. Dwom nowym pułkom utworzonym w Krakowie dano już komendanta generała austriackiego,

choć Polaka i wysłano je na Węgry, gdzie właśnie w owym czasie wdarli się byli przez Karpaty Mo-skale i zajęli Marmarosz-Sziget.

Stałem miejscem zebrania polityków polskich we Wiedniu była w owym czasie kawiarnia obok parlamentu t. zw. Reichsratscaffée, gdzie w godzinach porannych schodziło się wielu posłów naszych z rozmaitych klubów i stronnictw i żywa była tam wymiana myśli i nieraz ważne toczyły się tam narady. Zaraz w pierwszych dniach wprowadzony tam zosta-łem przez mego krewnego Władysława Bazylewskiego, dziennikarza i stałego sprawozdawcę parlamentarnego. Ponieważ sesje parlamentu z chwilą wybuchu wojny zostały zawieszone, więc tam w kawiarni odbywały się polityczne zebrania i nieraz ważne zapadały po-stanowienia i umowy. Przybywali tam oprócz posłów często przedstawiciele prasy, przyjeżdżali z frontów wysłańcy i polityczni kurjerzy z zagranicy, tam więc można było często nasłuchać się nadzwyczaj intere-sujących opowiadań o bojowych rozprawach jak i o politycznych nastrojach u dworów i opinii publicznej zagranicą.

Z naszych bywali tam w owym czasie Dr. Li-siewicz, Aschkenaze, Hipolit Śliwiński, Bronisław La-skownicki, Daszyński Ignacy, Dr. Daszyńska-Goliń-ska, Dr. Jodko-Narkiewicz i nieodżałowanej pamięci Dr. Żuławski, który wkrótce potem padł ofiarą swego poświęcenia dla Ojczyzny. Z zagranicy z Szwajcarii przybywał dosyć często Stanisław Zieliński, sekretarz Muzeum narodowego w Rapperswylu, który przez ten kraj neutralny z ręcznie przewoził do nas pocztę i dzienniki francuskie, włoskie i angielskie. Przesia-

dywali tam również liczni dziennikarze a między nimi p. Czaki, który w stałym był kontakcie z biurem prasowem austr. Ministerstwa spraw zagranicznych. Więc pomimo coraz bardziej srożącej się cenzury wojennej, my stosunkowo dosyć rychło dowiedzieliśmy się o wspaniałem zwycięstwie Francuzów nad Niemcami, jeszcze w dniu 10. września nad Marną odniesionem. Jednak ogólnie nie docenialiśmy tego zwycięstwa, które, jak się to po latach wojny okazało, było właściwie już rozstrzygnięciem zwycięstwa na rzecz Francji i Koalicji i zapowiedzią klęski Niemiec i Trój- względnie Czwórprzymierza.

W rozmowach o nastrojach zagranicy zarysowała się już wówczas ogłoszona neutralność Włoch, jako stanowczo przychylna sprawie zachodnich mocarstw a nawet możliwość czynnego ich wystąpienia po stronie Koalicji zachodniej. Wkrótce niemałą sprawiło nam radość poruszenie sprawy polskiej w parlamencie włoskim i otwarte żądanie niepodległości dla Polski. Sprawa propagandy polskiej za granicą okazywała się bardzo pilną i konieczną.

Na ulicach i placach Wiednia roiło się od przechodniów a w wieczornych godzinach prześliczna Ringstrasse, okalająca śródmieście i główna arterja ruchu handlowego i wspaniałych magazynów, Kärntnerstrasse od opery nadwornej aż do placu zwanego Graben, przepełniona była strojną i dosyć hałaśliwą publicznością, zwłaszcza gdy od początku wojny głównego jej zastępu dostarczyła płeć piękna i brzydka mojąszowego wyznania. Życie było zrazu tanie i niczem nie różniące się od przedwojennego, opera, teatry i widowiska wszystkie otwarte i prze-

pełnione a więcej niż zazwyczaj przepełnione od rana do późnej nocy kawiarnie, w których za drobną kwotę podawano, jak za dawnych, dobrych czasów słynną „Kaffee mit Schlagobers“.

Na pozór nic się nie zmieniło. Groza wojny przypominała się tylko kilka razy dziennie w postaci krzykliwe ogłaszanych nadzwyczajnych wydań dzienników „Extraausgabe“, z reguły donoszących o zwycięstwach armii sprzymierzonych na rozmaitych frontach z wyliczeniem cyfrowem zabitych i wziętych do niewoli nieprzyjaciół. W pompastycznych wyrazach podnosiły te komunikaty wojenne generalnego sztabu dzielność i męstwo wojsk austriackich i niemieckich a tchórzostwo i panikę wśród wrogów. Jeśli zaś klęski poniesionej w żaden już sposób nie można było ukryć wskutek cofnięcia się całego frontu bojowego, wówczas nazywało się to w komunikacie wojennym przegrupowaniem: „Umgruppierung“.

Zrazu wywoływały te komunikaty niemałą sensację i bywały w lot rozchwytywane. Z czasem nauczono się je czytać i rozumieć i nie wzbudzały już wielkiego zajęcia u publiczności.

Oto garść wiadomości, które w tym czasie z pola walki nadeszły.

4. października: Zwycięstwo Prusaków pod Opawem i Klimontowem. Antwerpia jeszcze się trzyma.

5. października: Rosjanie w dalszym ciągu (?) cofają się z Galicji. Lwów się pali!

6. października: Wiadomość o odebraniu Rzeszowa i o posunięciu się armji austro-niemieckiej pod Przemyśl, który oblęgała Rosjanie.

7. października: Niemcy zdobywają 2 forty pod

Antwerpią. Polscy legioniści wypędzają Moskali z Mar-
maros-Siget na Węgrzech.

8. października: Rosjanie w Czerniowcach rabu-
ją. Kontrybucja złota i srebra (miła to dla nas
wiadomość!) Niemcy zdobywają Antwerpię po stra-
sznem bombardowaniu. Odsiecz Przemyśla.

11. października: Moskałe pobici odstępują od
obłężenia Przemyśla.

12. października: Moskałe cofają się. Spodzie-
wana bitwa pod Lwowem.

13. Niemcy maszerują na Warszawę. Zwycięska
bitwa nad Wisłą. W Galicji ciężkie walki między Me-
dyką a Samborem.

14. i 15. października: Sytuacja niezmieniona.
Bitwy na linii Sanu i Dniestru.

17. Niemcy pod Warszawą.

Wiadomości te jakkolwiek urywkowe i niedo-
kładne a w szczegółach dotyczących Galicji i Lwowa
nieprawdziwe, budziły wśród nas mieszanе uczucia
smutku i nadziei na lepszą przyszłość. Spodziewane
zdobycie Warszawy przez Niemców było na ustach
wszystkich, Cokolwiek się potem stanie, mówiono,
to pewne, że gdy raz Moskałe Warszawę opuszczą,
to już więcej do niej nie powrócą. Ale front galicyj-
ski nie wróżył nic dobrego. Wbrew wiadomościom
z komunikatów i gazet, dochodziły wieści drogą pry-
watną z frontu, że tam właśnie w tym czasie wojska
rosyjskie, odparłszy odsiecz, opasały ze wszystkich
stron Przemyśl, którego los niepewny, był groźbą dla
całej dalszej kampanji.

Codziennie też wieczorem po powrocie do domu
studjowaliśmy pilnie w zakupionych dziennikach wia-

domości wojenne, szczególnie z wschodniego frontu. Bardzo krwawe bitwy toczyły się w Galicji nad Strwiążem. Niemcy opasują Warszawę. Walki nad Stryjem i Świcą. Po 20-tym października przyszła wieść o odebraniu Moskalom Seretu na Bukowinie i Stryja w Galicji, jakoteż zupełnem wypędzeniu z Węgier. Nadzieja błysnęła w naszych sercach. Tymczasem na zachodnim froncie już się zaczęły walki na morzu. Kilka torpedowców niemieckich zatopiono. Bitwy morskie między Dunkierką a Calais. Chodzi o posiadanie kanału La Manche.

Gdyśmy 23. października powrócili z przedstawienia Trubadura do domu, zastaliśmy w dziennikach wiadomość o opuszczeniu Czerniowiec przez Moskali.

Lecz wkrótce znowu wszystko się zmieniło na gorsze. Przyszła wiadomość o zupełnej klęsce Prusaków i Austriaków pod Warszawą. Napróżno usiływały pokryć tę klęskę dziwne komunikaty urzędowe, przedstawiając odwrót jako niby planem strategicznym nakazane cofnięcie się i „przegrupowanie” armji. Znali już ludzie dobrze ten wyraz i jego prawdziwe znaczenie. Także wiadomości z Galicji były jak najgorsze. Mówiono o ponownem zajęciu przez Moskali Jarosławia i Rzeszowa i o bliskiem oblężeniu Krakowa.

Dnia 30. października przyniosły dzienniki wiadomość o wybuchu nowej wojny. Oto Turcja namówiona ostatecznie przez Niemców, przystąpiła do mocarstw centralnych i wypowiedziała wojnę Rosji. Kroki wojenne rozpoczęły się zbombardowaniem Teodozji i Sebastopola przez flotę turecką. Nadzieje

na rychłe zakończenie wojny ulatywały coraz bardziej w jakąś dal niezmierzoną a uczucie niepokoju o przyszłość potęgowało się z dniem każdym. Z Galicji i Królestwa także wieści niedobre. Tylko wiadomość o uwolnieniu Czerniowiec potwierdzały nowsze doniesienia, lecz przepustki na wyjazd stanowczo mi odmówiono.

Pierwsze dni listopada przyniosły jeszcze dalsze pogorszenie ogólnej sytuacji a na wieść o ponownej ewakuacji Krakowa udałem się tam na jeden dzień i zabrałem stamtąd rodzinę do Wiednia, gdzie już zainstalowaliśmy się na nadchodzącą zimę, wynajmując mieszkanie przy Johann Straussgasse 42 u Niemki pani Linderowej, której mąż i dwaj bracia walczyli na froncie zachodnim. Już w drodze do Krakowa miały nas pociągi przepełnione rannymi i uchodźcami z Rzeszowa, Tarnowa i Rozwadowa. W Krakowie panika. Trzy forty przemyskie zajęli Moskale a wojska austriackie cofają się na całej linii bojowej. Jedynym jasnym punktem w owych smutnych dniach była wiadomość o bohaterskich walkach drugiej brygady Legionów polskich w Karpatach. Obydwaj synowie mego przyjaciela Stanisława Zaleskiego w Krakowie służyli w kawalerji narodowej i z listów ich do ojca pisanych najpierw dowiedziałem się o tych wypadkach.

„Zaledwie opuściliśmy wagony, po pięciodniowej uciążliwej podróży“, tak pisze zmarły później wskutek ran i trudów wojennych ś. p. Stanisław Zaleski do swego ojca, „natychmiast rozwinięto nasze dwa pułki piechoty w linję bojową a obydwaj szwadrony kawalerji użyto na służbę łącznikową lub wy-

wiadowniczą. Przez trzy dni biliśmy się w okolicy Marmaros-Sziget, poczem rozdzieleni na małe oddziały, zawzięcie ścigaliśmy uciekających kozaków w głąb Karpat po kamienistych drożynach i wczesnym już śniegiem pokrytych wertepach i szczytach górskich. W końcu drogi zgubiły się zupełnie i aby się dostać na polską stronę Karpat do Rafajłowej musieli legjoniści sami zbudować sobie drogę drewnianą przez dzikie potoki i wąwozy przez Pantyr-Pas (to jest przełęcz Pantyrską). Dzień i noc pracowali chłopcy bez wytchnienia, ale już 22. października cała druga brygada z wozami, końmi i armatami dostała się do Galicji pod Rafajłową“.

Tych kilka zdań z listu dzielnego ułana polskiego, uzupełniły później wiadomości o niesłychanym trudzie i nadzwyczajnej energii, z jaką dokonali legjoniści, młody niewycwiczony żołnierz tego niezwykłego dzieła wojennego, mogącego być chlubą pracy inżynierskiej nawet starej regularnej armji. A bodźcem jedynym ich było, aby jak najprędzej stanąć we własnym kraju i z polskiej ziemi wypędzić odwiecznego wroga. Świadczył o tem krzyż wzniesiony na szczytach Pantyru i napis umieszczony na nim a przez legjonistów ułożony:

Młodzieży polska, patrz na ten krzyż,
Legjony polskie dźwignęły go wzwyż
Przechodząc góry, lasy i wały,
Do Ciebie Polsko i dla Twej chwały!

W Krakowie jeszcze tego samego dnia 3. listopada doszły od kurjerów wojskowych wysłanych do N. K. N. wiadomości o dalszych bitwach pod Zie-

loną, Pasieczną i Nadwórną, o śmiałym posunięciu się kawalerji polskiej pod komendą por. Wąsowicza aż pod Stanisławów i o wielkiej bitwie stoczonej 29. października pod Mołotkowem. W bitwie tej bardzo krwawej, w której druga brygada straciła kilkuset ludzi, było przyczyną klęski wycofanie posiłków austriackich i opóźnienie się korpusu węgierskiego o 24 godzin.

Komendantem drugiej brygady był wówczas austriacki generał, Polak Karol Durski, który widząc beznadziejność dalszej walki, nakazał wreszcie odwrót i sam pieszo wśród legionistów postępował w stronę Pasiecznej i Nadwórnej, pilnując porządku cofających się oddziałów. Zasłynęły wówczas nazwiska dzielnych komendantów poszczególnych bataljonów i kompanji, jak majorów Józefa Hallera, Marjana Żegoty Januszajtisa, kapitanów Bolesława Roji i Henryka Minkiewicza, komendanta góralskiej kompanji podhalańskiej i sławnego kawalerzysty, bohatera rokitniańskiej szarży ś. p. Zbigniewa Dunin-Wąsowicza.

Tak rozpoczęła swoje dzieje wojenne druga brygada Legionów, zorganizowana z gorączkowym pośpiechem w Krakowie w sierpniu i wrześniu 1914 r., swoją pracę dla wyzwolenia Ojczyzny, równie krwawą i ofiarną jak legionistów Piłsudskiego.

W drodze powrotnej do Wiednia wsiadali prawie na każdej stacji w Galicji i na Śląsku liczni wojskowi i uchodźcy cywilni z tej części Królestwa Polskiego, która już przez jakiś czas zajęta była przez wojsko austriackie i niemieckie. Spotykaliśmy także liczne pociągi z rannymi, zdążające w kierunku Wiednia. Wogóle ruch był wielki i znamionował wyra-

źnie następstwa cofania się armji przed naporem rosyjskim. Na jakiejś stacji śląskiej wsiadł do naszego przedziału znajomy mój, Lwowianin p. Dębicki, który jako komisarz wojenny, odbył tę ofensywę nieudaną. Opowiadał o ogromnym popłochu i nieładzie wśród wojsk austriackich; to już nie był odwrót, lecz ucieczka korpusu przez Ostrowiec do Opatowa i Sandomierza, to miało charakter wielkiej klęski.

Nazajutrz we Wiedniu nadeszły w dalszym ciągu niedobre wiadomości. Wojna rosyjsko-turecka zaczęła się już na Kaukazie, Moskale znowu pod Czerniowcami i Żuczką, ale się jeszcze nie dostali do miasta.

— Jeśli pan chcesz uratować cokolwiek ze swego mieszkania w Czerniowcach przed rabunkiem Moskali, jedź pan tam bezzwłocznie, aby nie było zapóźno — tak odezwał się do mnie znajomy mój i sąsiad, radca Wydziału krajowego bukowińskiego, spotkawszy mnie przypadkiem na ulicy Wiednia, dnia 10. listopada wieczorem. Właśnie powrócił tego dnia z Czerniowiec wysłany tam po akta urzędowe.

Nie było czasu namyślać się. Już nazajutrz wyjeżdżałem z Wiednia pospiesznym pociągiem odchodzącym o godzinie 4 min. 50 do Budapesztu. Stąd jeszcze tego samego dnia wieczorem dalej wyjechałem do Koloszwaru, a we czwartek po południu znalazłem się już w pięknym podgórskim miasteczku węgierskiem Beszterce, czyli Bystrzycy, siedzibie władz komitatu i najbliższej granicy Siedmiogrodzko-Bukowińskiej wysuniętym punkcie kolei żelaznej. Stąd idzie wprawdzie jeszcze o kilka kilometrów dalej droga żelazna w kierunku gór do ostatniego punktu Borgo-

Prond, lecz w Bystrzycy łatwiej o okazję do przebycia gościńca 84 kilometrów długiego, łączącego Siedmiogród przez niebotyczne gniazdo górskie Magóry z bukowińskim miasteczkiem, słynnym zakładem kąpielowym i kresową stacją kolei państwowej — Dorną Watrą.

W Bystrzycy znalazłem towarzysza podróży w pewnym kupcu galicyjskim, który w interesach dążył również na Bukowinę i chociaż nie bez trudu i kosztów dość znacznych, udało nam się jeszcze tego samego dnia wieczorem wyjechać w góry na wózku węgierskim, zaprzężonym w dobre trzy rumuńskie konie. Fiakra przedtem przez nas zgodzonego, od którego otrzymaliśmy nawet zadatek kilka koron, porwał nam w ostatniej chwili, jak to mówią „z przed nosa“, jakiś młody człowiek, ofiarując woźnicy za przejazd 200 koron i pomimo naszego głośnego protestu i gniewu, odjechał sam, zostawiając nas przed bramą hotelu. Oburzenie nasze uspokoił ktoś z obecnych jednym słówkiem, szepniętem nam do ucha o charakterze i zajęciu tego młodzieńca. Był to szpieg austriacki, jadący ku frontowi bojowemu. Dobrze, że chociaż wieczorem mogliśmy wyruszyć dalej, nie zważając na zmęczenie, bo wszyscy w drodze spotkani, a wracający z tamtych stron, naglili do pośpiechu. Noc była ciemna i zimna... Dobrze, że w ostatniej chwili kupiłem latarnię oliwną, gdyż droga w górach prowadzi nieraz nad strasznymi przepaściami i w ciemnych wąwozach leśnych. Czem dalej w góry i bliżej granicy bukowińskiej, tem więcej spotykaliśmy fur i powozów, przepełnionych pakunkami i ludnością, wyjeżdżającą z kraju; jednak

tren wojskowy, złożony z kilkuset wozów, wiozących zboże i amunicję, a oprócz tego cztery ciężkie armaty z oddziałem artylerji i kapitanem na czele, ciągnęły w stronę Bukowiny.

Jeszcze było ciemno, o godzinie 6-tej rano, gdyśmy stanęli w Dornie, niesłychanie zmęczeni i zziębnięci. Tu dopiero doznaliśmy wielkiej przykrości. Cała Dorna przepełniona uciekającymi z Czerniowiec. Nigdzie nie można dostać pokoju, tak, że trzeba było zrezygnować nawet z chwilowego odpoczynku. Do tego wiadomość wcale nie zapraszająca: w Czerniowcach wre bitwa, a Moskale i nasi ciągle do siebie przez Prut strzelają. Mój towarzysz od razu zrezygnował z dalszej podróży, ja jednak postanowiłem wytrwać w zamiarze raz powziętym i w tym celu zaopatrzyłem się w komendzie etapowej w legitymację, pozwalającą mi wyjątkowo odwiedzić Czerniowce. Pociąg jednak w kierunku Hatny odchodził tylko raz na dzień o godzinie 5-tej rano. Trzeba więc było zostać w Dornie do drugiego dnia, co zresztą ze względu na ogromne utrudzenie i potrzebę odpoczynku bardzo mi się przydało.

Nazajutrz w sobotę 14 listopada zawitał piękny, słoneczny dzień. Pociąg przepełniony był podróżnymi jadącymi w kierunku Suczawy i Radowiec. Przedziały wagonowe były natłoczone podróżnymi, gdyż koleje bukowińskie mało miały wozów do rozporządzenia.

Mówiono mi, że zaraz z początkiem września, gdy Moskale po zajęciu Czerniowiec szybko posuwali się w stronę Seretu i Radowiec, wycofano ze stacji bukowińskich kilkadziesiąt wagonów i lokomo-

tyw i dla zabezpieczenia ich przed zabraniem wysłano przez granicę, skąd już nie wróciły.

Wagony, którymi się obecnie w Bukowinie podróżuje, są to zabytki starych czasów, bardzo niewygodne o środkowym przejściu między siedzeniami na dwie osoby i miniaturowymi półkami, na których nawet zwykłe, reczne walizki nie dadzą się umieścić.

W przedziale wagonowym był natłok. Kilku rannych żołnierzy, jak się pokazało po cywilnemu przebranych żandarmów, ze słynnej wyprawy pułkownika Fischera, opowiadało wiele interesujących szczegółów o przygotowaniach i nadzwyczajnem powodzeniu tego zwycięskiego pochodu na Czerniowce.

Nie zapamiętałem sobie nazwiska owego młodego porucznika artylerji, który kierował, ale to wiem na pewne, że strzały jego działa wyrządzały ogromne szkody w oszańcowaniach i nieraz nawet całe patrole kozackie zmiatały i rozpraszały. Co jeszcze ciekawsze, że przy usłudze tego działa pomocna była młodzież czerniowiecka, uczniowie gimnazjum Polacy i inni, którzy donosili amunicję i żywność dla żołnierzy, mimo gęsto padających kul moskiewskich.

Dziwna rzecz, że nigdzie na przestrzeni Hatna-Czerniowce nie spostrzegłem jakiegokolwiek zniszczenia, wywołanego już siedmioletnią kampanją wojenną. Przeciwnie dwory i domostwa włościańskie przedstawiały w jesiennem słońcu wszędzie obraz dostatniej zamożności. Stogi siana na polach, spokojnie pasące się bydło i nagromadzone zapasy zboża w zagrodach wzdłuż linii kolejowej niczem nie zdradzały w pobliżu toczącej się walki.

Gdy moim towarzyszom wyraziłem z tego powodu zdziwienie, wyjaśniono mi, że Moskale widocznie z umysłu nie niszczyli zagród przy drodze kolejowej, zato jednak w głębi kraju niektóre wsie i folwarki, szczególnie do rumuńskich i żydowskich właścicieli należące, podobno wiele ucierpiały. Była godzina 1 po południu, gdy stanąłem na stacji Volksgarten. Tu wielkie mnóstwo osób oczekiwało już na odchodzący za chwilę w przeciwnym kierunku pociąg. Kto miał jakie walizy i pakunki, ten musiał sobie wynajmować na nie osobną furę, dorożkarzy bowiem w Czerniowcach bardzo mało; z braku zarobków wyjechali do innych miast Bukowiny, a nawet na Węgry. Tramwaj jednak w górnej części miasta aż do Rynku kursował, a nawet dosyć był przepełniony. Na przystankach tramwajowych po raz pierwszy wówczas usłyszałem gęste strzały karabinowe, których huk nieustanny, wzmożony od czasu do czasu grzechotem karabinów maszynowych słychać było bez przestanku przez 48 godzin mego pobytu w Czerniowcach. Miejscowa ludność, zdawała się już być do tego przyzwyczajoną, a nawet silniejsze odgłosy z uśmiechem przyjmowała — tylko moi towarzysze, kupcy z Dorny mieli wystraszone, blade oblicza. Zaraz też zaczęli mnie przynaglać, aby szybko załatwić się z pakowaniem i najbliższym pociągiem nazajutrz w niedzielę 15-go listopada odjechać z powrotem.

Nieudało się to jednak i ku wielkiemu ich przeżeniu zostałem jeszcze do poniedziałku popołudnia. Żegnali się ze mna jak ze skazanym na śmierć. Oprócz materialnego celu interesowała mnie przecież

bardzo także niezwykła sytuacja w jakiej się wówczas Czerniowce znalazły, stanowiąc przez jakiś czas najprzedniejszą linię bojową.

Przytem na każdym kroku trzeba było rozmaite trudności pokonywać. Mało tylko sklepów było otwartych i to tylko w górnej części miasta do rynku, stamtąd na dół, aż do Prutu domy zupełnie opuszczone i ewakuowane. Hotele wszystkie zamknięte. Z trudem odnalazłem jakiegoś służącego, któremu cały nadzór nad hotelem Centralnym powierzono i uprosiłem go o przygotowanie mi pokoju na nocleg. Restauracja tylko jedyna w rumuńskim domu w Rynku funkcjonowała. Kawiarnie zato wszystkie otwarte i dosyć zapełnione.

Żadnego śladu spustoszenia z czasów inwazji i bombardowania miasta na zewnętrznych murach nie widziałem, jakoż wiadomości rozsiewane o tem po dziennikach wiedeńskich, okazały się na szczęście nieprawdziwymi. Natomiast, jak się dowiedziałem i następnie naocznie stwierdziłem, wiele mieszkań było doszczętnie zrabowanych.

Ja miałem szczęście. W mieszkaniu zamknętem i pozostawionem na łaskę Opatrzności, niczego nie ruszono, mimo, że odbyła się tu rewizja i zabrano część pozostałego na wierzchu srebra na cele kontrybucji wojennej, którą następnie jednak zwrócono. Ale w sąsiedztwie mieszkanie pewnego radcy sądowego wypróżniono do nagich ścian, a wszystko potem sprzedawano publicznie za bezcen.

Działo się to wszystko jednak bez wiedzy oficerów, którzy, jak mi mówiono, surowo karali wybryki żołnierzy, a nawet kozak został za rabunek

powieszony. Znajomi i sąsiedzi, pozostali w Czerniowcach, często wykupywali od żołnierzy splądrowane przedmioty, aby je później zwrócić właścicielom; tak widziałem u pewnych moich znajomych cały skład poduszek, pościeli i mebli odkupionych.

Z początku, jak mi opowiadano, zajęły Czerniowce regularne wojska i z wyjątkiem małych oddziałów straży i patroli, umieszczono je na łąkach i polach za miastem.

Sam przechodziłem przez łąkę miejską za Volksgartenem i widziałem całą zaścieloną słomą, strataną i przepełnioną rozmaitemi odpadkami, puszkami z konserw azowsko-czarnomorskiej fabryki i śladami ognisk obozowych. Później przybyli do Czerniowiec w wielkiej liczbie rekruci, których tu dopiero uczono pierwszych zasad musztry i obchodzenia się z bronią.

Nadeszła jednak słota jesienna i dokuczliwe zimno. Podczas gdy oficerowie i generalicja wygodnie sobie mieszkali w mieście i bardzo wesoło się tu bawili, żołnierze pod namiotami lub nawet zupełnie bez wszelkiego okrycia okropnie marzli i wreszcie przyszło z tego powodu do otwartego buntu. Popi wojskowi, których wysłano do obozów dla uśmierzenia umysłów, wrócili z niczem i w ostatniej chwili, kiedy groził napad wojska na miasto i własnych oficerów — nadeszły świeże pułki, a zbuntowanych żołnierzy uspokojono cofnięciem ich w głąb Rosji przez bliską granicę. Nowe wojska składały się prawie wyłącznie ze starszych już ludzi pospolitaków; umieszczono ich po domach prywatnych i niektórych gmachach publicznych, ciągle unikając koszar, w których obawiano się podminowania.

Mieszkanie, w którym to wojsko, chociaż chwilowo przebywało, umyślnie zwiedziłem, aby mieć wyobrażenie o okropnem spustoszeniu. Z mebli śladu nie było, gdyż spalono je pod kuchnią, piece kaflowe w pokojach porozwalane w kupę gruzów, ściany dookoła straszliwie podziurawione, a w niektórych tkwiły jeszcze olbrzymie gwoździe, które widocznie służyły do zawieszania ubrań, uprząży i uzbrojenia.

Oficerowie rosyjscy zachowali się na ogół poprawnie, w sklepach i kawiarniach płacili gotówką, niektórzy bardzo płynnie mówili po niemiecku i po polsku i szeroko wychwalali się sukcesami. Gdy im przedstawiano, że przecież i nasze wojska odniosły już szereg zwycięstw, odpowiadali zwykle: „Tak, tak, wy zwyciężacie, ale my idziemy naprzód“. Na wielkim placu przed teatrem miejskim często przygrywała muzyka a przy jej dźwięku żołnierze z dziewczkami i pozostawioną w Czerniowcach służbą urządzali sobie tańce i hulanki a w pobliskim parku Schillera w biały dzień bezwstydnie orgje.

W wielkiej trzypiętrowej kamienicy, w której znajdowało się moje mieszkanie, nikt z lokatorów nie został. Z pomocą stróżowej, jedynej mieszkarki domu, z biedą jakoś sobie dałem radę z zapakowaniem co najważniejszych części ubrań i bielizny tak, że w niedzielę popołudniu postanowiłem skorzystać z bardzo pięknej pogody jesiennej i choć na chwilę oglądnąć teren walki nad Prutem. Można było nazwać lekkomyślnością takie narażanie się na niebezpieczeństwo bez potrzeby — jednak pokusa była zbyt wielka i ciekawość ujrzenia raz w życiu z bliska prawdziwej linii bojowej przemogła. Już od rana

gęstość strzałów tak się wzmogła, że chwilami nawet w mieszkaniu przy zamkniętych oknach było nieswojsko — w okolicy Franzensgasse i rumuńskiego seminarjum nauczycielskiego huk i odgłos wystrzałów był tak ostry i silny, że idąc przez zupełnie puste ulice ku rezydencji arcybiskupa, mimowoli co chwilę się oglądałem. Wydawało się, jak gdyby to już w ulicach strzelano. Uśmiełem się w duchu na myśl, co by to powiedzieli moi towarzysze podróży, gdyby mnie tu ujrzeli. „Panie, mówili mi przez okno jeszcze, żegnając mię przed odjazdem — pan tu zostanie w tem mieszkaniu zabity i tu pan będzie leżeć i nikt nawet o tem wiedzieć nie będzie!”

Prześliczny zamek arcybiskupi, cały z mozaiki różnobarwnej ceglanej i kaflowej w mieszanym stylu romańsko-maurytańskm zbudowany, z licznymi kopułami i weneckimi krzyżami lśnił się z daleka w blaskach słońca i spokojem swoim dziwnie odbijał od gwaru bitwy toczącej się tuż obok u stóp jego w dolinie Prutu. Wszedłem na olbrzymi dziedziniec przed pałacem, malowniczo oskrzydłony budowlami i skierowałem się szpalerem cyprysów otaczających trawniki ku westybulowi z zamiarem przyjrzenia się bliżej zniszczeniu, jakie tu miało wyrządzić bombardowanie miasta, o czem również w Wiedniu w dziennikach czytałem. Spotkałem znanego mi służącego i poprosiłem go o pokazanie mi tego miejsca.

— Ależ to nieprawda — odpowiedział — sam Ekszelencja wyczytał o tem w niemieckiej gazecie i pytał, co się stało i czemu on o tem nie wie.

Znowu więc na szczęście wiadomość tę podktowała jakiemuś korespondentowi jego bujna fan-

tazja, a może nawet obawa udania się w tę stronę miasta i przekonania się naocznego o pogłosce. Całe życie w Czerniowcach skupiło się wyłącznie w górnej części miasta do Rynku, ulicy Ruskiej i Pocztowej; wszystkie inne ulice i place, cała ogromna część miasta zbudowana na stokach spadzistych nad Prutem zupełnie opustoszała i nawet przez władze ewakuowana. Śmiałkowie, zapuszczający się w tamte strony często przynoszą rozmaite plotki i wieści fantastyczne, które się potem dalej szerzą.

Ale ksiądz arcybiskup Repta, grecko-orientalny metropolita, który w chwilach pierwszej inwazji moskiewskiej powagą swego urzędu i osobistym poświęceniem tak dzielnie ochraniał ciężko dotkniętą ludność Czerniowiec i Bukowiny przed nadużyciami i gwałtami najeźdźców, pozostał na miejscu i nawet tocząca się w pobliżu, niemal u wrót jego domu bitwa, nie spowodowała go do opuszczenia swego stanowiska.

Zaraz za pałacem i ogrodem biskupim ciągnie się na wzniesieniu sto kilkadziesiąt metrów nad doliną Prutu ulica Dominika, a stoki dosyć miejscami przepaściste, zajmuje uroczy laszek miejski, tak zwany Habsburghöhe, szczególnie ulubione miejsce pobytu par miłosnych. Dziś groza wojny wypłoszyła gruchanie, a Mars zajął miejsce Amora. U dołu nad samym Prutem, we wszystkich zakrętach tej i sąsiedniej Białej góry, daleko aż po strzelnicę wojskową widać nasze linje tyraljerskie, nieustannie zasypujące strzałami brzeg przeciwległy, domostwa Żuczki, budynki cukrowni księcia Lubomirskiego i dalej na polach na lewo od miasteczka Sadogóry czerniące się

okopy stanowisk nieprzyjacielskich. Z ulicy Dominika można było gołym okiem widzieć ogromną przestrzeń kraju, gdzie się właśnie bitwa toczyła, a przez lornetę dojrzeć można było nawet dokładnie linje moskiewskie i daleko pod lasem okopy artylerzyckie.

W okopach widać było liczne czarne punkty, poruszające się, to zbiegające się razem, to rozprószone. Chwilami strzały były rzadkie z obu stron, jakby się namyślano lub wybierano cel. Potem nagle padały gęste salwy i zdawało mi się, że najwyraźniej odróżniałem uderzenia kul o drzewa lasu miejskiego lub inne twarde przedmioty. Później się dowiedziałem, że po domach i chatach chłopskich w Żuczce po drugiej stronie Prutu poukrywali się Moskale i stamtąd strzelali. Miejsce, w którym stałem, było wprawdzie przeszło 100 metrów wzniesione ponad linią bojową — lecz zupełnie w obrębie doniosłości strzałów — tylko drzewa lasu miejskiego dawały niejaki okrycie. Nie myślałem nawet o tem, cały pochłonięty niezwykłością widoku i zasłuchany w ten nieustanny szum i gwizd przelatujących kul i huk uderzających pocisków.

Lecz na całej ogromnej przestrzeni między walczącymi, trudno mi było dojrzeć jakikolwiek znak życia; dworzec czerniowiecki opuszczony i bezludny, tak samo dworzec w Żuczce, cukrownia i domy bliższe i dalsze, jak wymarłe po obu stronach Prutu, który nie troszcząc się o ich sprawy, płynął sobie spokojnie, jak dawniej błękitną wstęgą wśród zielonych jeszcze łąk nadbrzeżnych. Tylko na budynkach wielkiego tartaku i składów drzewa naprzeciw Żuczki poruszały się od wiatru dwie chorągwie: biała i ru-

muńska. Z przeciwnej strony z daleka na wzgórzach pod lasami na lewo od Sadogóry, widać było dymy, unoszące się z ognisk.

W tej wycieczce na teren toczącej się walki, towarzyszył mi pewien znajomy oficer, Polak, pełniący wówczas służbę w komendzie miasta. Ukryci za drzewami parku, nad samą krawędzią przepastnego stoku, staliśmy obserwując położenie linii nieprzyjacielskich okopów i stanowisko artylerji daleko pod lasem. Pod wieczór ożywiła się strzelanina a ze strony Czerniowiec odpowiesziano także gęściej z poza sztucznych wałów nad Prutem z ogromnej masy worków, piaskiem napełnionych i z góry „Białej“.

W tem jakieś zabłąkane, czy też z umysłu skierowane kule zaczęły gwizdać nam nad głowami a nawet uderzać o mur, okalający rezydencję i pnie drzew w parku.

Zmrok zapadał. Trzeba było wracać, bo w Czerniowcach był stan wojenny i o godzinie 7. wieczorem gaszono światła i zamykano wszystkie lokale prywatne i publiczne. Kto po 7-mej znalazł się na ulicy bez osobnego pozwolenia, tego patrol aresztował i nieraz do rana musiał na odwachu przesiedzieć. Nie chcąc się więc dłużej narażać, wróciliśmy przyspieszonym krokiem tą samą drogą przez Residenzgasse i plac Teatralny, zasłonięci grupami domów od kierunku strzałów karabinowych, odzywiających się co chwilę detonacjami i poświstem wśród ulic dolnej części miasta. Zaglądnąłem jeszcze do restauracji i cukierni Goreckiego w „Domu Polskim“, lecz już przed 7-mą byłem w hotelu.

Nazajutrz był poniedziałek, zwykły w Czerniow-

cach dzień targowy. Toteż miasto było znacznie ożywione, a choć takiego zjazdu i ścisku, takiego ruchu i gwaru, jak zazwyczaj, nie było — jednak rynek był zapełniony okolicznym ludem i przekupniami. Wobec wielkiej podaży a małej ilości kupujących, wszystko potaniało niezmiernie. Za 7 jaj, mówiła mi znajoma pani, zapłaciła 20 halerzy a sporą kurę kupiła za koronę. Tylko brak cukru, soli a zwłaszcza wody, daje się dobrze we znaki, bo Moskale ustępując z miasta, popsuli wodociągi. Teraz pachółkowie miejscy rozwożą w beczkach wodę i sprzedają; każdy musi się w nią na zapas zaopatrzyć. Także zakaz oświetlania ulic i przymus wczesnego zamykania się w domu jest przykry. Rano zająłem się przedewszystkiem przewiezieniem moich pakunków na dworzec w Volksgartenie i nadaniem ich do Dorny Watry. Na placu koło dworca przedstawił mi się znowu ten sam obraz, który już raz tu widziałem: mnóstwo fur chłopskich, spędzonych jako podwozy, przewoziło z miasta wszelkie dobro wojskowe i cywilne, czekające na załadowanie do pociągów, odchodzących na południe. Widok ten nieszczególną napawał mnie otuchą co do dalszego losu Czerniowiec. Niektórzy z mieszkańców wywozili nawet meble i całe urządzenie domowe. Ja o tem myśleć nie mogłem i tylko powróciwszy jeszcze raz tramwajem do miasta, zamknąłem mieszkanie, klucze oddałem znajomym, powierzając im nadzór nad domem i wyjechałem z Czerniowiec jedynym pociągiem, który odchodził o 4 popołudniu z dworca Volksgartenu. W pociągu nie było światła i jechaliśmy w zupełnej ciemności. Ścisk był w wagonach ogromny, najwię-

cej jak zwykle Żydów, czyniących wielki rejwach i bardzo podnieconych z powodu nieprzyjacielskiego aeroplanu, który dłuższy czas krążył nad stacją kolejową a nawet obniżał swój lot widocznie dla wywiadu, czy to wojsko nie odjeżdża z miasta. Obawialiśmy się rzucenia bomby, ale skończyło się na strachu. Zresztą krótki dzień listopadowy już zatonął w zmroku a pociąg oddalał się coraz bardziej od terenu walki, zdążając górskimi wąwozami na Hatnę i Kimpolung do Dorny Watry, gdzieśmy przybyli dobrze po północy*).

O znalezieniu jakiegoś noclegu mowy nie było a że zimno było dotkliwie, błądziłem po ciemnem miasteczku dosyć długo, zanim znalazłem jedyny otwarty i oświetlony lokal, do którego bez wahania wszedłem. Był to jakiś szynk drugorzędny, przesycony zapachem okowity i ostrym dymem fajkowego tytoniu. Ale było tam ciepło a wśród kilkunastu ludzi tam się znajdujących z wielkiem zdziwieniem i zadowoleniem ujrzałem znajomego lekarza wojskowego w cywilnym podówczas stroju, Dra Bohosiewicza, właściciela dóbr Milejowa. Przybył on tym samym pociągiem z Czerniowiec i podobnie jak ja, zdążał do Wiednia wraz z synem, oficerem ułanów. Spędziliśmy razem czas do rana przy herbacie, opowiadając sobie o doznanych wrażeniach wojennych. Od niego dostałem pierwszą wiadomość o kopalni Dżurowskiej i tamtych stronach, już wówczas przez

*) *Michał Lityński*: Wycieczka z Wiednia do Czerniowiec między pierwszym a drugim zajęciem tego miasta przez Moskali w listopadzie 1914. Wiedeński Kurjer Polski. Styczeń 1915.

Rosjan zajętych. Jego posiadłość wiejska, Milejów leży niedaleko Waszkowiec na Bukowinie nad Czeremoszem, a Dżurów leży niedaleko po przeciwnej stronie Czeremoszu. Jedna i druga posiadłość zajęte były w owym czasie przez Rosjan, ale dalej na południe w Karpatach, ani Kuty, miasteczko ormiańskie nad Czeremoszem, ani zaraz naprzeciw po drugiej stronie tej rzeki, na Bukowinie położone miasteczko Wyżnica, nie zostały przez nieprzyjaciela zajęte, więc kto chciał i był trochę zręczny, to mógł w pierwszych miesiącach toczącej się wojny z łatwością przedostać się z poza jednego frontu na drugą stronę bez wszelkiej przepustki. Zresztą na jarmarku w Czerniowcach, pojawili się także chłopci z za Prutu, z pod Łużan i Niepołokowiec, z północnej części Bukowiny. Jakim sposobem tam się dostali przez Prut i linie nieprzyjacielskie, nie wiadomo, lecz widocznie Moskale nie wzbraniali im przejazdu. Zapytani opowiadali, że „Moskaliw jest bohato“ i że nowe nadeszły pułki. Jakże się oprzeć tej masie, temu potworowi, któremu odciąć jedną głowę a sto mu odrasta!

Nazajutrz wczesnym rankiem ujrzałem uroczą Dornę Watrę po raz drugi, tak samo przepełnioną uciekającymi uchodźcami z całej Bukowiny, przeważnie żydami, jak we wrześniu. A kiedy dowiedziałem się i na własne oczy ujrzałem, że bawi tu także cały sztab z dowódcą pułkownikiem Fischerem, który przed miesiącem, działając na własną rękę, zmobilizował żandarmerję i „pospolite ruszenie“ z całej niezajętej jeszcze części Bukowiny i na czele tych sił wyparł Moskali z Czerniowiec, wówczas stało mi się

jasnem, że Austriacy prawdopodobnie nie mają sił dostatecznych, aby ten niespodziewany dla nich szczęśliwy wypadek wyzyskać i utrwalić i że będą musieli w najkrótszym czasie znowu cofnąć się na Węgry.

Wśród takich smutnych rozważań zająłem się wysyłką moich bagaży do najbliższej stacji kolei żelaznej siedmiogrodzkiej w Borgo-Prond za pomocą urządzanej wówczas przez wojskową komendę etapową, stale kursującej przez Karpaty, poczty automobilowej. Nie było to rzeczą łatwą, gdyż na dworcu kolejowym w Dornie wznosiły się całe góry pak i tobołów, które powoli sortowano i wyprawiano ciężarówkami automobilami wojskowymi. Cały dzień mi to zajęło, straciłem z oczu mego towarzysza podróży Dra Bohosiewicza, dopiero wieczorem udało mi się uzyskać miejsce obok szofera na jednym z automobilów, na którym na tobołach rozsiadła się cała rodzina żydowska.

Już ściemniało się, gdyśmy opuścili Dornę Watrę i znanym mi już dobrze gościńcem zwolna pod górę zdążali. Popołudniu padał deszcz i droga nieco oślizła. Wskutek tego obciążony automobil nie bardzo pewnie się poruszał a miejscami ustawał, gdyż koła ślizgały się na miejscu. Nadaremnie szofer kłął we wszystkich trzech krajowych językach, po rumuńsku, po rusku i po niemiecku, a ja mu pomagałem po polsku, nadaremnie usiłował za pomocą łańcucha, podłożonego pod gumowe opony na kołach, zwalczyć to ślizganie się i upewnić chód pojazdu. Widząc wreszcie, że to wszystko nadaremnie, postanowił wrócić do Dorny i dopiero nazajutrz, po odpowiedniej naprawie kół, do Bystrzycy wyjechać. Minęliśmy właśnie górską

wieś Pojana-Stampi a opodal pod lasem, który tu już zewsząd na górach cały horyzont zasłania, bieliło się jakieś domostwo. Szofer oświadczył, że to jest karczma i kto chce, może tu przenocować, bo on stanowczo dalej nie jedzie. Żydki na tobołach podniosły wielki rejewach, lecz szofer był stanowczy i nie chciał ustąpić. Ja, znając dobrze tę drogę i wiedząc, nad jakimi przepaściami i stokami wiedzie ten gości-niec dalej w górach, zdecydowałem się sam tu pozostać i przenocować w tej karczmie, w nadziei, że uda mi się tam dostać konie i jeszcze dosyć wcześniej przed odejściem pociągu, zdążyć do Borgo-Prond.

Miałem przy sobie nabity browning na każdy wypadek, więc zabrawszy moją walizkę, zostawiłem ich na drodze a sam pieszo za pół godziny już wśród zupełnej ciemności, dostałem się do owej karczmy, która nad wszelkie spodziewanie, okazała się bardzo porządnie i czysto urządzonym domem gościnnym. Dostałem kolację, herbatę i w osobnym pokoju, bardzo schludnie, choć niewymyślnie urządzonym, łóżko z czystą, bielutką pościelą, ogromnie zapraszające, gdyż to już była druga noc w mojej podróży powrotnej bez odpoczynku.

Poszczęściło mi się nadzwyczajnie; nie tylko prze- spałem się kilka godzin doskonale, lecz u tego samego gospodarza dostałem wózek, zaprzężony jed- nym, ale bardzo rączym konikiem i już o 4-tej rano wyjechaliśmy ze synem gospodarza dalej w drogę. W górach było zimno, śnieg i mróz. Ale popędza- liśmy żywo i po krótkim odpoczynku w karczmie, na samej granicy, na szczytach, pokrzepieni gorącą herbatą i wiadomością o zwycięstwie Niemców nad

Moskalami pod Kutnem, przywiezioną aż tam na drukowanej depeszy przez jakiegoś żydka z Bistritz, szybko zjechaliśmy serpentynowym gościńcem w niziny siedmiogrodzkie i przed godziną 11-tą przedpołudniem byliśmy już w Borgo-Prond na dworcu, gdzie zastałem Dra Bohosiewicza z synem, oczekujących na odejście pociągu do Budapesztu.

Jakże po tych przejściach czuło się wygodnie i miło w przedziale drugiej klasy wojennego pociągu. Na ożywionej rozmowie szybko mijał czas, dzień był pogodny i słoneczny. Dłużej zatrzymaliśmy się tylko w Kołoszwarze, gdzie się trzeba było przesiąść do innego pociągu. Po całonocnej podróży, przybyliśmy o godzinie 8-mej rano do pięknej stolicy Węgier.

Znowu trzeba tu było zatrzymać się przez dzień cały do pociągu, odjeżdżającego w stronę Wiednia. Skorzystałem z tego i najpierw użyłem wybornej kąpieli w przepysznym urządzonym zakładzie kąpielowym „Hungaria“, a resztę czasu spędziłem na zwiedzeniu Muzeum sztuk pięknych w stylowym pałacu greckim, w ogrodzie miejskim Varos-liget i na przechadzce „nad pięknym modrym Dunajem“ z wspaniałym widokiem na nowoczesną część miasta.

W piątek 20 listopada wróciłem do Wiednia. Nastały śnieżne i mroźne dni. Wiedeńczycy narzekali, że to galicyjskie „Flüchtlinge“ przyniosły ze sobą tak wczesną i ostrą zimę.

Wiadomości wojenne istotnie nieszczególne. Toczą się walki pod Krakowem. W kołach, zajmujących się polityką, widoczne przygnębienie. Z listu męża naszej gospodyni, żołnierza, pisanego z Ungwaru, dowiadujemy się, że Moskale wdarli się znowu na Węgry!

W kilka dni później mieliśmy potwierdzenie tej wiadomości w telegramie od mego szwagra Dra Kiełanowskiego, lekarza podówczas wojskowego z Lwoczy na Spiżu, donoszącym, że jego żona a moja siostra z dziećmi, w przejeździe z Węgier do Styryi, zatrzyma się krótko we Wiedniu. Istotnie po jej przyjeździe dowiedzieliśmy się, że Moskale są już w Ungwarze i że z tamtych stron wszystko ucieka. Nawet kadry wojskowe lwowskiego 30 pułku piechoty, przy którym służył mój szwagier, przeniesiono do Weicu w Styryi, dokąd się już za kilka dni wybierają. Istotnie w samą rocznicę listopadową przejeżdżało przez dworzec wschodni kilka pociągów, napełnionych naszymi żołnierzami. Były to rozbitki z bitew w Galicji stoczonych, skupione chwilowo razem dla odpoczynku i reorganizacji przed nowym na front wymarszem. Wielu Lwowian udało się na dworzec, aby swoich powitać i pożegnać znowu.

Niezapomniane wrażenie sprawiła na nas pieśń, którą wówczas my wychodźcy pierwszy raz usłyszeliśmy, pieśń pełna żalu i żołnierskiej pociechy. Powstała ona, jak wiele innych pieśni bojowych z wojny światowej, samorzutnie, w jednej chwili, niewiadomego autora lub autorów, wprost ze serca żołnierskiego w owych pamiętnych dniach sierpniowych 1914 roku we Lwowie, wśród zgiełku, niesłychanego zamętu i najwyższego podniecenia na wieść o wybuchu wojny i ogólnej mobilizacji:

W dzień deszczowy i ponury,*)

*) Podaję tu tekst pierwotny, oryginalny, bez wszelkich późniejszych odmian, zachowując z umysłu wyrażenia, wzięte z tak zwanej „Regimentssprache“ i błędy językowe.

Z cytadeli idą góry,
Szeregami lwowskie dzieci
Idą tułać się po świecie.

Na granicy Czarnogórza
Czeka ich mitręga duża.
Może nawet tam, czeka na nich wróg,
A więc prowadź, prowadź Bóg!

„Ausrokunek“, jak się patrzy,
A tu z boku matka płacze,
Z żalu ściska biedną głowę.
Korpskomendant ma przemowę:

„Bądźcie dzielni wy żołnierze,
Brońcie sztandar, jak należy“.
Austriacki hymn już muzyka gra,
A więc żegnaj matko ma.

Żegnaj siostro, żegnaj bracie,
Wiem, że żałość w sercu macie.
Władze płakać wam nie bronią,
Po kościołach dzwony dzwonią.

Zdala widać już niestety,
Wieże kościoła Elżbiety.
A więc zbliża się ten odjazdu czas,
Pójdź uściskaj luba nas.

Czegóż płaczesz ukochana,
Być żołnierzem rzecz cacana,
Mundur siwy, guzik błyszczący,
Pół cetnara mam w tornistrze.

Patrz na tego Manlichera,
Każdy żołnierz nie umiera.
Wtedy luba płacz, wtedy luba cierp,
Gdy mię zgładzi jaki Serb.

Już w wagony siadać każą.
Jużeś otoczony strażą.
Już ci koce, chleb roznoszą,
A muzyka gra „Bartoszu“.

Słysząc świst lokomotywy,
Może powrót da szczęśliwy.
Boże pozwól nam dożyć chwilę tą
Bym ojczyznę ujrział mą.

Hej koledzy dajcie ręce
Może was nie ujrzę więcej.
Może wrócę ciężko ranny,
Lub dostanę krzyż drewniany.

Może ma mogiła stanie,
Gdzieś w wąwozie na Bałkanie,
Może uda się, że powrócę zdrów
I zobaczę miasto Lwów.

Smutna melodia tej pieśni potęgowała jeszcze
wrażenie tej beznadziejnej rezygnacji, z jaką te setki
tysięcy naszych chłopców, wcielonych przymusowo
w szeregi mocarstw walczących, szło w otchłań wojny
bez jakiegokolwiek zapału, pod obcym dowództwem
i komendą, jako prawdziwy „żer armatni“. Jedyne
pragnieniem ich było — wrócić jak najprędzej do
Ojczyzny.

Jakżeż inaczej wyglądały oddziały naszych strzelców, wychodzące na bój z odwiecznym wrogiem! Jak ochotnie, z jakim poświęceniem znosili największe trudy, z pieśnią wesołą na ustach w najniebezpieczniejszej sytuacji bojowej. Wiodła ich w ten bój Nike polska, wiodła świetlana postać odradzającej się Ojczyzny. Z Jej imieniem na ustach ginęli, z Jej imieniem szli naprzód i zwyciężali!

Ostatnie dni listopada 1914 roku przyniosły jeszcze dwie smutne wieści: Klęskę Niemców i Austriaków w Królestwie, której już ukryć nie było można i zajęcie Czerniowiec przez Moskali, znowu oddalające nadzieję naszego powrotu na nieznany okres czasu.

Miesiąc grudzień nie poprawił sytuacji wojennej. Przeciwnie! Wielkie zwycięstwo nad Serbami i zajęcie Belgradu, obchodzone we Wiedniu uroczystie i hucznie w dniu 2 grudnia, jako w 66 rocznicę wstąpienia na tron Franciszka Józefa, okazało się wkrótce tylko podstępny manewr wojennym Serbów, którzy w dzielnym kontrataku wyparli Austriaków nie tylko z Belgradu, lecz nawet aż za Drinę. Depesza hołdownicza generała Potiorka, rzucająca „do stóp monarchy stolicę Serbji“, już w najbliższych dniach w śmiech się obróciła. Szumne i dumne artykuły wiedeńskich dzienników, trąbiące przez kilka dni w niebogłosey o zupełnem powaleniu i pokonaniu jednego z nieprzyjaciół, nagle zamilkły. Generał Potiorek, zaraz po owym „zwycięstwie“ udekorowany przez cesarza wysokim orderem Leopolda, przybył wkrótce z frontu do Wiednia podziękować monarsze. O tej audjencji krążyła po mieście zabawna anegdota: Generał zbliża się do monarchy i oddawszy przepi-

sany głęboki ukłon, czeka, gdyż nie wolno mu pierwszemu przemówić. Tymczasem cesarz milczy i ciągle spogląda na końce swoich bucików. Sytuacja staje się przykrą. Wreszcie monarcha odzywa się w te słowa: Pan się pewnie dziwi, czemu ja tak na ziemię spoglądam. Szukam Belgradu, który mi Pan do stóp moich rzucił!

Ale i na bliższych frontach nie lepiej się dzieje. Z Krakowa donoszą polskie dzienniki o nieustannym huku dział moskiewskich pod miastem a nawet o wpadnięciu bomby moskiewskiej na dom Mejselsa w śródmieściu. Gazety nasze polskie, tak krakowskie, jak i wychodzący od jakiegoś czasu we Wiedniu „Kurjer Polski“ przepełnione smutnymi wieściami z kraju i sążnistymi listami osób zaginionych wśród zawieruchy wojennej. „Nowa Reforma“ z dnia 8 grudnia donosi o wielkich walkach w Galicji zachodniej, które jeszcze nie wydały rezultatu. „Tylko na Podkarpaciu, wzdłuż Dunajca, a więc w Czorsztynie, Szczawnicy, Krościenku, Łącku, Jazowsku i w Starym Sączu panuje znowu spokój“. Ale komunikat ten rządowy zamilcza obłudnie, że to polskie legjony Piłsudskiego, wycofane z Królestwa, zajęły Podhale i uwolniły je od nieprzyjaciół. Dalej donosi c. k. biuro korespondencyjne „o nowem ugrupowaniu wojsk w Serbji“. Wiemy dobrze już, co to znaczy.

Wiedeńska gazeta „Zeit“ w tym samym czasie zajmuje się galicyjskimi uchodźcami, przebywającymi we Wiedniu i takie pod ich adresem stawia zarzuty:

„Pomimo naszej dobrotliwości, wolno nam przecież czasem oburzyć się, jeżeli się nam wytyka niegościnnosć i małoduszność i jeżeli widzimy, że pod-

czas, gdy nasze żony i córki pracują w szpitalach, przy służbie pokrzepienia dla rannych i przy innych akcjach opiekuńczych, gromady elegancko odzianych, w kosztowne futra otulonych galicyjskich przybyszów o każdej porze dnia i wieczora snują się przed kawiarniami i wysiadują po kawiarniach i gdy się na Grabenie i na Kärntnerstrasse i w lokalach zabawowych nie widzi już Wiedeńczyków, ale prawie wyłącznie zbiegów z Galicji. Trzeba wprawdzie przyznać, że ci ludzie zostali wyzwani ze swego zakresu działania i tu nie mają żadnego zajęcia, ale mamy też wrażenie, że zamożni i bogaci zbiegowie zbyt często uważają Wiedeń za miejsce zabaw i wypoczynku i djabło mało troszczyć się o swoich biednych, na nędzę zdanych ziomków. Poprzestają na łajaniu Wiedeńczyków“.

Niestety, zarzuty te były zupełnie słuszne i tylko jedno trzeba dodać: Przeszło stotysięczna armia zbiegów galicyjskich we Wiedniu składała się w dzie więciu dziesiątych z żydów i żydówek a ci i te właśnie wszechwładnie opanowali główne arterje ruchu ulicznego i kawiarnie śródmiejskie, strojni, bogaci, zawsze głośno rozprawiający i gestykulujący, rozsiadali się wszędzie na widoku, na pierwszym miejscu, przytem mieli oni i mają ten zwyczaj, wbrew swemu zachowaniu się w kraju, gdzie żargon i język niemiecki prawie wyłącznie wśród nich panował, wszędzie za granicą a więc i wówczas we Wiedniu, rozmawiać wykoszlawionym zwykle językiem polskim i uchodzić za Polaków. Wiedeńczycy zaś nie umieli czy też nie chcieli odróżniać żydów od Polaków a warstwy nieoświecone raczej wszystkich Polaków za żydów uważały. Niejedna przykrość z tego po-

wodu spotykała szczególnie dzieci polskie katolickie od dzieci i pospólstwa wiedeńskiego.

Jednej jeszcze przykrej dosyć sprawy nie mogę pominąć. Nasze zamożne polskie obywatelstwo, mieszczące się w pierwszorzędnym hotelach i pensjonatach, nie tylko, że prawie wcale nie interesowało się swoimi biedniejszymi ziomkami, lecz oprócz wizyt wzajemnych i gry w karty w klubach, politykowało zawzięcie, objawiając pod wpływem narodowych demokratów i wschodnio-galicyjskiej szlachty orientację rusofilską. W takim na przykład westybulu hotelu „Zum Erzherzog Karl“ przy Kärntnerstrasse toczyły się codziennie głośne polityczne dyskusje wśród rozsiadających się tam w wygodnych fotelach poważnych i mniej poważnych „obywateli“, jak w Galicji nazywają właścicieli większych posiadłości wiejskich. „Piorunowania“ pod adresem legionów były też częste a postępy Rosjan w Galicji i Królestwie wzbudzały w tem towarzystwie wprost radość i okrzyki zadowolenia.

Nie mogłem wprost zrozumieć tego nastroju, tak bardzo całej wiekowej tradycji polskiej przeciwnego i dopiero wiadomości, jakie się przedarły przez fronty bojowe z Warszawy i Lwowa, oświeciły sytuację, wywołując wśród naszego patriotycznego grona inteligencji ból, wstyd i oburzenie. Bo można i trzeba było nie dowierzać Austrii i Niemcom, można było szczerze życzyć zwycięstwa Francji — to było naturalne i z serca płynące, ale uważać akcję legionów, zmierzającą do postawienia sprawy niepodległości Polski na gruncie realnym za zgubę narodową i zachwycać się przyszlęm współżyciem państwowem

z Rosją, to już mogło tylko być wynikiem długoletniej destrukcyjnej roboty rządów rosyjskich w społeczeństwie Królestwa Polskiego, lecz było zupełnie niezrozumiałem w ustach Polaka galicyjskiego!

A jednak tak było! Żywo przypominam sobie te bardzo dla mnie przykre chwile, tę głośno objawianą radość z powodu rozbicia legionu wschodniego i tak nienaturalne zadowolenie z postępów bojowych armji rosyjskiej.

Pewnego ponurego dnia grudniowego lał deszcz od nocy bez przestanku. Przechodziłem właśnie przez Kärntnerstrasse, gdy ktoś z ulicy zawołał moje nazwisko. Szła środkiem ulicy mała gromadka młodych chłopców, zbiedzonych i zmoczonych doszczętnie, rozglądając się bezradnie naokoło. W tem jeden z nich przybiegł do mnie i zaraz poznałem w nim dobrego znajomego z Czerniowiec Józia Tremła, niegdyś chłopaka z terminu rymarskiego a później legionistę z oddziału czerniowieckiego, który żegnaliśmy serdecznie i uroczyście w ostatnich dniach sierpnia 1914 na odjeździe do Lwowa, gdzie został wcielony do legionu wschodniego.

— Cóż wy tu robicie teraz we Wiedniu?

— Wracamy przez Węgry z Bukowiny, aby znowu wstąpić do legionów, bo nam powiedziano, że i we Wiedniu tworzą się oddziały i stąd na front wychodzą.

— A gdzieżście wy byli przez cały czas od owego pożegnania w Czerniowcach i mszy polowej na boisku Sokolem?

— To długa sprawa, opowiem, lecz niech Pan

nas gdzieś zaprowadzi do zameldowania się w oddziale, bo od rana błądzimy i mokniemy.

Zaraz się tem zająłem. Właśnie niedaleko w hotelu „Arcyksięcia Karola“ był Komitet, zajmujący się przyjmowaniem ochotników do wiedeńskiej kompani legjonowej. Tam ich przyjęto i odesłano do oddziału formującego się w mieszkaniu przy Aleegasse w IV. dzielnicy. Wkrótce potem odwiedził nas Tremel i opowiadał swoją i swego oddziału Odysseę. W Mszanie Dolnej wypłacono im po 5 koron i po prostu wypędzono. Biedne chłopaki po naradzie postanowiły wracać do domu. Przez Lwów nie można już było a więc przez Węgry. Ruszyli pieszo przez Karpaty. Po kilkutygodniowym marszu, utrzymując się po wyczerpaniu własnych zasobów żebranią, dostali się głodni i wycieńczeni do Dorny Watry, która była jeszcze w rękach austriackich. Tam ich przyjęto z litością i współczuciem. Nakarmiono, przebrano, a po kilkudniowym odpoczynku odesłano do domu do Czerniowiec, które właśnie zostały odbite z rąk moskiewskich. Ale ślubowanie złożone niegdyś wobec wszystkich Polaków czerniowieckich, że idą walczyć o niepodległość Polski, spać im nie dawało i gryzło ich w sumieniu. Zebrawszy się razem, wyruszyli znowu do Dorny Watry, gdzie zajął się nimi znany przyjaciel Polaków, dyrektor policji Rumun, który zaopatrzył ich w pieniądze ze składki dla nich urządzonej i wyrobił im bilety wojskowe wolnej jazdy do Wiednia. Tak przybyli tutaj.

Jak obchodzono się z nimi w Mszanie Dolnej, jak ich do legjonów zniechęcano, jak namawiano do służby w wojsku austriackiem, byle nie w polskim,

o tem spisali cały protokół i opatrzone podpisami mnie oddali.

Zbyt to była smutna i przykra sprawa, zbyt oburzające pogwałcenie zapłała młodzieńczego i prostych serc, rwących się do służby Ojczyźnie, zbyt nikczemnem wydanie kilku tysięcy młodzieży polskiej na nędzę, poniewierkę wszelkiego rodzaju. Zbrodnicze pokusy, zakończone nieraz więzieniem, na wcielanie do armji zaborczej, a to wszystko tylko dla polityki partyjnej, dla potwornego wprost w polskiej duszy moskalofilstwa!

Nic nie pomogły nawoływania i gorące zaklęcia przybyłego do Mszany pułkownika Józefa Hallera, aby legion wschodni odprowadzić do Krakowa. Panowie Skarbek i Cieński postawili na swoim i z pomocą zaufanych agitatorów rozbili całą pracę lat kilku przed wojną najgorętszych polskich działaczy, niepodległościowców, zniweczyli i w śmiech obrócili cały zapal powszechny i ofiarność Lwowa i całej Galicji wschodniej.

Dokument spisany przez owych bukowińskich młodzieńców, wręczyłem posłowi Ignacemu Daszyńskiemu, podówczas członkowi Naczelnego Komitetu Narodowego, dla przechowania w aktach na pamiątkę tego zaślepienia partyjnego u pewnych ludzi i pewnej części naszego społeczeństwa, która nie chciała zrozumieć, że legiony polskie, jakkolwiek tworzone za zgodą Austrii, bo inaczej być nie mogło, służyły wyłącznie idei polskiej a nie austriackiej i one to wraz z Naczelnym Komitetem Narodowym wysunęły sprawę niepodległości polskiej i odbudowania państwa polskiego na arenę międzynarodową już wów-

czas, kiedy na zachodzie, we Francji, o sprawie polskiej jeszcze nie myślano wcale. Przeciwnie, cała ówczesna Francja tak dalece pod tym względem uległa była wpływowi ambasadora rosyjskiego w Paryżu Izwolskiego, że bez jego zezwolenia i cenzury nie przepuszczano w dziennikach francuskich najmniejszej notatki o Polsce, a jako najwyższe możliwe rozwiązanie sprawy Polski, uważano jej autonomję w obrębie caratu rosyjskiego. Pojawiła się nawet w owym czasie w Paryżu mapa przyszłej Europy powojennej, na której Polska przedstawiona była tylko jako obdarzona autonomją prowincja Rosji. Sam widziałem tę mapę, gdyż przywiózł ją wraz z innemi broszurami i gazetami kurjer polski ze Szwajcarii do Wiednia. A jak miała w praktyce wyglądać odezwa Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza, jaka miała być ta „autonomja“ przyszłej Polski, wiedzą najlepiej ci, którzy w czasie okupacji Lwowa przez Rosjan pozostali w tem mieście i mieli sposobność zetknąć się i rozmawiać z licznymi rosyjskimi urzędnikami i działaczami. Ci panowie uspakajali Polaków lwowskich, że chociaż Lwów i Galicja wschodnia są odwiecznym istynno-russkim krajem, to jednak „za Dunajcom wsio budżet polskie“ a „Polacy będą tam nawet mogli piastować godność zastępców naczelnika powiatu“!

To są fakta autentyczne, rzucające jaskrawe światło na ówczesny stan sprawy polskiej w Europie a z nich wynika niezbicie, że jedynym wielkim patriotycznym czynem, zmuszającym świat ówczesny do liczenia się z Polakami i ich żądaniami, były legjony polskie i Naczelny Komitet Narodowy w Kra-

kowie a później we Wiedniu, jako najwyższe legalne zastępstwo i kierownictwo polskiej polityki w owych czasach. *)

Wraz z najbliższą kompanją „marszową“ odeszli także nasi bukowinacy na front do drugiej brygady w Karpatach, a wkrótce potem z listów Józia Tremła dowiedzieliśmy się o ich udziale w bitwie pod Rafajłową i walkach w Górach na granicy Węgier i Bukowiny. Odwiedził nas także w owym czasie we Wiedniu inny legionista Józef Zaleski, ułan ze sztabu generała Durskiego. I on nam opowiadał o swoich przygodach wojennych, gdyż brał udział w wyprawie przez Beskidy, Panterpas, Rafajłową, Zieloną i w bitwach pod Nadworną i Mołotkowem.

W połowie grudnia wojna na nowo rozgorzała na wszystkich frontach. Dzienniki donoszą o wielkiej bitwie pod Łowiczem w Królestwie, o krwawych walkach na Podhalu w okolicy Limanowej i Nowego Sącza, o zupełnym odwrocie wojsk austriackich w Serbji i o przełamaniu frontu francuskiego, jakoteż spaleniu prześlicznego miasta Ypres w Belgji przez wojska niemieckie. Ale zaraz na drugi dzień zaprzeczono przełamaniu frontu i tylko prawdziwem okazało się zniszczenie przez pociski niemieckie katedry św. Marcina, ratusza i sukiennic w Ypres wraz z nagromadzonemi tam precudnemi pamiątkami i bezcennymi skarbami sztuki flamandzkiej. Bardziej

*) Porównaj dzieła: Konstanty Srokowski, N. K. N. Kraków 1923, str. 175 i następ.; Stanisław Kutrzeba: Z za kulis sprawy polskiej, Kraków 1921 i Dr. Aleksander Czołowski: Jak to było we Lwowie? Lwów 1918 a także Józef Mestwin: Legjony i sprawa polska, Warszawa 1914.

niż ktokolwiek inny w Europie, odczuwaliśmy my Polacy tę grozę wojny nowoczesnej, gdyż na naszych to ziemiach przetaczał się także ów żelazny walec wojenny, gniotąc i niszcząc w bezprzykładnie barbarzyński i bezmyślny sposób wszystko, co napotkał na swej drodze. Wszystko, co kultura nasza przez wieki tworzyła i co pokolenia ludzkie ciężką pracą wielu wieków stworzyły, stawało się teraz często pastwą jednej chwili, jednego przemarszu naszych otwartych lub utajonych wrogów, pozostawiając po sobie tylko beznadziejną rozpacz na dymiących zgłiszczach!

Dostały się do nas do Wiednia gazety warszawskie, które były jednym okrzykiem grozy z powodu barbarzyńskiego sposobu prowadzenia wojny przez Niemców. Od pierwszej chwili, od owego bezmyślnego zbombardowania Kalisza aż do zbliżenia frontu niemieckiego pod Warszawą, zachowywali się ci nasi „oswobodziciele“ w sposób żywo przypominający dawne napady Krzyżaków na Litwę i Polskę. Nie dziw, że ludność z całej połaci kraju uciekała w szalonej trwodze na północ i wschód do Warszawy. „Domy i chaty po wsiach i miastach zburzone, zakłady przemysłowe albo zniszczone, albo nie pracują, bo nie ma kto i nie ma czem pracować, zapasów i środków żywności niema, gdyż wszystko doszczętnie zrabowane, młyny przeważnie spalone, ale choćby były całe, nie byłoby w nich co mleć, bo nigdzie niema zboża; daremnie szukałbyś koni, trzody, bydła i drobiu, wszystko przepadło. Ludność poopuszczała wsie i miasta i tuła się po kraju. Wszędzie głód, bieda i nędza nie do opisania. O nędzy ludności,

uciekającej przed nadchodzącymi wojskami niemieckimi nikt nie ma pojęcia. Okropny jest opis ucieczki ludności z Grodziska i Skierniewic. Z Grodziska ludność miała czasu do ucieczki zaledwie trzy godziny, w Skierniewicach godzin dwanaście. Z Grodziska do Warszawy jest 42 wiorsty, ze Skierniewic 70 wiorst. Koni i wozów już nie było wcale, ludność więc uciekała pieszo. Szli starcy i dzieci, kobiety młode i staruszki, pomiędzy nimi jedna stuletnia. Jedną noc biedacy spędzili pod gołym niebem, nie znalazłszy nigdzie przytułku. Podczas okropnej wędrówki kilka kobiet porodziło a kilkoro dzieci umarło, nie zdoławszy wytrzymać strasznych trudów“.

Z Przemyśla także drogą powietrzną nadeszły do Wiednia listy. Od 7 listopada był już Przemyśl odcięty i ze wszystkich stron obleżony. Dzień i noc trwały tam krwawe walki. O aprowizacji tej fortecy różnie mówiono. Jedni, że wystarczy jej na rok, a drudzy, że zaledwie na trzy miesiące. Ale dotychczasowe doświadczenie wojenne z twierdzami belgijskimi i nadgranicznymi francuskimi, które szybko jedno po drugim stawały się łupem nowoczesnej artylerji, rozporządzającej tak potężnymi działami, nie stanowiło dobrego horoskopu dla Przemyśla. Zresztą, dawno już przed wojną przestaliśmy uważać nasz Przemyśl za twierdzę nie do zdobycia. Podobno nawet raz skauci polscy potrafili wtargnąć do Przemyśla niespostrzeżenie, chociaż komenda austriacka, umyślnie zawiadomiona o tym zamiarze, poczyniła w umówionym czasie wszelkie ostrożności i przygotowania do odparcia maskowanego nieprzyjaciela w rozmaitych zagrożonych miejscach. Wielka z tego

była radość wśród naszych chłopców, ale rozgłaszać tego nie pozwolono z łatwo zrozumiałych względów. Pewnego dnia w połowie grudnia rozeszła się w polskich kołach we Wiedniu pogłoska o przybyciu do nas ze Lwowa dr. Panka. Nic on nie przywiózł stamtąd nowego oprócz wiadomości, znanych nam już z dzienników. Ponieważ po kilkudniowym pobycie postanowił powracać do Lwowa, przeto udałem się do niego z prośbą zawiezienia tam naszych listów do rodziny. Prawdopodobnie przekradał się on poza front drogą przez Rumunię. Był ciemny, deszczowy wieczór, gdy wracałem od niego z hotelu „Kontinental“ na Praterze w kierunku śródmieścia. Na moście Ferdynanda, łączącym Leopoldstadt z Franz-Josefs-Quëe, pozdrowił mię ukłonem wojskowym jakiś żołnierz, którego w ciemności nie poznałem odrazu. Człowiek był już starszy, w pomiętym płaszczu wojskowym. Szedł w tym samym co ja kierunku, więc zbliżyłem się do niego. Ale mimo chwilowego oświetlenia jego twarzy światłem latarni, nie mogłem sobie przypomnieć, kim jest ten żołnierz.

— Pan widocznie mnie nie poznaje — powiedział. Jestem lwowianin Makolondra. Wówczas dopiero przypomniałem sobie tego mistrza kamieniarskiego i rzeźbiarza, który przed kilku laty wykonał na cmentarzu łyczakowskim nasz grobowiec rodzinny.

— Ależ pan zbiedzony, widać, dobrze panu wojna dokuczyła.

— O, ciężkie przechodziłem czasy. Służę od mobilizacji i byłem we wszystkich większych bitwach w Galicji, pod Brzeżanami, jeszcze przed zajęciem

Lwowa, pod Gródkiem, potem pod Przemyślem i w Karpatach.

— A cóż pan robi teraz we Wiedniu?

— Po zupełnem rozbiciu naszej dywizji, resztki jej wyprawiono na Węgry dla odpoczynku i reorganizacji. Ale i stamtąd wkrótce wysłano nas dalej, bo najpierw cholera wybuchła straszna a potem Moskale przełamali front w Karpatach i zjawili się aż w Ungwarze. Na cholerę padali ludzie jak muchy, na każdej stacji kolejowej i po drogach pełno trupów; pędzono nas coraz dalej aż na Spiż do Lewoczy, skąd po krótkim odpoczynku część główną wysłano do Styrii a nas starszych żołnierzy i silniejszych wybrano i odkomenderowano do robót okopów i zasiek z drutu kolczastego koło Tullnu, tu niedaleko pod Wiedniem.

— Zmiłuj się pan, tożby i nam we Wiedniu groziło niebezpieczeństwo wojenne?

— Ależ naturalnie, cały Wiedeń dokoła otaczają rowami i zasiekami.

— Więc pan pewnie stacjonowany jest we Wiedniu i tam dojeżdża codziennie, lub może pan teraz na urlopie?

— O nie, panie dyrektorze. Mnie tu znowu przydzielono od dwóch tygodni do pewnej ważnej roboty, do której wybierano tylko ludzi starszych i zawodowych majstrów.

— Pewnie pracujecie w arsenale?

— Także nie, ale nie wiem, czy mogę to mówić, bo właściwie nakazano nam tajemnicę, żeby ludzi nie straszyć.

— Cóż to takiego, ciekaw jestem, ale jeśli panu nie wolno mówić, to nie nalegam.

— Przysięgi nie było. Komu innemu bym nie powiedział, ale panu dyrektorowi, mogę, bo pan zrozumie, że tak być musiało.

Przystanął, nachylił się do mego ucha i cicho szepnął: „Pakujemy cesarza“.

— Bój się pan Boga, to już tak źle z nami!

— Ja nie wiem, czy źle, ale od dwóch tygodni wszystkie drogie sprzęty, obrazy, dywany, meble i te wszystkie bogactwa w burgu cesarskim pakujemy. Zawsze pakujemy po nocach, aby to nie zwracało uwagi. Wszystko zaraz automobilami wywożą gdzieś daleko, może za granicę, do Szwajcarii.

Odprowadziłem pana Makolondę aż do burgu, a dalej sam wracałem do domu, silnie poruszony i przygnębiony tą wiadomością. Więc monarchowie, co niebacznie wywołali wojnę, sami teraz ze swoimi skarbami przed nią uciekają, pozostawiając ludność całą na pastwę losu!

Powoli przyszła refleksja i silne postanowienie: niech sobie kto chce ucieka, ja z moją rodziną nie ruszam się z Wiednia, a jak tylko będzie można najprędzej powrócę do Krakowa a potem do domu do Lwowa i Czerniowiec. Nazajutrz w południowej porze poszedłem umyślnie w stronę cesarskiego burgu, w nadziei, że zdołam coś zauważyć. Ale nic zupełnie niepokojącego tam nie było. Przeciwnie, zmiana warty na dziedzińcu odbywała się ze zwykłą paradą i uroczystością w otoczeniu tłumów publiczności. Widziałem nawet, idąc przez wielki plac przed nową, niezamieszkałą jeszcze częścią zamku, masze-

rujących z powagą w pełnej gali, trabantów cesarskiej gwardji przybocznej pełniących zwykle służbę na pokojach zamkowych. O tej prześlicznej pod względem konstrukcji i stylu budowie, krążyły po Wiedniu wieści, że ile razy zabierano się do jej ukończenia, zawsze jakieś nieszczęście zdarzyło się na dworze cesarskim. Najpierw nastąpiła straszna dla cesarskiego domu katastrofa w Meyerlingu, śmierć Rudolfa, następcy tronu wraz z prześliczną jego kochanką, baronówną Veczerówną; więc przerwano budowę, a kiedy się po latach znowu zabrano do pracy w czasie jubileuszu 50-letnich rządów Franciszka Józefa w r. 1898, zginęła tragicznie z ręki anarchisty Luchiesiniego cesarzowa Elżbieta, więc znowu nastąpiła przerwa, a później, gdy po uroczystościach jubileuszu 60-letnich rządów Franciszka Józefa znowu podjęto dalsze prace w celu ukończenia pysznej tej rezydencji, nagle nastąpiła tragedia Serajewska i wybuch wojny światowej, kładąc tamę tej budowie na dalsze lata.

Dnia 17. grudnia doniosły dzienniki o wielkiem zwycięstwie Niemców nad Moskalami pod Łodzią w Królestwie Polskiem i o długotrwałych, ostatecznie także zwycięskich walkach w Galicji Zachodniej nad Dunajcem. W bitwie pod Limanową wzięły decydujący udział legjony Piłsudskiego. Zaraz w pierwszym dniu bitwy dnia 9-go grudnia, oddział polski wyparł prawe skrzydło rosyjskie z grupy limanowskie w stronę Zalesia i z nadzwyczajną walecznością rozgromił atakujące sotnie kozackie. Tymczasem jednak Rosjanie odzyskali stracone wzgórze pod Rajbrodem i usiłowali strasznemi atakami pod Limanową zająć

jak najwięcej terenu. Punkt kulminacyjny bitwy pod Limanową przypadł na dzień 11. grudnia. Pod Niepołomicami usiłovali Rosjanie przedrzeć się na gościniec bocheński, ale bezskutecznie. Z nad Dunajca przybyły legionistom posiłki i po świetnie przeprowadzonych i zakończonych atakach pod Zalesiem i Laskową połączone oddziały razem wykonały atak na Rosjan w Nowym Sączu, dokąd dążyła także konnica z doliny Popradu. Rosjanie rozpoczęli odwrót na wschód i w kierunku Tarnowa. Odwrót ten zamienił się w niektórych punktach w bezładną ucieczkę. Taki opis bitwy przysłał korespondent wojenny do „Wiener Allgemeine Zeitung“ a ustępy odnoszące się do działań Legionów polskich rozstrzelonym podano drukiem. Więc aż serce rośło, gdy się czytało, jak obcy i wcale dla nas przyjaźnie nieusposobiony pisarz, zmuszony był uznać męstwo i niesłychaną zręczność polskiego żołnierza, który nie bacząc na obfite żniwo śmierci, głównie przyczynił się do świetnego zwycięstwa i zupełnego odparcia wroga z tamtych okolic raz na zawsze. Bo jeszcze jedna już w czasie samych świąt Bożego Narodzenia stoczona krwawa bitwa pod Łowczówkiem, ustaliła front rosyjski na linii rzeki Białej już na całą zimę.

Naczelny Komitet Narodowy przeniósł się w grudniu do Wiednia, gdzie urzędował przy Neuthorgasse l. 9. Ale departament wojskowy, na czele którego stał już w owym czasie Władysław Sikorski, przeniósł się jeszcze w listopadzie do Jabłonkowa na Śląsku, gdzie cały pas ziemi, położony na południe od Cieszyna, wzdłuż toru kolei bogumińskokoszyckiej i obejmujący szereg wsi od Trzyńca do

Jabłonkowa, zamieszkały na pewien czas pomocnicze oddziały Legjonów, a więc intendentura, prowiantura i poczta polowa.

Właśnie w owym czasie przybyli z Jabłonkowa do Wiednia poseł Dr. Lisiewicz i redaktor Bronisław Laskownicki, wysłani tam przez N. K. N. dla lustracji departamentu. Od nich usłyszeliśmy, jaki serdeczny stosunek zawiązał się tam między naszymi żołnierzami, a ludnością tamtejszą, wprawdzie wyłącznie z Polaków złożoną, ale od wieków germanizowaną lub czechizowaną przez naszych sąsiadów. Legjoniści polscy przynieśli tam pierwsi żywą ideę niepodległości politycznej i łączności wszystkich ziem polskich. Niestety, arbitraż międzynarodowy po kongresie wersalskim przydzielił tę odwiecznie polską część Śląska wraz z równie polską Karwiną Czechom i stworzył już na ciele odrodzonej Polski tę bolesną i krwawą ranę, która się nie zgoi, aż sprawiedliwości stanie się zadość i te polskie ziemie kiedyś z Macierzą się połączą.

Z powodu ustalenia się w Królestwie frontu bojowego nad Nidą i Bzurą, a zwłaszcza po zwycięstwie Niemców pod Łodzią przeniesiono z końcem grudnia część departamentu wojskowego Legjonów do Sosnowca, aby stamtąd łatwiej rozwinać agitację niepodległościową wśród ludności Królestwa, a szczególnie wśród robotników w bliskim Zagłębiu węglowym Dąbrowskiem.

My tymczasem we Wiedniu zbieraliśmy się często dla narady nad sprawami publicznymi. Powstała myśl wydawania pisma codziennego polskiego, któreby służąc idei niepodległościowej nie było organem takiej

lub owakiej orientacji, lecz ogniskowało wiadomości z całego świata o dążeniach i działaniach polskich i obcych w tym kierunku. Pismem takim miał być „Głos Polski“, którego redakcję wybrano już nawet na większem zebraniu w hotelu Hallera przy Burggasse, gdzie także omówiono cały kierunek i techniczną stronę tego dziennika. W zebraniu tem wzięli udział panowie redaktor Bazylewski, mój kuzyn z dawna bawiący stale we Wiedniu jako sprawozdawca i korespondent parlamentarny jakoteż wydawca pisma „Polnische Stimmen“, redaktor Laskownicki, Downarowicz Medard, członek N. K. N. ogromnie czynny i dzielny polityk polski, posłowie Dr. Lisiewicz, Hipolit Śliwiński, Hudec i Stapiński, Dr. Juliusz Tenner, literat polski, Jerzy Żuławski i Dr. Jodko, lekarz w mundurze legionisty polskiego. Niestety, ta piękna myśl nie doszła do skutku, wskutek niemożności zebrania na ten cel potrzebnych funduszków. Skończyło się więc tylko na wydawaniu na prywatnem przedsiębiorstwie opartego dziennika „Polskiego Kurjera Wiedeńskiego“ głównie o treści informacyjnej dla polskich uchodźców z Galicji rozprószonych po wszystkich prowincjach Austrii i wydawanym staraniem i funduszami Naczelnego Komitetu Narodowego tygodniku politycznym „Polen“, w niemieckim języku.

Z zarządzenia ówczesnego prezesa N. K. N. miałem pracować najpierw w redakcji tego tygodnika pod kierunkiem p. Maksymiljana Goldscheidera, lecz już z końcem grudnia powołano mię do biura prasowego w Naczelnym Komitecie Narodowym, gdzie też od owego czasu aż do lipca 1915 roku praco-

wałem, poświęcając codziennie kilka godzin rano i po południu temu zajęciu. Ponieważ ze strony przeciwników politycznych N. K. N. pojawiły się oszczerstwa, jakoby urzędnicy i funkcjonariusze N. K. N. pobierali wysokie płace i grosz publiczny był tym sposobem trwoniony kosztem legionistów w polu nieraz głód cierpiących, przeto pozostawiając przyszłym historykom ocenę wartości i zasługi prac N. K. N.; muszę tu jednak z powołaniem się na dokładnie i zbadane już sprawozdania rachunkowe skarbników N. K. N. odeprzeć te niegodziwe paszkwile narodowych demokratów i stwierdzić, że o ile mi wiadomo, koledzy moi w biurze prasowym nadzwyczaj skromne tylko zasiłki pobierali, a ja nigdy żadnego wynagrodzenia z kasy N. K. N. nie pobierałem i nigdy go nie żądałem, utrzymując siebie i rodzinę moją we Wiedniu i Krakowie jedynie i wyłącznie z mojej płacy emerytowanego dyrektora gimnazjum. Oprócz redaktorów i zawodowych dziennikarzy, panów Władysława Bazylewskiego i Władysława Zielińskiego, którzy wraz z posłem Konstantym Srokowskim (głównie w Krakowie przebywającym), stanowili grono stale pracujących członków wiedeńskiego biura prasowego N. K. N. następujący panowie: Dr. Mieczysław Scherer, (zastępca kierownika), Karol Bołoz Antoniewicz, Dr. Leon Chwistek, Leonard Frenkiel, Hugo Kaufman, dyr. Michał Lityński, Dr. Edmund Parnes, Dr. Bronisław Pawłowski, Dr. Tadeusz Wałek, Dr. Władysław Wayda, Stefanja Lubańska i skaut Bronisław Łoziński. Nie moją rzeczą sądzić, o ile owocną i wielkiemu celowi narodowemu odpowiednią była nasza praca, niech mi jednak wolno będzie stwier-

dział, że pracowaliśmy z zapamiętaniem i gorliwie, poświęcając długi czas i własne interesy sprawie publicznej, że olbrzymie mnóstwo komunikatów, sprawozdań i raportów wypracowaliśmy w tym czasie dla dzienników polskich i obcych, dla sekretariatu i prezydium N. K. N. W ciągłym kontakcie pozostawaliśmy z prasą zagraniczną wszystkich narodów i państw, pogrążonych w zawierusze wojny światowej. Prawie regularnie otrzymywaliśmy przez specjalnych kurjerów wojennych dzienniki warszawskie i rosyjskie, a przez Szwajcarię i pośrednictwo Sekretariatu Muzeum Rapperswylskiego dzienniki, dzieła i broszury polityczne francuskie, angielskie i włoskie. Opracowując memorjały polityczne korzystaliśmy nieraz z bogatej biblioteki Uniwersytetu Wiedeńskiego, a nawet z archiwum państwowego austriackiego ministerstwa spraw zagranicznych.

Serdeczne koleżeństwo i zapał w pracy dla świętej sprawy ożywiały to małe grono, a chwile o owym czasie razem spędzone pozostaną mi na zawsze miłym bardzo wspomnieniem.

Z pola walki pod Nowym Sączem przybył na kilka dni do Wiednia dnia 18 grudnia brygadjer Józef Piłsudski. Ogromne tłumy publiczności polskiej zebrały się wieczorem tego dnia na dworcu wschodnim; na peronie ustawił się również oddział legjonistów, przybywających wówczas we Wiedniu pod komendą porucznika Boczarskiego.

Po godzinie 9-tej wieczorem zajeżdżał pociąg. Ustawiono się szpalerem, a gdy ukazał się komendant Piłsudski w otoczeniu oficerów Sławka, Sokolnickiego, Gustawa Daniłowskiego i innych, przyjęto go grom-

kiemi okrzykami: Niech żyje! Panie wręczyły Komendantowi kwiaty. Kłaniając się na wszystkie strony, przeszedł Piłsudski do automobilu, czekającego przed stacją. Tu kilka tysięcy zebranej publiczności odkryło głowy i zaintonowało „Boże coś Polskę“. Była to wzruszająca chwila. Wśród okrzyków „Niech żyje! i życzymy takiego wjazdu do Warszawy“! — odjechał Komendant do miasta, gdzie zamieszkał w hotelu Regina przy Schottenstern.

Komendant Piłsudski przybył do Wiednia na zaproszenie Naczelnego Komitetu Narodowego dla ważnych narad politycznych i wojskowych. Że szczere, wzajemne porozumienie się między opromienionym już sławą wojenną dowódcą pierwszej brygady Legionów, a najwyższym u nas legalnym organem polityki narodowej było w interesie sprawy polskiej o tem chyba nikt nie wątpił, a podsuwanie temu zjazdowi jakichś powodów i celów ubocznych, jak to czyni Srokowski w swojej historii N. K. N., nie jest, mojem zdaniem, ani prawdziwem, ani ówczesnemi wypadkami uzasadnionem. Piłsudski nie przybywał z Królestwa, „czując się osamotnionym na gruzach swoich planów zawarcia paktu między Niemcami, a stworzoną przez niego Polską Organizacją Narodową“, bo już równo przed miesiącem nastąpiło za wiedzą i zgodą Piłsudskiego zupełne złączenie P. O. N. i N. K. N. Piłsudski przybywał teraz z Galicji po świetnem wypędzeniu Moskali z całego Podhala i zwycięskim udziale Legjonistów w krwawej bitwie pod Limanową, a N. K. N. nie potrzebował dopiero reperować jego opinii w naczelnej komendzie wojsk austriackich, bo on sobie sam zdobywał uznanie

u generałów austriackich i niemieckich, o które zresztą nigdy nie dbał i nie starał się, swoją działalnością wodza polskich żołnierzy na polach bitew, w atakach, marszach i ofensywach jak nie mniej znakomicie i bez strat dokonywanych odwrotach, gdy tego zaszła potrzeba. Ale pan Srokowski tego nie rozumie i nie czuje i wszędzie tylko wietrzy niskie pobudki i intrygę polityczną. Że później w następnych latach wojny drogi Piłsudskiego i N. K. N. się rozeszły, że w chwili ujawnionych tendencji austriackich i niemieckich do stworzenia nowych rozbiorów i podziałów Polski, pierwszy Piłsudski poznał się na farbowanych lisach i wierny zawsze ideałowi niepodległościowemu, przepłacił swoje stanowisko wraz z sobie najbliższymi wolnością osobistą; to tego przecież w tym czasie, w grudniu 1914 roku, ani on, ani prezes N. K. N. Władysław Jaworski, ani nikt inny, a tem bardziej taki do ostatniej chwili zapalony zwolennik Austrii i Prus, jak pan Srokowski, przewidzieć nie mógł.

Mojem zdaniem, obydwie przemówienia na bankiecie, wydanym przez N. K. N. dnia 22. grudnia u Hopfnera na cześć Piłsudskiego były szczere, serdeczne i przepojone gorącą miłością sprawy narodowej bez jakichkolwiek ukrytych myśli lub intryg wzajemnych.

Święto Bożego Narodzenia spędziliśmy w małym kole rodzinnem; wilję u mojej siostry H., której dzieci uczęszczały wówczas do zaimprovizowanych szkół polskich we Wiedniu. Przykro nam było i smutno tu na obczyźnie bez jakichkolwiek wiadomości o swoich drogich, pozostawionych tam w kraju, już od tylu

miesiące wojną od nas oddzielonych. Do tego i z frontów bojowych zaczęły pod koniec roku napływać niezbyt pomyślne wiadomości. Rozeszły się pogłoski o klęsce pod Tarnowem, o utracie Jasła i Krosna, miast z takim trudem zdobytych, o zwycięstwie Rosjan nad Nidą i wzięcia do niewoli 4.000 żołnierzy austriackich i 68 oficerów a wreszcie o cofnięciu się ogólnem na linię Gorlic w Galicji.

Ostatnie dni 1914 roku były smutne, zimne i ponure. Na dworze padał bez przerwy zimny deszcz ze śniegiem. Mimo to w noc Sylwestrową huczał Wiedeń głośnie zabawą — ale my siedzieliśmy w domu, skupieni w smutku z modlitwą w sercu o Boskie zmiłowanie nad naszą dolą. Wyrazem tego przygnębiającego nastroju naszych dusz stała się następująca przez moją żonę napisana:

MODLITWA TUŁACZY *)

Domy i mienie nasze zostały za nami,
Bo rzuciliśmy wszystko w popłochu i lęku;
Dziś z życiem jeno stoim przed losu bramami,
Zagadką dla nas niemą, bez znaku i dźwięku.

Myśli nasze rozpierzchłe, jako my tułacze
I pełne niepokoju. Z trwogą i uparcie
Śledzimy bieg wypadków, jako owi gracze,
Co swe losy na jednej postavili karcie.

Czekamy wieści z rana, z południa, z wieczora,
Niesie nam ona radość, albo jad zwątpienia;
A w duszy tkwi pytanie, wiecznej troski zmora,
Co nam przyniesie koniec? zawód czy zbawienie?

*) Kazimiera Lityńska, Wiedeń 1914.

Zaś koniec się odwleka, każe trwać cierpliwie
Nam, którym dnie płynące zdają się wiekami,
Cośmy tyle nieszczęścia w krwawem wojny żniwie
Dostali na swe barki. W oddali za nami

Została ziemia nasza nad wszystko kochana,
Nasi rodzice, bracia, siostry, przyjaciele,
Nasze święte pamiątki, sprzęty tak lubiane
Wszystko, co szczęściem duszy i serca weselem.

Rozdostrzyj święty Panie dobrotliwe dłonie
I wszechmocną ich siłą dla biednych tułaczy
Otwórz powrót w kraj własny! Niechaj nas ochron
Moc Twa przed tonią zwątpień, tęsknot i rozpaczy.

I niechaj nie dopuści nas moc święta Twoja
W nastawione zdradziecko sidła czarnej nędzy,
Co na szlak zgubny wpija strasznie oczy swoje,
Chciwie czyha z uśmiechem wygłodzonej jędzy.

Pragnąc jak potępieniec towarzyszków doli,
Ty ratuj nas od zguby Panie! I pod nieba
Ojczyste daj wrócić! byśmy na cudzej roli
Nie zostali bez kąta własnego i chleba.

Bo u nas nad niedolą serce bratnie smutne,
Dłoń pomocna braci swych chroni od rozbicia.
W obczyźnie serca zimne, zimne i okrótnie
Miast chleba dają wzdargę albo grób za życia.

IV.

Zimą we Wiedniu — Po drugiej stronie frontów bojowych — Wiadomość o wrześniowej bitwie nad Marną — Sprawa polska we Włoszech — Wiosna 1915 — Karpaty grobem carskiej armji — Powrót do Lwowa.

Zima była tego roku we Wiedniu bardzo nie miła; rzadko kiedy przez ciężką oponę chmur ołowianych przedarło się słońce, dni były ciemne i ponure i w wielu magazynach i kawiarniach świeciły się lampy elektryczne od rana do późnej nocy bez przerwy. Koło Nowego roku spadł śnieg i mróz wziął kilkunastostopniowy — ale to niedługo trwało, przyszły potem deszcze ze śniegiem i wichry tygodniami trwające. Balów publicznych w karnawale nie było, ale w dancingach i nocnych kabaretach bawiono się hucznie, w licznych kawiarniach grywały muzyki, przeplatając wesołe melodje hymnami państwowemi niemieckim i austriackim, w czasie których obowiązkowo wszyscy goście powstawali z miejsc i z odkrytą głową słuchali. W teatrach i w operze były przedstawienia regularne. W teatrzyku „Kleine Bühne“ (Mała scena) dawano nawet polskie przedstawienia, zorganizowane przez artystów uchodźców.

Zewnętrzny wygląd ulic nie zmienił się wcale, tylko starannie usunięto z szyldów i wystaw sklepo-

wych wszelkie napisy francuskie, a zwłaszcza angielskie. Wiedeń, który pod tym względem miał charakter międzynarodowy, przybrał teraz powłokę patriotyczno-niemiecką, ale widać było, że czyni to pod nakazem polityki danej chwili, bo napisy w języku „znienawidzonych“ wrogów pozasłaniano tylko lub zamazano tak, żeby potem z łatwością można je odsłonić, gdy nadejdzie pożądana i coraz bardziej utęskniona chwila pokoju. Na wystawach sklepowych mnóstwo posągów i posążków, jakoteż portretów Wilhelma, Franciszka Józefa i sułtana tureckiego w girlandach i wstęgach czarno-żółtych i czarno-czerwono-białych. Także dumne napisy: „Deutschland über alles“, „Ein Schuss — ein Russ“, „Ein Stoss — ein Franzos“ i najulubieńsze „Gott strafe England!“, widniały na każdym kroku.

O rozmaitych porach dnia zjawiały się nowe dzienniki, wykrzykiwane przez kolporterów. Raniutko już o godz. 6-tej zjawiała się „Neue Freie Presse“ rozmiarami i bogactwem treści, największy dziennik wiedeński, zaraz potem „Tagblatt“ i „Zeit“, około 9-tej „Wiener Allgemeine Zeitung“, o godz. 11-tej „Neues Wiener Journal“ i „Mittags-Zeitung“. Po południu „Reichspost“ chrześcijańsko-socjalna gazeta, urzędowa „Wiener-Zeitung“, a wieczorem „8 Uhr-Abendblatt“, którą każdy kupował „do poduszki“. Ale oprócz tych gazet, bez końca powtarzających komunikaty wojenne generalnego sztabu i urzędowe biuletyny Biura korespondencyjnego, nawiedziła Wiedeń w czasie wojennym powódź wydań nadzwyczajnych dodatków powyższych dzienników, tak zwanych i przeraźliwie od rana do nocy okrzykiwanych „Extra-

blattów“ czyli „Extra-Ausgabe“, na sensację obliczonych świszków, zwykle z jednej tylko strony skąpo zadrukowanych a podających najnowsze telegramy z frontów bojowych, naturalnie takie tylko, które przeszły surową cenzurę wojskową. Z początku ludność rozchwytywała je w okamgnieniu, lecz później wielokrotnie zawiedziona i rozczarowana z powodu powtarzania w nich znanych już wieści, przyjmowała je obojętnie, jak zwykłą strawę codzienną.

Zresztą wiadomości, jakie dzienniki podawały w ciągu stycznia 1915 r. ze wszystkich frontów bojowych nie przynosiły żadnej ważniejszej zmiany w ogólnym rozwoju walki; przeciwnie wojna ruchoma przemieniała się coraz bardziej w wojnę pozycyjną w okopach, które w pewnych miejscach na zachodzie i na wschodzie na długie nieraz miesiące ustalały linię bojową, nie zmieniały jej zbyt często podejmowane od czasu do czasu ofensywy lokalne. Ta wojna okopowa, szczególnie w okresie zimowym powszechnie stosowana, stawała się coraz bardziej wybitnym typem nowoczesnej taktyki wojennej. Wszelkie przeszkody terenowe naturalne, jak przedewszystkiem rzeki, jeziora, potoki, kanały a w mniejszym już stopniu wąwozy i grzbiety górskie, stanowiły podstawę, którą sztuka techniczna wojenna wyposażała zapomocą całego systemu rowów i podziemnych kryjówek, jakoteż zasieków z drutu kolczastego w nieprzebyte zapory. Nietylko udoskonalone karabiny magazynowe, wielostrzałowe ale w ogromnej dotąd niewidzianej ilości i jakości karabiny maszynowe, moździerze, granaty ręczne, miotacze min i ognia, granatniki przeciwko aeroplanom, wreszcie rozmaite przy-

rządy sygnałowe, periskopy i reflektory służyły do walki i utrzymania się w okopach.

Fizyka, chemja i mechanika wysilały się, aby wytworzyć jak najbardziej mordercze narzędzia walki lub obrony i ochrony przed atakami przeciwników. Tak w niebywalej dotąd mierze wytwarzano obecnie gazy, czy to jako gęste chmury, zasłaniające poruszenia oddziałów, lub jako wyziewy trujące lub odurzające, przeciwko którym znowu wynaleziono maski twarzowe i ubrania.

Zmienił się także gruntownie sposób wojowania i zastosowania w walce artylerji polowej, ciężkiej i fortecznej. Polne haubice o nieznaney dawniej wytrzymałości i celności, użycie przy strzelaniu wywiadowców i obserwatorów w balonach na uwięzi lub ukrytych w wysuniętych naprzód i wysoko wzniesionych punktach, współdziałanie artylerji i lotników, obrzucających bombami pozycje nieprzyjacielskie, użycie ciężkiej i najcięższej artylerji w polu dla niszczenia okopów; otwieranie przed przygotowanemi atakami tak zwanego ognia huraganowego lub zastosowanie zapór ognistych przeciwko atakującemu nieprzyjacielowi, wreszcie użycie do strzałów na daleką odległość i w walce oblężniczej ciężkich baterji motorowych — oto straszne pomysły i wynalazki wojny światowej.

Jeżeli do tego dodamy roboty minierskie i saperskie i całą służbę lotnictwa wojennego tak bardzo udoskonalonego w czasie wojny, jeśli wreszcie przypomnimy sobie ogromne zastosowanie pociągów i automobilów pancernych a wreszcie francuski wynalazek tanków, które tak walnie przyczyniły się do

ostatecznego zwycięstwa koalicji, jeśli zrozumiemy niesłychaną doniosłość zastosowania w służbie wojennej telefonów i radjotelegrafii — to pojmiemy, jak olbrzymi postęp zrobiła sztuka wojenna w naszych czasach.

Lecz to dopiero jedna część, połowa tych środków i sposobów wojowania — to obraz walki lądowej, podziemnej, nadziemnej i powietrznej.

Równolegle rozwinęła się wojna morska, w której dziedzinie pojawiły się także niewidziane dotychczas sposoby i środki walki. Obok angielskich olbrzymów okrętowych „dreadnoughtów“ (drednutów), zastępujących fortece morskie, obok znanych już dawniej torpedowców i kontrtorpedowców, pojawia się obecnie, szczególnie przez Niemców udoskonalona, straszliwa w działaniu i skutkach łódź podwodna, która tyle i tak strasznych zbrodni wojennych spełniła a chociaż, na szczęście całej ludzkości, zawiodła ostatecznie nadzieje, jakie przywiązywali do niej Niemcy, jednak, jako wynalazek wojenny — była urzeczywistnieniem dawno przez Juliusza Verne'go wymarzonego okrętu podwodnego „nautilusa“. A jeżeli nie zapomniemy o lotnictwie morskiem, o hydroplanach, to widzimy, że i na morzach nowoczesna wojna toczy się pod wodą, na wodzie i w powietrzu nad wodą.

W pierwszych dniach stycznia 1915 r. stan wojenny w Galicji był taki, że cały kraj aż po Nowy Sącz zajęty był przez Rosjan, z wielkim trudem wojsk austriackich i pierwszej brygady Legjonów polskich aż po tę linię odpartych, lecz znowu coraz bardziej napierających od wschodu. Tymczasem na Bukowinie

dochodzą Rosjanie już do Kaczyki niedaleko Kimpolungu, a więc znowu prawie cały ten kraj mają w swem ręku. W Królestwie polskiem za to zdobywają Niemcy Borzymów, ważną pozycję rosyjską o 39 kilometrów od Warszawy oddaloną. Obudziło to we Wiedniu wielkie nadzieje na rychłe zajęcie Warszawy przez Niemców. Nie szczędzono przytem nieraz publicznie cierpkich uwag pod adresem niedołężnego dowództwa i wyszkolenia wojennego wojsk austriackich. Dziwnie to brzmiało w ustach Wiedeńczyków, wystawiających pod niebiosa dzielność niemieckiej armji i jej dowódców. Opowiadano sobie naprzykład wówczas taką anegdotę wojenną: Po zdobyciu Łowicza przez pruskiego generała Makencye, przybył tam cesarz Wilhelm, aby wojsku i dowódcy złożyć życzenia z powodu świetnego zwycięstwa. Makencye żalił się, że wojska austriackie, które już dawno pod Łowiczem stały, niczem nie przyczyniły się do wcześniejszego zajęcia tego miasta. Wilhelm miał na to odpowiedzieć: „Was wollen Sie von diesen armen biederer Oesterreichern, sie haben ja die ganze Macht der Russen aufgehalten, bis das „eigentliche Militär“ gekommen ist“. (Co pan chcesz od tych biednych pocziwych Austriaków, oni przecież całą potęgę Rosjan zatrzymali aż do czasu, gdy nadeszło „właściwe wojsko“!)

Nie ulega jednak wątpliwości, że ta druga ofenzywa niemiecko-austriacka w Królestwie polskiem, posuwała się naprzód trwale i pewnie, rozszerzając nieustannie zajęłą przestrzeń kraju. Równoległe z tą akcją wojenną powstawało samorzutnie pytanie, co będzie z tym zdobytem krajem polskim? Tymczasem

w przeciwieństwie do budzących się nadziei polskich, rozeszły się we Wiedniu wówczas pogłoski o tajnem przymierzu, zawartem między Austrią a Niemcami, aby zagadnienia polskiego nie dopuścić do pojawienia się na arenie politycznej. („Man soll die polnische Frage nicht aktiv aufkommen lassen“!) Dziś jestem pewien, że takie porozumienie istotnie być musiało, a bliższe zbadanie archiwów dyplomatycznych wiedeńskich i berlińskich z tych czasów niewątpliwie potwierdzi to moje przypuszczenie, chociaż wówczas we Wiedniu poważni politycy polscy zaprzeczali temu. Tylko śp. profesor Roszkowski, zmarły w czasie wojny długoletni poseł do parlamentu i polityk, już w owym czasie nie miał żadnej nadziei na ostateczne zwycięstwo państw centralnych i spodziewał się w najlepszym razie tylko zakończenia wojny na podstawie „honorowego pokoju“! Zdawały się ten pesymizm potwierdzać wiadomości o ponownem wdzieraniu się Rosjan przez Karpaty na Węgry i Siedmiogród po zajęciu całej Bukowiny, o czem doniosły komunikaty wojenne dnia 8 stycznia. Na drugi dzień, 9 go stycznia, głośną była w całym Wiedniu, a zwłaszcza w kołach polskich audjencja udzielona przedstawicielom arystokracji i szlachty polskiej przez cesarza Franciszka Józefa w Schönbrunie. Agenor Gołuchowski i Leon Biliński, dwaj długoletni i wypróbowani w służbie i wierności dla dynastji Habsburskiej ministrowie, postarali się o to, aby pòlitycznie rozwichrzoną i wpływami rusofilskimi narodowych demokratów zarażoną magnaterję sprowadzić znowu na drogę lojalności i historycznego już u tej warstwy w Galicji „stania przy tronie i cesarzu“.

Więc w przemowie marszałka Galicji Stanisława Niezabitowskiego było dużo zapewnień o „nigdy nie ustającej wdzięczności i nieograniczonej wierności“ i wreszcie sakramentalne ślubowanie: „Przy Tobie Najjaśniejszy Panie stoimy i zawsze stać chcemy!“ Ani słówka, ani wspomnienia nawet o Polsce i Legjonach. To też i w odpowiedzi monarchy, ułożonej oczywiście naprzód przez przebiegłego prezydenta ministrów Stürgka, nie było także ani słówka o tej „niemiłej“, dla obu stron sprawie, a tylko uznanie tych „ofiarności i mienia“, które mieszkańcy „mojego Królestwa Galicji“ ponieśli „nawet ponad miarę przepisów wojskowych“ dla austriackiej ojczyzny. — Fałsz serwilizmu z jednej a perfidja polityczna z drugiej strony.

Jedyną korzyścią tej manifestacji politycznej było to, że Naczelny Komitet Narodowy, urzędujący już od miesiąca we Wiedniu przy Neuthorgasse 9, mógł odtąd łatwiej porozumiewać się tak z Ministerstwem spraw zagranicznych, jak i z Naczelną Komendą armji austriackiej w sprawie Legjonów i przełamaną została poniekąd ta nieufność i podejrzliwość, a nawet niekiedy otwarta niechęć, z jaką się dotychczas często spotykał zwłaszcza w kołach wojskowych.

W tym czasie zaszła zmiana na stanowisku ministra spraw zagranicznych; na miejsce Berchtolda objął tę tekę Węgier, baron Burjan i odtąd jeszcze w daleko wyższym stopniu uwydatniał się wpływ węgierskiego prezydenta ministrów hr. Tiszy na całą politykę Austro-Węgier. A Tisza był przeciwnikiem takiego załatwienia sprawy polskiej, jak je sobie, jako najlepsze, wyobrażali kierownicy N. K. N. t. j. przy-

łączenia Polski, jako trzeciego składowego czynnika monarchji naddunajskiej, na takich samych prawach i warunkach, jak Węgry. Polityka nie kieruje się uczuciami, to też Węgrzy, owi historyczni przyjaciele Polski, chociaż w gorących słowach wypowiadali się w parlamencie Budapeszteńskim o niepodległości naszej Ojczyzny, jednak obawiali się przyłączenia Polski do Austrii, jako zmniejszenia do jednej trzeciej swojego dotychczasowego wpływu i znaczenia w monarchji. Pomimo więc utworzenia w Budapeszcie Komitetu polsko - węgierskiego, pomimo serdecznych owacji i gościnności, okazywanej walczącym na Węgrzech Legionistom polskim i pomimo gorącej agitacji kilku przeznacznych jednostek z pośród arystokracji węgierskiej jak np. hr. Sentynisa, nie doznałszy czynnej pomocy od tych sąsiadów naszych zakarpackich.

A na zachodzie także jeszcze wówczas o nas nie myślano. Pracując w biurze prasowem N. K. N., miałem sposobność przekonać się o tem z dzienników i broszur, nadsyłanych nam z Francji przez pośrednictwo naszego biura w Rapperswylu. I nawet dziwić się nie można. Francja w owym czasie, zaskoczona niesłychanym w dziejach świata atakiem olbrzymich mas niemieckiego wojska, musiała wyęźać wszystkie siły, aby zaraz w pierwszych tygodniach wojny nie uległ potężnym ciosom z matematyczną dokładnością i sprawnością, jakoteż w błyskawicznym tempie jej zadawanym. Według obliczeń niemieckiego sztabu generalnego Francja miała być pokonana i ujarzmiona do kilku tygodni, a więc przedtem, nim Rosja zdoła przeprowadzić mobilizację swych pierw-

szych powołań. Gdyby się ten plan był powiódł, wówczas miała cała armja niemiecka wraz z austriacką uderzyć na Rosję i zmusić ją do odrębnego pokoju. Tymczasem zaszedł fakt niespodziewany, bitwa nad Marną, między 6 a 10-tym września 1914, o której dopiero w styczniu 1915 ukradkiem rozeszły się dokładne wieści w Austrii i Niemczech i dotarły do nas, tak dobrze umiała je ukrywać cenzura wojenna. A przecież był to ów sławny cud nad Marną, który pokrzyżował niespodziewanie plany niemieckie i właściwie już w owym czasie rozstrzygnął o ostatecznym wyniku całej wojny światowej.

Oto jak opisywały tę wielkopomną bitwę ówczesne dzienniki francuskie:

„Po silnych porażkach pod Charleroi i Mons, armja francusko-angielska wykonuje przez 30 dni odwrót, o którym zapewne przyszedł sprawiedliwy historyk wyrazi się z najwyższem uznaniem.

Ale oto nadchodzi dzień 6 września.

Wzdłuż rzeki Marny pięć armji niemieckich w sile 900.000 ludzi stanęło przeciw pięciu armjom francuskim, liczącym zaledwie 670.000 kombatantów. Pod każdym względem przewaga jest po stronie niemieckiej. Dość wspomnieć, iż przeciw 2500 karabinom maszynowym francuskim ustawiło się 50 tysięcy karabinów maszynowych niemieckich. Czyż to nie prawdziwy obraz walki Dawida z Goljatem?!

Prawe skrzydło niemieckie pod najdzielniejszym taktykiem z czasów pokoju, von Kluckiem, godzi w Paryż. Generał ten był przed wojną w przebraniu na terenie walki, znał więc sytuację dobrze nie tylko z kart sztabowych, ale i z naocznych oględzin; po-

zakupywał nawet pewne punkty w tych okolicach, aby pod pozorem budowy fundamentów fabrycznych, przygotować sobie betonowe podstawy pod ciężkie działa.

W dodatku armja dobrze płatnych szpiegów dostarcza mu przez Szwajcarję dokładnych danych o poruszeniu każdego nieprzyjacielskiego bataljonu, zaś wywiady lotnicze uzupełniają te dane dokładnemi sprawozdaniami. Wszystko przygotowane jak w zegarku. To też generał Kluck, wiecznie pograżony w mozolnych kombinacjach strategicznych, idzie teraz śmiało, po pewne, jak amen w pacierzu, zwycięstwo; on szczęścia w swej grze nie potrzebuje, on niem pomniata... zimna rachuba, to jego bożyszcze.

W tej strasznej dla Francji godzinie, ostatnie posiłki pędzą jak wicher pociągami na północ z centralnej części kraju — ale wszystkiego za mało.

Nagle spostrzega generał Joffre, naczelny komendant armji francuskiej przy pomocy wywiadowców aeroplanowych, że w układzie sił niemieckich widnieje na zachodzie lekka rysa. Wielki Kluck zdaje się nie uwzględniać załogi Paryża, która zapewne, według jego obliczeń, powinna była pozostać w okopach stolicy. Genialny błysk myśli twórczej opanowuje francuskiego naczelnego wodza... szczęście szepce mu coś do ucha...

— Idź na va banque! — zaryzykuj!

Joffre zaryzykował i wydał rozkaz generałowi Galleniemu, komendantowi Paryża, aby wysłał całą załogę na prawe skrzydło Klucka.

I oto w tej godzinie gorączka i bezprzykładowa ogarnia Francuzów.

Żołnierze pędzą na pole walki bez tchu, obsiadają paryskie drożki, automobile, taksówki i pędzą, pędzą. A Paryż, stolica i serce Francji, zostaje na opiece Bożej...

To rozstrzygnęło!

Generał Kluck, zaskoczony niespodziewanie z boku, zmieszał się, stanął, zawahał i odskoczył — odskoczył, bo tego wymagał chłodny rozsądek. Wówczas Joffre, mimo kolosalnych strat, poniesionych w ciągu tygodniowej nierównej walki, daje rozkaz do wściekłego ataku na całej linii. Szeregi niemieckie płaczą się a misterna ich siatka rwie się w dziesięciu punktach od razu. Cała armja niemiecka, choć silniejsza liczebnie od francuskiej, cofa się szybko, miejscami w panicznym popłochu...*)

Spełnił się cud nad Marną, skończył się pierwszy akt dziejowej tragedji.

Mimowoli ciśnie się na myśl przedziwna analogja historyczna. W sześć lat później, już w odrodzonej Polsce, wśród bardzo podobnych warunków spełnił się cud nad Wisłą. Rolę Francuzów odgrywali tu Polacy, Niemców bolszewicy, Joffr'a zastępował Piłsudski, a Galleniego generał Haller.

W jednym jednak i drugim wypadku zwycięstwo było nietylko następstwem genialnego dowództwa, lecz głównie powszechnego entuzjazmu, jedności i wysiłku posuniętego do ostatecznych granic. Gdy chodzi o byt lub niebyt, to i narody muszą grać *va banque*! muszą wszystko postawić na jedną kartę.

Jaka stąd nauka dla przyszłych pokoleń!

*) Według dzieła francuskiego „La guerre mondiale“.

Wiadomość o bitwie nad Marną zachwiała u wielu wiarę w niezwyciężalność mocarstw centralnych, ale prasa niemiecka i austriacka umiały przejść z lekkim sercem nad tym faktem do porządku dziennego, co im przyszło tem łatwiej, że Niemcy wkrótce znowu wyteżyli wszystkie siły, by zapewnić sobie zwycięstwo w nowych, znacznie zmienionych i trudniejszych warunkach.

Zamiast błyskawicznego działania, które tak fatalnie zawiodło, w dalszym okresie wojny postanowili oni powalić przeciwnika na ziemię potęgą artyleryjskich mas i gradem wyrzuconych przez nie pocisków.

Nastał czas wojny pozycyjnej, na tysiące kilometrów ciągnących się frontów bojowych, czas życia w okopach, olbrzymich norach betonowych pod ziemią na zewnątrz w czołowych redutach, najeżonych tysiącami karabinów maszynowych i zabezpieczonych zasiekami z drutu kolczastego.

Tymczasem daleko poza frontami wojnymi, wewnątrz kraju pracowały całe armje robotników nad produkcją coraz cięższego kalibru armat i całych olbrzymich gór materiału bojowego. Niemcy, przygotowując się do wojny od lat wielu, górowały zrazu nad swymi przeciwnikami pod tym względem i trzeba było wspólnego wysiłku Francji i Anglii, aby ilością wyprodukowanych u siebie dział i pocisków obronić front zachodni. Ze wszystkich państw Rosja najprędzej się wyczerpała pod tym względem i dlatego najpierwsza uległa.

Opisy epizodów z olbrzymich zapasów wojennych, toczonych na froncie zachodnim teraz dopiero

dochodziły do nas w swojej pierwotnej treści, niezmacone i nie przekręcone przez niemieckich i austriackich sprawozdawców, piszących zawsze „ad usum“ opinii swoich krajów i pod surową cenzurą wojskową.

Tak na przykład włoski dziennik „Corriere della Sera“ przyniósł szczegół w wysokim stopniu kompromitujący „Honor austriacki“.

Pod takim tytułem donosi „Bureau Documentaire belge“ na podstawie ogłoszonej w „Neue Freie Presse“ rozmowy z kapitanem Albertem Langerem, komendantem baterji motorowych austriackich, że podane przez Langer'a daty udziału tych baterji w walce w Belgji wykazują bardzo interesujący rezultat.

Langer podaje, że baterje austriackie zebrały się już 15 sierpnia w Kolonji, w nocy z 15 go na 16 ty odjechały do Verviers, 21 sierpnia udały się na bombardowanie Namuru, który padł 24-go.

W dniu 27-go sierpnia udały się baterje częścią pod Maubeuge, częścią pod Givet. Z powyższego przedstawienia wynika : Austrija wypowiedziała wojnę Belgji dopiero 26 sierpnia i aż do tego dnia poseł austriacki hrabia Clary de Aldringen mieszkał w Belgji. On korespondował w tym czasie ze swoim rządem w mowie szyfrowanej i miał tę bezczelność protestować wobec rządu belgijskiego przeciwko stanowisku ludności belgijskiej, która równie nieprzyjaźnie zachowywała się w obec Niemców i Austriaków. Także i inne dzienniki podnosiły to niehonorowe stanowisko Austrii wobec Belgji.

Dochodziły nas także dzienniki i wieści z poza frontu wschodniego a więc ze wschodniej Galicji, ze Lwowa, z Królestwa i Warszawy.

Ze Lwowa otrzymaliśmy nawet oprócz kilku pism polskich także wydawane wówczas pismo urzędowe rosyjskie „Lwowskoje wojennoje słowo“, organ urzędowy sztabu głównego komendanta armji południowo zachodniego frontu. Wówczas to doszła do naszych rąk także owa odezwa pewnej grupy lwowskich narodowych demokratów z 10 listopada 1914 r. będąca szczytem perfidji i krętactwa politycznego a zarazem serwilizmu, zarówno wobec Rosji jak i Austrii. Chodziło o to tym 24 panom podpisanym pod tą odezwą, aby z jednej strony przypodobać się okupantom rosyjskim przez potępienie legionów a z drugiej nie narazić się Austriakom, którzy przecież mogli jeszcze do Lwowa powrócić.

Więc strzygą i golą a wobec własnego społeczeństwa otulają się płaszczykiem „bolejącego nad bratobójczym charakterem walk na ziemiach polskich“.

Podobnie wykrętnem było także współczesne, bo tylko o dwa dni wcześniejsze oświadczenie grupy Podolaków t. j. Tadeusza Cieńskiego i Witolda Czartoryskiego, jako też narodowych demokratów Głębińskiego, Lubomirskiego, Jana Rozwadowskiego, Aleksandra Skarbka, Surzyckiego, Strońskiego i Vogla, występujących z Naczelnego Komitetu narodowego i „bolejących nad niepomysłnym wynikiem sprawy legionu wschodniego“, do czego się przecież ci sami panowie i ich lwowscy kompatryjoci głównie przyczynili i ten niepomysłny wynik t. j. rozbitcie legionu wschodniego sami spowodowali.

Smutna to i przykra sprawa a historja nie może i niepowinna przejść nad nią do porządku dziennego.

Obydwie grupy w obydwu odezwach powołują się na niemożność sprzeciwienia się opinii publicznej Królestwa, podówczas rusofilskiej a równocześnie zaznaczają, że i ich dążeniem „jest zdobycie w obecnym przełomie dziejowym jak najwyższej samodzielności dla Polski w związku z monarchją habsburską!”^{*)})

A tymczasem coraz bardziej jasnem się stawało, czego można się było spodziewać i czego w przyszłości oczekiwać od Rosjan mimo szumnych zapowiedzi autonomji polskiej w obrębie caratu rosyjskiego w odezwie W. Księcia Mikołaja Mikołajewicza.

Oto nowy dowód i obrazek, jak intensywnie wzięli się Rosjanie zaraz po okupacji Galicji Wschodniej do zjednoczenia jej z Rosją nie tylko pod względem narodowościowym lecz i religijnym.

W grudniowym zeszycie 1914 r. włoskiego pisma katolickiego „Roma e l'Oriente“, poświęconego idei szerzenia katolicyzmu wśród ludów wschodnich, znajdujemy kilka konkretnych wiadomości o stanie tej sprawy w Galicji wschodniej i zamiarach rządu rosyjskiego na przyszłość. Wbrew zapewnieniom pośła rosyjskiego, złożonym w Watykanie, jakoteż ogłoszeniu wolności religijnej przez generał gubernatora Bobrińskiego we Lwowie, zabrał się ten sam arcybiskup Eulogiusz, który już wślawił się przymusowem nawracaniem unitów chełmskich, do zupełnego zniesienia unji w Galicji i zjednoczenia Rusinów w wierze z panującym rosyjskim kościołem. W październiku

^{*)}) Obie odezwy w „Zbiorze dokumentów dotyczących sprawy polskiej“ styczeń 1914 — styczeń 1915, wydany w Szwajcarji w r. 1915.

1914 r. miało przejść „dobrowolnie“ na wiarę prawosławną tylko 30.000 Rusinów, z czego głośno wyraził swoje niezadowolenie petersburski prawosławny organ synodalny „Kołokoł“. Aby ułatwić szerszym masom pogodzenie się ze swoim sumieniem, miał synod święty, na wniosek owego Eulogiusza zezwolić na cały szereg ustępstw, dotyczących nietylko obrzędów religijnych, lecz nawet języka małoruskiego w szkole i śpiewie kościelnym. Tym sposobem spodziewa się Eulogusz, że ludność małoruska, nietylko wskutek misji religijnych, lecz także za pośrednictwem szkoły i poszanowania jej narodowych zwyczajów liturgicznych przejdzie na prawosławie nieznacznie i pozostanie mu wierniejszą, niż unicy chełmscy, którzy w r. 1905 w tak wielkiej liczbie przeszli z prawosławia do kościoła rzymsko-katolickiego. W misjach religijnych ma wciąż szczególniejszy udział Ławra Poczałowska, tak „zasłużona“ już w czasie pokoju propagandą prawosławia. W deputacji, która w grudniu zeszłego roku przybyła do Lwowa z Petersburga, wzięli udział nietylko członkowie Dumy państwowej, przeważnie nacjonałiści, lecz także wysocy dygnitarze kościoła prawosławnego Mitrocki i Nesełeniko.

Deputacja ta zwiedzała gminy już nawrócone do wiary prawosławnej i następnie wzięła udział w licznych zebraniach, zwołanych przez generał-gubernatora a dotyczących spraw urzędzenia szkolnictwa ludowego. Rząd rosyjski nie mógł dotychczas utworzyć szkół rządowych, rzekomo z powodu zbiegłego personelu pedagogicznego, lecz otworzył blisko 900 szkół elementarnych i zakłada seminarja do przygotowania nauczycieli w języku rosyjskim.

„Wszyscy katolicy niech mają oczy otwarte na to, co się dzieje w Galicji“, woła dziennik katolicki.

Że nawet o Ormianach galicyjskich nie zapomniał „kościół panujący“, dowodzi wzmianka o tem, że Kework V. katolikos ormiański, wydał odezwę, tak zwaną „contacion“ czyli encyklikę, wzywającą cały naród ormiański do unji i zgody ze zwycięską armją rosyjską.

W Petersburskiej kolonji ormiańskiej miała znaleźć ta odezwa entuzjastyczne przyjęcie. Posypały się hojne dary na „Czerwony krzyż“, szpitale i inne cele wojenne a w kościele ormiańskim w Petersburgu odbyła się imponująca demonstracja. Po co jednak rozszerzono tę odezwę w Galicji, gdzie jak wiadomo, Ormianie są oddawna Polakami i żyją w unji z Kościołem rzymskim, o tem chyba tylko wiadomo chytłym intrygantom rosyjskim.

W styczniu 1915 roku otrzymałem w biurze prasowem N. K. N. liczne dzienniki włoskie i polecenie opracowania opisu sytuacji politycznej włoskiej, sprawy polskiej we Włoszech i stosunku Włoch do Austrii w oświetleniu włoskich pism i dzienników. Zabrałem się do tej pracy z wielką ochotą, gdyż władając dobrze włoskim językiem, sam byłem ciekaw bardzo, jak wyglądają stosunki w kraju, który pierwszy z państw europejskich, publicznie w parlamencie wypowiedział się za niepodległością Polski i który z dawna okazywał nam wielką i szczerą przyjaźń. Pierwsze pobieżne wejrzenie w dzienniki okazało nadzwyczajną agitację ze wszystkich stron przeciw Austrii. Nadaremne były wysiłki ambasadora niemieckiego ks. Bülowa, aby namówić Włochów do udziału

w wojnie przeciwko Koalicji za cenę pokojowego odstąpienia im po zwycięstwie południowego Tyrolu z Trydentem, albo przynajmniej utrzymania neutralności Włoch na czas wojny. Przeciwnie wszystko wskazywało na bliskie zerwanie trójprzymierza i może nawet przyłączenie się do nieprzyjaciół państw centralnych.

Zresztą na frontach bojowych zapanowała chwilowa cisza i jakieś niepokojące oczekiwanie większej ofensywy przeciw Rosji.

Niejakie nadzieje obudziła w nas wiadomość o odebraniu Moskalom ważnej pozycji górskiej na Bukowinie t. zw. Kirlibaby i o udziale w tem zwycięstwie naszego legjonu wschodniego. Nie przeczuwaliśmy jednak, że istotnie był to pierwszy krok do odzyskania kraju, po którym już nastąpiły, choć z wolna, dalsze odzyskiwania już na stałe coraz większych obszarów Bukowiny i Galicji wschodniej.

Polska Partja Socjalistyczna urządziła dnia 24. stycznia wieczór dla uczczenia rocznicy powstania 1863 roku. Program składała mowa pośła Ignacego Daszyńskiego, deklamacja Adwentowicza i Czaplińskiej, gra na fortepianie panny Diszówny i opowiadanie legionisty Juljusza Kadena o bitwie pod Łowczówkiem.

Mowa Daszyńskiego była nietyle wspomnieniem przeszłości sławnej, co obrazem chwili obecnej. Mówił spokojnie, lecz chwilami z wielką mocą i tak porywająco, żeśmy tłumili dech w piersiach. Poruszał nam dusze i serca. Wskazał na zastępy legjonów walczące z najwyższym zapalem przeciw Rosji. „Ten czyn legjonów wskazuje światu, gdzie nasz wróg największy,

gdzie nasz ciemiezca. W legionach walczą zastępy złożone z najszlachetniejszych jednostek, zdolnych do najwyższych poświęceń. Z własnej woli dla umiłowanej ojczyzny ofiarują jej oni wszystko, co mają: najpiękniejszego, swoją młodość, swoje życie. Wyrzekają się oni wszystkiego, i w trudach, w głodzie, z gotowością i ofiarnością narażają się na rany, na kalectwo, na śmierć, byle zwalczyć największego wroga: Polski, Rosję, Miljon Polaków stoi pod bronią i walczy pod trzema sztandarami, jako armja regularna trzech państw. Nigdy nie marzyliśmy, by tyle wojska polskiego znalazło się naraz w boju. Lecz wojsko to pod obcym rozkazem — wojsko to, to część armji Austrii, Niemiec i Rosji. Nie umieliśmy sami wystawić takiej armji i dopiero obca wola nas uzbroiła i w bój wysłała. I w tej walce dzieje się dla nas coś okropnego! Polak walczy przeciwko Polakowi — Polak wbija ostrze bagnetu w piersi Polaka. Wstydem i hańbą byłoby, że my, jak bezwolna, niewolnicza masa idzie — za rozkazem naszych zaborców. Od tego wstydu uratował nas Józef Piłsudski, ratują nas legjony, to zorganizowane własną ofiarnością, z własnej woli, z własnego poświęcenia — wojsko polskie, walczące z najwyższym zapałem przeciw Rosji. Nie zamykajmy oczu na austriackie fałsze i pruskie gwałty, lecz nie wierzymy Rosji, nie da nam ona wolności, nie da odrębności narodowej. Dąży ona wszelkimi siłami do zagarnięcia wszystkich Słowian pod swe berko, pragnie zlania ich — według słów Puszkina — w jedno morze rosyjskie“!

Mowa Daszyńskiego była najgłówniejszym punktem programu. Cała publiczność złożona z intelligen-

cji różnych zawodów była zachwyconą i porwaną jego gorącemi słowami.

Koniec stycznia przyniósł niekorzystne zmiany dla Polaków w rządach politycznych Austrii. Po usunięciu Berchtolda i zamianowaniu na jego miejsce Węgra Burjana ministrem spraw zagranicznych, mówi się głośno o podaniu się do dymisji ministra wspólnego skarbu, Dra Bilińskiego. Jest to w obecnej chwili jedyny Polak na stanowisku ministerjalnem. Usunięcie go może wywołać niewesołe dla Polaków domysły. Albo uważa się Galicję już za kraj stracony dla Austrii i wskutek tego usuwa się Polaka, jako reprezentanta nieistniejącej dla Austrii narodowości z jednego z naczelných stanowisk państwa; lub też usuwa się ministra austriackiego Polaka, by Polska nie miała rzecznika w razie coraz prawdopodobniejszych osobnych rokowań pokojowych Austrii z Rosją.

Drugim niedobrym faktem jest zamianowanie ministrem dla Galicji (Boże! gdzie ta Galicja?) Dra Morawskiego. Jest to minister urzędnik.

Takich mieliśmy już nieraz — więc o to mniej-sza! Lecz zamianowanie jego nastąpiło bez naradzenia się i porozumienia z Prezydym Koła Polskiego a takie postępowanie nie było dotąd praktykowane.

Zrażony tem, jako też niespodziewanem rozwiązaniem Rady miejskiej w Krakowie, Dr. Leo, prezes Koła Polskiego, złożył prezesurę Koła. Przyszłość okaże, jaka przyczyna tkwi w tych doniosłych, dla nas nieprzychylnych faktach.

Jasne jest jedno, że Węgrzy teraz w Austrii trzymają ster rządów i wszystkim kierują — a oni okazali się przeciwnymi programowi odbudowania

Polski. Podobno boją się tego. Zapewne ma to ścisły związek z wymienionymi wypadkami.

Z początkiem lutego, przeprowadziliśmy się z miłego bardzo mieszkania u pani Linderowej do pensjonatu przy Bartensteingasse l. 13 prowadzonego przez baronową Buol. Mieszkanie w śródmieściu w pobliżu ratusza było z wielu względów wygodne, ale gospodyni niesympatyczna, starsza dama z wielkimi manierami a zachłanna i opryskliwa. Pożywienie z każdym dniem gorsze i droższe, w czym może nie tyle było winy tej pani, jak coraz bardziej odczuwać się dających braków w najpierwszych potrzebach życiowych, spowodowanych wojną. W tym czasie pojawiły się najpierw we Wiedniu bułeczki wojenne, Kriegssemmeln, z ciemnej wypiekane mąki a wkrótce potem wyłącznie tylko „Kriegsbrot“ z jakiejś szarej masy, zmieszanej z kukurudziąną mąką.

Przybył do Wiednia mój przyjaciel i kolega Dr. Michał Janik, który w czasie wybuchu wojny bawił we Włoszech na podróży naukowej a że jako rezerwista musiał się stawić na rozkaz mobilizacyjny, powrócił i od początku walk wziął udział w wojnie jako szeregowiec. Dopiero po rozbiciu korpusu galicyjskiego, w którym służył, przydzielono go do służby poza frontem. Awansowany na podoficera, był nadzorcą robót fortyfikacyjnych w pobliżu Wiednia w Tulln i stamtąd na krótki urlop przyjechał.

Posłowie polscy zajęli się jego uwolnieniem ze służby, co się w końcu udało i odtąd wziął Dr. Janik gorliwy udział w pracy agitacyjnej i literackiej w służbie idei niepodległościowej. Później osiadł w Dąbrowie Górniczej i tam redagował przez czas dłuższy

„Gazetę Polską“, codzienne pismo polityczne w służbie idei legionowej i N. K. N. Pierwszy list ze Lwowa przybył w tym czasie do nas do Wiednia ku wielkiej naszej ucieście. Znowu zacny polski lekarz Dr. Żalplachta, był pośrednikiem w korespondencji uchodźców. Jemu i Dr. Marjanowi Lindemu, przemysłowcowi, także wówczas mieszkającemu w Rumunji, należy się szczerza wdzięczność licznych rzesz uchodźców polskich, dla których nietylko bezinteresownie, ale z wielkim nakładem własnych funduszków, stworzyli jakby biuro pośredniczące między częścią kraju, zajętą przez armję rosyjską a uchodźstwem zagranicznem a głównie wiedeńskim.

Pod wpływem otrzymanych wieści ze Lwowa, ogromnie ożywiły się w nas wspomnienia naszego ukochanego grodu, już blisko pół roku nie widzianego i dobrych ludzi i rodziny i wielka tęsknota opanowała nasze serca i żal, spotęgowany jeszcze beznadziejnością naszego położenia. Chwilami wydawało nam się, że może już nigdy nie wrócimy do swoich i może już ich nigdy nie zobaczymy.... Więc ciężka troska osiadła w naszych myślach i niejedna łza się polała... Czepialiśmy się nieraz jakichś najdalszych nadziei i gorączkowo wyczekiwali ich spełnienia. A gdy przychodził zawód, gorzkniało serce i jak zmora ciążył nam ten przymusowy pobyt wśród obcych. Żle nam było...

Wojna tymczasem srożyła się coraz straszniejsza, płomieniami swojemi obejmując coraz dalsze okręgi świata

Kiedy zmagania się stumiljonowych armji zakrzepły w zimowych śniegach i lodach, rozpętała się

furja wojenna na morzach i oceanach i to z niesłychaną dzikością i zaciętością.

Wystąpiły po raz pierwszy w straszliwej swojej grozie niszczenia łodzie podwodne. Po bitwie morskiej pod Helgolandem, owej prześlicznej wysepce, podarowanej niedawno Niemcom przez Anglików na to, aby ci obecnie zrobili z niej podstawę swoich ataków morskich przeciwko wyspom Brytyjskim, ogłosili Niemcy całe morze północne dokoła Anglii jako teren wojenny. W odpowiedzi na to uzbroili Anglicy wszystkie porty i ogłosili je jako fortece, przystępując równocześnie do blokady wybrzeży niemieckich i zamknięcia wszelkiego dowozu do Niemiec. Wojna zaostrza się niesłychanie. Zatopienie amerykańskiego okrętu handlowego „Wiliam P. Frege“, budzi oburzenie u wszystkich ludzi uczciwych a hałaśliwa radość niemieckich dzienników z tego powodu wydaje się jakby zagłuszeniem obaw przed zemstą Ameryki, dotychczas neutralnej. W banalnych frazesach głoszona pewność zwycięstwa Niemców ledwie mogła ukryć rozgoryczenie i jakby rozpaczliwe wysiłki, spowodowane obawą przed wygłodzeniem.

Mimo to, krzyżacka buta i zaciętrzewienie w nienawiści do Polaków nie maleje a właśnie w tym czasie zwracają uwagę zajadłe artykuły niemieckich publicystów Kleinoffa i Hardena przeciwko nam skierowane. W swoim piśmie „Zukunft“ wydawanem w Berlinie, zaznaczył Harden, że „o legionach polskich, ich męstwie i waleczności dotąd nic nie zasłyszał, natomiast słyszał niby wiele o zdradzie Polaków austriackich i że między tymi zdrajcami znajduje się aż 700 urzędników galicyjskich!“ Na to dostał

pełną godności, znakomitą odpowiedź od prezesa N. K. N. Dr. W. Jaworskiego, z której pamiętam takie słowa: Legjony są naszą dumą, panie redaktorze, a jeśli entuzjazm, z którym ta wspaniała młodzież idzie do szturm i na śmierć, nie może zyskać sobie czyjegoś podziwu, to my — pogodzić się z tem musimy. Upraszam pana, abyś zapytał niemieckiego żołnierza, który polskich legionistów widział przy robocie, co o nich myśli. Może wtedy niejedno wprawi Pana w podziw. Przytoczywszy słowa cesarza Franciszka Józefa I. który zachowanie się legionistów nazwał bohaterskiem, kończy prezes Jaworski: „Gdyby to wszystko nie miało Panu wystarczyć, to gotów jestem przesłać Panu listy strat polskich Legionów. Każde nazwisko mówi tu głośno o czynie, właśnie dlatego, że ten, który je nosił, stał się już cichym“. Co do wzmianki o liczbie 700 urzędników galicyjskich jako zdrajców, żąda dowodów tego oskarżenia, nieprzebaczalnie lekkomyślnego“.

Odpowiedź prezesa Jaworskiego zamieścił „Wiedeński Kurjer Polski“ i „Nowa Reforma“. Miała ona być również umieszczoną w czasopiśmie „Polen“ wydawanem w języku niemieckim we Wiedniu. Tymczasem stało się coś niespodziewanego — cenzura odmówiła pozwolenia!

Więc niepozwała się oczywiście dlatego, by, jeśli czasopismo „Polen“ znajdzie się w niemieckich rękach, czytający Niemiec nie mógł przekonać się, że zarzuty p. Hardena nie zostały bez odpowiedzi, i że ta odpowiedź mówi o niesprawiedliwej napaści niemieckiej na Polaków — a mówi przytem o zasłu-

gach i uznaniu legionów polskich za ich męstwo i bezprzykładne bohaterstwo!

Mówi to o bardzo niekorzystnym zwrocie polityki austriackiej wobec Polaków. Nasuwa to przypuszczenie, czy nie wyzyskano tu po staremu naszej nienawiści do ciemżycielki Rosji, dając poufnie do zrozumienia, iż myślą o odbudowie Polski — a czy nie będą to drwiny, czy to nie haniebnny wyzysk polskiej krwi?

W Rosji także obietnicami łudzą Polaków — tu obietnice — tam obietnice — krew ofiarna leje się za te obietnice — a co uzyskamy?

Czy nie czwarty podział Polski? Po cichu wiele się o tem mówi między nami a na samą myśl o tem krew ścina się w żyłach!

Podejrzliwi ale czujni i przenikliwi politycy polscy mówią: „W najgorszym wypadku, gdyby Niemcy nie zdołali wziąć Warszawy, i gdyby skutek tego Niemcy i Austria zawierały z Rosją osobny pokój — przyjść mogłoby do tego czwartego podziału Polski. W tym smutnym wypadku mogłaby nastąpić taka kombinacja podziału:

Niemcy dostałyby część Królestwa z Częstochową, Będzinem, Kaliszem a ewentualnie nawet Łodzią, co przyłączyłyby do Poznańskiego.

Przy Rosji zostałyby Wschodnia Galicja z drugą częścią Królestwa, Austria do zachodniej Galicji otrzymałaby część Królestwa z Miechowem, Chęcinami, Książem i Jędrzejowem. W takim podziale nic nie uzyskalibyśmy a bardzo wiele stracili. Niemcy w tej nie o wiele powiększonej części ziem polskich dalej

stosowaliby taktykę germanizacyjną, gdyż ilością ludności obszar ten nie byłby dla nich niebezpieczny.

W Rosji liczba Polaków byłaby znacznie zmniejszoną, więc tam także nie mogłoby być mowy o jakichś koncesjach politycznych dla Polaków — chyba jeszcze sroższy ucisk i starania usilne, aby zabić polskość i wytępić ją zupełnie.

W Austrii również byłaby zmniejszona ilość Polaków. Straciliby oni w tem państwie swój wpływ i dotychczasowe znaczenie, gdyż Koło Polskie liczyłoby może mniej o 20 posłów!

Niewesołe myśli i niewesołe obrazy przyszłości nasuwa ta nieprzychylna względem Polaków polityka niemiecka i austriacka. Daj Boże, byśmy się mylili!

Powyższy ustęp odpisałem dosłownie z notatnika wiedeńskiego, do którego zwykłem był zapisywać za świeża usłyszane wiadomości w kołach korespondentów wojennych i poważniejszych polityków polskich. A przytaczam je dlatego, aby dać wierne obraz naszych ówczesnych nastrojów, nadziei i obaw. Jakże daleko byliśmy od bezmyślnego oddania się służbie Austrii lub filogermanizmu, o co zwykli nas posądzać publicyści narodowej demokracji, tego stronnictwa, które właśnie w owym czasie tak we Lwowie jak i w Królestwie kompromitowało się haniebnie poniżającym carofilizmem a nawet podjęło na szczęście nieudalą próbę organizacji legionów pod komendą Gorczyńskiego, dla walki po stronie Rosji przeciw własnym braciom, galicyjskim Polakom i Legjonom Piłsudskiego lub Poznańskim pułkom pruskim! Cui bono?

W połowie lutego byłem znowu w Gracu. Na-
stały piękne słoneczne dni. Pierwszy powiew wiosny.
W miłym towarzystwie zrobiliśmy piękną wycieczkę
do „Maria Trost“ tramwajem, kilkanaście kilometrów
za miastem w górzystej okolicy pięknie położonego
Kościoła odpustowego. Po powrocie odpoczywaliśmy
w parku miejskim, gdzie wówczas po raz pierwszy
zauważyłem, do jakiego stopnia zbliżenia się do przy-
rody i jej mieszkańców doprowadzić może publiczność
kulturalna !

W parku tym, leżącym w śródmieściu wszystkie
ptaki i zwierzęta są tak oswojone, że przylatują same
blisko, dopraszając się pokarmu, siadają nawet na
ramionach i na rękach do nich wyciągniętych a wie-
wiórki zresztą dziko żyjące, bawią się i figlują z dzieć-
mi i starszymi.

Dość jest stanąć na ścieżce i rękę wyciągnąć
aby stado wróbelków i czyżyków ze wszystkich stron
nadleciało i wprost do dłoni się zbliżyło lub na ręce
usiadło. Jedyny to na świecie widok i dowodzi wiel-
kiego umiłowania przyrody i ogólnego przestrzega-
nia łagodnego obchodzenia się ze zwierzętami, nie
drażnienia ich a przeciwnie karmienia szczególnie
w porze zimowej, gdy im trudno o pokarm.

Drugiego dnia pobytu wyjechaliśmy koleją do
Puttingham, browaru położonego w pobliżu słynnego
Talerhofu, gdzie był obóz koncentracyjny i więzienie
wielu Rusinów, lecz także i Polaków z Galicji, któ-
rych żandamerja austriacka podejrzewała o sprzyjanie
Moskałom lub o nielojalność w obec rządu. Mnóstwo
niewinnych osób tam cierpiało szczególnie z tak
zwanej partji staroruskiej, przez Ukraińców Moska-

lofilską zwanej. Setkami zabrano ich z rozmaitych stron wschodniej Galicji tuż przed wkroczeniem armji rosyjskiej i tu ich uwięziono, nie szczędząc wszelkiego rodzaju udręczeń i barbarzyńskiego obchodzenia się. Wielu z nich zostało wyrokami sądów doraźnych skazanych na śmierć i rozstrzelanych lub powieszonych a w Gracu opowiadano powszechnie o ciągłych egzekucjach tych nieszczęśliwych. Więc kto z nas mógł, to starał się o uwolnienie i wydobyć ze szponów śmierci znajomych lub poleconych. Starania te nie były łatwe i raczej mogły narazić starających się, gdyż w Gracu i okolicy a także i we Wiedniu pełno było w owym czasie tajnych dedektywów i wywiadowców rządowych a niebaczne słowo mogło stać się powodem nowego nieszczęścia. I nasza podróż w tamtą okolicę nie była bezcelowa a odwiedzenie browaru w Puttinghamie tylko pokrywką właściwego celu, którym było wydobyć z piekła Talerhofskiego Ks. Dr. Bilińskiego, grecko-katolickiego proboszcza, znanego nam dobrze, bardzo wykształconego i wielkim humorem wrodzonym obdarzonego człowieka. Jakoż dzięki usilnym zabiegom i pomocy zacnego radcy policji lwowskiej, przydzielonego do służby w Gracu, udało się nam to w końcu a Ks. Biliński zamieszkał naprzód w Gracu jako „konfionowany“ t. j. pod dozorem policji a później powrócił do kraju, lecz niestety wkrótce umarł zaraziwszy się w swojej parafji na tyfus brzuszny.

Po powrocie do Wiednia czekała mię miła wiadomość, że cała Bukowina jest wolna, lecz nietylko Bukowina, ale i w galicyjskich Karpatach położone miejscowości Delatyn, Pasieczna, Kuty i Kosów ode-

brane. Dzienniki doniosły także o wielkiej bitwie pod Stanisławowem i między Nadwórną a Kołomyją. Nadzieja bliskiego powrotu nam zaświtała. Natychmiast podjąłem starania o pozwolenie wyjazdu do Czeraniowiec. Ale policja wiedeńska stanowczo odmówiła, nie podając wcale powodu...

Trzeba więc było dalej cierpieć i czekać.

Z końcem lutego nadeszła wiadomość o wielkim zwycięstwie Hindenburga nad jeziorami mazurskimi w Prusach Wschodnich. Ale w Galicji coś się chwiało i wiadomości były zmienne.

Wybrałem się ponownie do Gracu. Na Semmeringu jeszcze zima, lecz w dołach już wiosna w całej pełni. Ludzie pracują w polu. Nastało kilka dni słonecznego przedwiośnia, które i w duszach naszych, skołatanych ciężkimi myślami o Ojczyźnie i o naszym losie, obudziły jakieś nadzieje zmiany na lepsze i wybawienia z tego życia bez jutra.

We Wiedniu pracowałem bardzo pilnie po kilka godzin rano i południu w biurze prasowym N. K. N. zajmując się, jak zwykle, stanem sprawy polskiej za granicą a głównie we Włoszech. Oprócz całego szeregu artykułów i sprawozdań z dzienników włoskich opracowałem w owym czasie dla sekretariatu i prezydium większy memoriał o ówczesnym stosunku Italji do mocarstw centralnych i coraz bardziej grożącym wmieszaniu się Włochów do wojny światowej. Wypracowałem także wówczas artykuł we włoskim języku do tamtejszych dzienników pt. „L'avvenire della Polonia“ t. j. „Przyszłość Polski“. Prace te, którym oddawałem się z wielkim zapałem, przygłuszały smutne myśli i troski moje i dawały mi zadowolenie z te-

go powodu, że niemogąc już inaczej t. j. na polu bitwy, jak niegdyś tego przez całe życie pragnąłem, przynajmniej w ten sposób pracując, choćby małą kropelką przyczyniam się do dzieła wyzwolenia ukochanej Ojczyzny.

Początek marca przyniósł jednakże przykrą odmianę i jeszcze większe przygnębienie. Pogoda zepsuła się fatalnie. Śnieg, mróz a potem deszcz lał całemi dniami. Z Galicji uciły wiadomości, natomiast z Królestwa przybyły smutne wieści o oburzającym postępowaniu Prusaków z ludnością polską. Coraz bardziej zarysowywał się wyraźny podział między częścią zajętą przez Niemców a okupacją austriacką, której głównem ogniskiem był wówczas Piotrków, siedziba departamentu wojskowego Legjonów polskich. Szefem departamentu był podpułkownik Władysław Sikorski, który wraz z całym szeregiem znakomitych pomocników rozwinął wkrótce tam na ziemi polskiej nadzwyczajną działalność, daleko sięgającą poza zakres ściśle wojskowy, Posiadając pod swą komendą także drukarnię państwową, niegdyś rosyjską, zorganizował znakomite biuro prasowe pod męjętnem kierownictwem Dra Stanisława Kota, redaktora „Wiadomości Polskich,” i całego szeregu dzielnych współpracowników w kraju i zagranicą.

W krótko zaczął wychodzić także „Dziennik Narodowy” pod redakcją Adama Zagórskiego i bardzo liczne wydawnictwa wojskowe i polityczne.

Nadzwyczajnie ruchliwa organizacja departamentu wojskowego N. K. N. pokryła wkrótce całą siecią delegatur część wolną od rosyjskiego najazdu Królestwa i Galicji. Właśnie w sprawie zorganizowania

nowej delegatury w Makowie koło. Suchej wysłany zostałem 20 marca 1915 z Wiednia i zaopatrzony w potrzebne legitymacje władz cywilnych i wojskowych, odbyłem tą kilkudniową podróż bardzo ochotnie, powodowany także niemało ciekawością, naoczniego przekonania się, co się tam w Galicji dzieje po tylu miesiącach niebytności.

Przez Kraków tylko przejechałem a przenocowaawszy w Żywcu, na drugi dzień rano stanąłem w Makowie. Na wielu stacjach wymijałem pociągi przepełnione wojskiem, zdrażającym również ku frontowi bojowemu między Nowym Sączem a Gorlicami. Bo i w Galicji i w Karpatach fronty od kilku miesięcy ustaliły się, nie przynosząc żadnej odmiany. Maków, miłe miasteczko podgórskie, był przez wojnę zniszczony i wyludniony. Trudno było a kimkolwiek nawiązać jakiś stosunek, tak wszyscy byli przygnębieni i z obawą wyrażali się o przyszłości. Depesza pośła Dra Marka, przewodniczącego sekcji organizacyjnej N. K. N. zapowiadała na ten dzień wiec w Makowie, tymczasem oprócz mnie nikt nie przybył, ograniczyłem się więc tylko do wywiadów, kogo by tam delegatem można ustanowić. Wskazano mi sędziego p. Wilhelma Ursela, z którym się w tym względzie porozumiałem a resztę czasu wolnego aż do odejścia pociągu o g. 12 tej w nocy spędziłem w domu pana Jana Lankaua, plutonowego sztabowej kompanji generała Durskiego, później zajętego w szkole podoficerskiej w Marmarosz-Sziget. Na opowiadaniach o wypadkach wojennych szybko nam czas zeszedł, poczem wśród ciemnej nocy wyruszyłem na dworzec i kupiłem bilet tylko do Krakowa, pragnąc

tam odwiedzić znajomych i lepiej zorjentować się w sytuacji.

Tymczasem komenda dworca w Krakowie odmówiła mi pozwolenia wstępu do miasta pomimo moich legitymacyj. Było to coś niespodziewanego. Jakiś więc nawet obywatelowi posiadającemu własny dom w Krakowie nie wolno na chwilę wstąpić do miasta! Ale logika wojny a raczej niektórych komendantów wojennych zupełnie nie odpowiada pojęciom normalnego myślenia i wnioskowania, więc wyruszyłem najbliższym pociągiem dalej i tylko od mego przyjaciela, inspektora kolejowego Wacława Potuczka, mieszkającego wówczas na dworcu, dowiedziałem się, że „sytuacja coś znowu bardzo się popsuła”. Istotnie w drodze do Wiednia znowu widziałem wiele pociągów wojskowych, zdążających do Krakowa a na stacjach również ogromne transporty i pociągi z rannymi, wiezionymi do szpitalów wiedeńskich.

O godzinie 8 wieczorem na dworcu północnym we Wiedniu zagadka była rozwiązana w dwóch wymownych słowach: Przemysł padł!

Prześliczny słoneczny dzień 28 marca 1915 nie usunął ogólnego przygnębienia z powodu upadku twierdzy Przemyskiej. Rzecz prosta, iż najbardziej odczuli to wychodźcy galicyjscy, choć można było widzieć i Wiedeńczyków bardzo zasmuconych i ze łzami w oczach opowiadających lub słuchających szczegółów tej smutnej nowiny.

Nam chyba pożegnać się już z nadzieją odebrania Lwowa. Nie zdobyli Przemyśla wrogowie pociskami armatnimi, lecz głód oddał go w ręce Rosjan. Dlatego całkiem zrozumiałe było oburzenie nieopi-

sane, że niedostatecznie twierdzą zaopatrzone w żywność, była to niewątpliwie lekkomyślność i krótkowzroczność ludzi powołanych do skutecznego zaprowiantowania a pewnie także oszustwo dostawców. Opowiadano o samobójstwie głównego intendentą Przemyśla już w czasie oblężenia i o aresztowaniu różnych dostawców armji. Zapóźno wzięto się do robienia porządku.

Dzienniki niemieckie starają się usprawiedliwić ten smutny fakt i wyliczają najrozmaitsze przyczyny, będące jakoby powodem upadku twierdzy. Piszą zupełnie coś przeciwnego, niż przed upadkiem pisały. A więc przedtem była tam najlepsza sytuacja, jedzenia podostatkiem, epidemji żadnych, stosunki maluczko, maluczko, że idealne a przytem bardzo interesujące niezwykłością sytuacji na tej wyspie wojennej. Teraz dopiero dowiadujemy się o głodzie i epidemiach. Żołnierze przed ostatnią wycieczką po bardzo długim poście i głodowaniu dostali po dwie puszki konserw — ostatnie puszki. Znaczna część tych ludzi odwykłych od jedzenia jakiego takiego — rozchorowała się ciężko po tych konserwach a nawet wielu umarło. Ogromna drożyzna panowała w mieście. Za jedno jajo płacono 1 K., cetnar ziemniaków 60 K.

Też same dzienniki starają się wmówić, że więzienie Przemyśla nie wpływa zupełnie i nie szkodzi w ogólnej sytuacji wojennej — zdaje się, że gdyby to było możliwem, napisałyby nawet o korzyściach jakie dla nas z tego wynikną. Z politowaniem i gorczyzą w sercu czytaliśmy te głupie argumenty: nie zmieniło faktu, że jest to strata bardzo ciężka a jak

się później okazało, wiadomość o upadku Przemyśla odbiła się głośnie echem w całej Europie i była jakby zapowiedzią ostatecznego zwycięstwa Rosji. Załoga austriacka w liczbie 90.000 ludzi dostała się do niewoli a 150.000 wojska oblężniczej armji rosyjskiej nie więzi już twierdza przemyska. Teraz ta armja pójdzie pewnie przez Karpaty na Węgry z zamiarem zniszczenia wszelkich wiosennych zasiewów, by widno głodu zmusiło Austro-Węgry do zawarcia pokoju. Liczymy jeszcze tylko na wzięcie Warszawy, to jedno mogłoby przynieść poprawę i wydobyć się z bardzo ciężkiej sytuacji.

Lecz kiedy my biedacy, dostaniemy się do naszego kraju, do naszych domów? Każdy z nas z tęsknotą czeka na koniec wojny, na koniec tułaczki wojennej. Teraz nowa ewakuacja Krakowa powiększy liczbę przymusowych wygnańców — włóczyć ich będą po barakach i innych dziurach na biedę i chorobę. Bardzo smutne pod każdym względem stosunki panują w barakach Choczeńskich — a nazwa Chocnia stała się już synonimem przedpiekła.

Coraz częściej słyszy się głosy, że wszystkich uchodźców wojennych, wszystkich tak zwanych tu „flüchtlingów“, bawiących we Wiedniu rozmieszczać będą również w barakach. Wogóle ludność Wiednia zachowuje się wrogo w obec uchodźców wojennych. —

Upadek Przemyśla przemienił sytuację ogólną, czyniąc ją tak poważną, jak dotychczas jeszcze nie była. Cała oblężnicza armja rosyjska z pod Przemyśla podążyła ku Karpatom. Przełęcz Dukielska, broniona i zdobywana z trudem i uporem została sforsowaną przez Rosjan, którzy znaleźli się znowu

na Węgrzech po obu brzegach Laborczy. Zdawało się, że wszystko stracone!

Jeszcze nie panika, ale wielkie zdenerwowanie ogarnęło mieszkańców Wiednia. I tak już od kilku tygodni zniknęły zupełnie owe słynne bułeczki wiedeńskie i wszelkie białe pieczywo a chleb wojenny, czarny lepki Kriegsbrot z każdym dniem gorszy, okropny. Tłuszcze zastępowały rozmaite podejrzanego pochodzenia zastępcze artykuły tak zwane „Ersatze“ a drożyzna z dnia na dzień rosła. Pojawiły się plakaty za znamienymi odezwaniami: „Heraus Patrioten! Kein Brot! Kein Fleisch!“

W takiej bardzo ciężkiej chwili w niedzielę 28 marca siedziało kółko litaratów i dziennikarzy polskich w zwykłym miejscu swej schadzki w kawiarni obok parlamentu pod arkadami. Wobec sytuacji prawie beznadziejnej usposobienie było dosyć przygnębione. Jeden tylko pan Czaki, korespondent i współpracownik pism polskich, czerpiący stale natchnienie w biurze prasowym austriackiego ministerstwa spraw zagranicznych, czyli jak krótko omówiono: „na Ball-placu“, odznaczał się wielką pogodą ducha i równowagą umysłu. Bardzo sympatyczne, na wpół tajemnicze jego zwierzenia i rewelacje bywały nieraz przedmiotem żartobliwej krytyki i dowcipnych docinków w gronie kolegów. Właśnie w ów niedzielny poranek wbrew ogólnej opinii zapewniał nas pan Czaki uroczyście, że cokolwiek możnaby powiedzieć o ogólnym położeniu wojennym, to pewne, że trzy rzeczy są dobre: We Włoszech dobrze (lada dzień spodziewano się wybuchu wojny włosko-austriackiej), w Karpatach dobrze (właśnie przyszła wiadomość o wtar-

gnięciu Rosjan do Węgier) i w Dardanelach dobrze! (Właśnie wylądowali Anglicy i Francuzi na Gallipoli)!

Na to dodał redaktor Laskownicki: Na Himalaji także dobrze! Powszechny śmiech towarzyszył tej trafnej odpowiedzi.

Po mieście obiegały pogłoski o zamiarach Austrii nawiązania rokowań pokojowych z Rosją. Podobno nawet cesarz Wilhelm bawi incognito we Wiedniu, mieszka w Burgu, czekając na rozstrzygnięcie walk w Karpatach, poczem w razie nieudania się tej bitwy mają nastąpić rokowania pokojowe z Rosją nawet za cenę oddania jej całej Galicji!

A tymczasem legjony nasze krwawią się w dalszym ciągu gdzieś w Karpatach bukowińskich! Właśnie wprost z frontu bojowego przybył do Wiednia oficer legjonów z oddziału Durskiego. Przybył z wiadomością, że komendanci armji austriackiej obchodzą się bardzo źle z legjonistami i często rozdzielają ich partjami do rozmaitych oddziałów austriackich, celowo znosząc w ten sposób jedenostkę bojową polską. Wielkie rozgoryczenie panuje z tego powodu w legjonach a polski oficer przysłany został, by tujsze wpływowe koła N. K. N. czemprędzej wystąpiły przeciw tej sekaturze, gdyż legioniści zrażeni takim postępowaniem „albo przejdą otwarcie na stronę Rosji albo doprowadzą do rozwiązania legjonu“.

Niewątpliwie prezydjum N. K. N. i polscy politycy, bawiący we Wiedniu uczynili wszystko, aby te tarcia i nieporozumienia usunąć, lecz to się na wiele nie przydało. To pewne, że legjony były wówczas

dla Austrii niewygodne, bo lędzono się jeszcze nadzieją zawarcia odrębnego pokoju z Rosją. Gdy jednak sfery polityczne austriackie nie chcąc sobie zrażać Polaków, przynajmniej udawały życzliwość, to naczelna komenda wojskowa tak zwana A. O. K. (Armee-Ober Kommando) z arcyksięciem Frydrykiem na czele i podwładni generałowie często wprost nieprzyjaźnie a nawet pogardliwie odnosili się do walczących ochotników polskich, usiłując zawsze zepchnąć ich do roli oddziału pospolitego ruszenia austriackiego.

Nie brakło w tym celu rozporządzeń poniżających i wprost oburzających, które chociaż przeważnie wcale nie bywały wykonane, to jednak wywoływały wiele rozgoryczenia i żalu. Takim na przykład było zarządzenie noszenia na ramieniu munduru opasek czarno-żółtych, marne zaopatrywanie w żywność i odzienie, przydzielanie najgorszych stanowisk i nieszczędzenie krwi Polaków przy każdej sposobności nieraz w sposób bezmyślny i lekkomyślny. Przypominam sobie, jak pewnego razu już z końcem kwietnia 1915 przybył z frontu poseł Daszyński do N. K. N. i narzekał głośno na postępowanie Austriaków z legjonistami, twierdząc, że w obec tego chyba najlepiej legjony rozwiązać!

Tymczasem trzeba było nadzwyczajnej cierpliwości i wprost zaparcia się dowódców i przewodników politycznych polskich, aby umieć znieść to wszystko i wytrwać, nie dla Austrii i jej bezmyślnych poczynań, lecz z oczami utkwionemi w przyszłość narodu polskiego i w głębokiem poczuciu konieczności utrzymania choćby garstki żołnierza polskiego

z bronią w rękę, choćby chwilowo w najcięższych warunkach, dla celów jeszcze wówczas ukrytych — niemniej jednak odczuwanych i wyczekiwanym przez wszystkich Polaków, gorąco Ojczyznę miłujących.

W prasowym biurze N. K. N. opracowałem wówczas i złożyłem do użytku prezydium memorjał o sprawie polskiej we Włoszech. Rzeczą tę opracowałem na podstawie sprawozdań i korespondencji Polaków, wówczas we Włoszech bawiących i dla Polski pracujących, jako też na podstawie artykułów poświęconych polskiej sprawie w bardzo licznych dziennikach i czasopismach włoskich jako też broszur politycznych, które mi z Włoch dostarczono. Prawie w ostatniej chwili przed wybuchem wojny włosko-austriackiej wysłał N. K. N. do Włoch swego specjalnego przedstawiciela barona Rogera Battaglię. Moje sprawozdanie mogło więc stanowić informację bardzo użyteczną. Niestety, podróż polityczna pana Battaglii nie ziściła nadziei na silniejsze rozbudzenie opinii publicznej włoskiej i sympatji dla sprawy. Włochy całe jakkolwiek serdecznie sprzyjały Polakom walczącym o swoją niepodległość, jednak Austrię uważały wówczas za największego swego wroga. W takiej więc chwili jeden niezręczny krok musiał wywołać podejrzenia i spowodować skutki wprost przeciwne zamierzeniom. Tak się też stało i trzeba było później naprawiać, odwoływać i wyjaśniać. W aktach archiwum N. K. N. znajdują się dokumenty wyjaśniające tę sprawę*).

*) Michał Lityński, Polska sprawa we Włoszech przed wybuchem wojny włosko-austriackiej.

Wtorek 18 maja 1915.

Wiele wypadków zaszło od czasu, gdy ostatni raz zapisywałem je w moim pamiętniku. Okazało się słusznem twierdzenie, któremu mało kto wierzył, że zabranie Przemyśla nie wpłynie bezpośrednio na sytuację wojenną. Mimo tę wielką stratę, mimo, że cała prawie oblężnicza armja z pod Przemyśla poszła w Karpaty, Niemcy i Austriacy, nie dopuścili Rosjan do rozlania się w węgierskich nizinach, co więcej, w końcu z defenzywy przeszli do ofenzywy i wyparli Rosjan z Karpat, które stały się grobem carskiej armji.

Po starannie i bardzo zręcznie wykonanem skoncentrowaniu wielkich mas wojska w okolicy Nowego Sącza, przełamali Niemcy i Austriacy 2 maja front rosyjski pod Gorlicami a obecnie już w okolicy Przemyśla toczą się zacięte boje.

Sytuacja dla mocarstw centralnych układa się korzystnie. Mniej za to korzystnie dla Polaków i ich nadzieji. Coraz częściej i głośniejsz kładą tu pogłoski we Wiedniu o zamierzonym podziale zajętej przez armje sprzymierzone Polski między Austrię i Niemcy, wywołując wśród nas ogromne przygnębienie graniczące wprost z rozpaczą.

Z początkiem maja otrzymałem wreszcie po długich staraniach w Ministerstwie spraw wewnętrznych pozwolenie na wyjazd do Galicji Wschodniej do Dżurowa dla zwiedzenia kopalni węgla, co też natychmiast uczyniłem znowu daleko okreśną drogą na Budapeszt, Kołozwarz Bystrycę, Dornę Watrę i Czerniowce. Dotarłem do samego Dżurowa, lecz już po kilku dniach pobytu z powodu niepewnej

sytuacji pod Stanisławowem, zajętym jeszcze przez armję Rosyjską musiałem wracać. Dostałem się jednak jeszcze do Kołomyji, gdzie odwiedziłem mieszkającą tam rodzinę i już czempredzej trzeba było wracać drogą na Delatyn, Körösmeze i dalej przez Budapeszt do Wiednia. Już w Delatynie, gdzie w wagonach kolejowych na stacji mieściła się i urzędowała cała dyrekcja Stanisławowska kolei państwowej, mówiono z obawą o bardzo niepewnej i słabej sytuacji na tamtym froncie. W Kołomyji za to opowiadano z radością o legionach polskich, które od strony Bukowiny i Karpat pierwsze tam wtargnęły i jakiś czas w tem mieście przebywały. Ze łzami w oczach ich witano i żegnano a znaczny oddział dziarskich Huculów Rusinów wstąpił do polskich legionów i razem z nimi dalej walczył ze wspólnym wrogiem, Moskałem.

Właśnie gdy 9-go maja wróciłem do Wiednia, zastałem całe miasto oflagowane z powodu wielkiego zwycięstwa, odniesionego pod Gorlicami. Głoszono o olbrzymiej liczbie jeńców i o rychłym odebraniu Przemyśla i Lwowa, lecz wojna z Włochami wisi na włosku.

Austria nie mogła się zdecydować na odstąpienie Włochom tego, czego żądali — w końcu zobowiązała się, jednak pod warunkiem, jeśli wojna jej z Rosją zakończy się zwycięstwem. Ale takie obietnice są dla Włochów gruszkami na wierzbie, oni dobrze znają wagę takich przyrzeczeń. Znacznie lepiej pojmuje sytuację Tisza, który zupełnie otwarcie w parlamencie węgierskim mówi o konieczności odstąpienia Włochom pewnych terytoriów, by uniknąć wojny.

W sam dzień Zielonych Świątek przyszła wiadomość o wybuchu wojny z Włochami, którzy zaraz w wielu miejscach przekroczyli granicę austriacką. Publiczność całego Wiednia, jakby w czasach pokojowych była na wycieczkach w prześlicznych okolicach górskich po za Wiedniem, lub przynajmniej w Schönbrunie, gdzie stale wówczas mieszkał cesarz, lub w Praterze, gdzie właśnie tego dnia odbywało się Corso kwiatowe na dochód Czerwonego Krzyża. Pod wieczór nagle przerwana została ta piękna zabawa wiadomością o tej nowej wojnie i powiększeniu liczby nieprzyjaciół mocarstw centralnych. Oprócz tej wojny, bardzo ciężkiej i krwawej, która przez półczwarta roku wiązała na alpejskich grzbietach i wąwozach wielką część sił austriacko-niemieckich i była odciążeniem zachodniego frontu, zaszedł właśnie w maju 1915 roku wypadek, który pośrednio stał się powodem tak doniosłych następstw w wojnie światowej, że one przychyliły ostatecznie chociaż dopiero po kilku latach zwycięstwo na stronę zachodniej koalicji.

Barbarzyński sposób prowadzenia wojny morskiej przez Niemców i zatopienie przez torpedowce i łodzie podwodne niemieckie okrętów handlowych nietylko francuskich i angielskich lecz nawet państw neutralnych wywołało w całym świecie powszechne oburzenie. Już 1 maja zatopili Niemcy amerykański okręt Gulflight a w kilka dni później dnia 7 maja zatopiona została „Luzytania“ z licznymi cywilnymi pasażerami, jadącymi z Ameryki do Europy. Rząd amerykański wystąpił nietylko z ostrym protestem przeciwko takiemu barbarzyństwu, lecz wzburzona

opinia publiczna całej Ameryki domagać się zaczęła bezwzględnie wmieszania się Stanów Zjednoczonych w wojnę europejską i czynnego poparcia koalicji przeciwko mocarstwom centralnym. Niemcy nie wierzyli w możliwość tego a dzienniki i wojskowość lekcewały sobie armię amerykańską jako złożoną z ochotników i wcale nie wyćwiczoną. Nie wierzyli także w możność przewiezienia większych mas wojska z Ameryki do Europy.

Zanim się to jednak stało i ostatecznie zdecydowało o wyniku całej wojny światowej, uwaga wszystkich zwrócona została znowu na front wschodni, na ziemię polskie, gdzie wkrótce zaszły wypadki doniosłego znaczenia.

Następstwa przełamania frontu rosyjskiego pod Gorlicami nie dały długo czekać na siebie. Już w święto Bożego Ciała, dnia 3 czerwca nadeszła niespodziewanie wiadomość o odebraniu Przemyśla. Byliśmy właśnie, korzystając z prześlicznej pogody, na wycieczce do Krems nad Dunajem. Spędziwszy kilka godzin w tej uroczej miejscowości, wracaliśmy wielkim okrętem wycieczkowym do Wiednia. Wśród wycieczkowców zapanowało niezwykle poruszenie, gdy jeden z pasażerów pokazał dziennik wiedeński a w nim wielkimi literami na czele podaną wiadomość: „Przemyśl erobert“!

Wreszcie nadeszło tak szczęśliwe zdarzenie, o jakim nie marzyliśmy przez szereg długich, smutnych miesięcy. Oto we wtorek 22 czerwca podaną została urzędowa wiadomość o wzięciu, względnie odebraniu Lwowa, przez Austriaków i Niemców. Już od wzięcia, Przemyśla z niepokojem oczekiwaliśmy tej wieści,

więc kiedy wreszcie nadeszła, trudno nam było uwierzyć naszemu szczęściu i możliwości rychłego powrotu z naszej wojennej tułaczki do domu własnego rodziny. Kto tego sam na sobie nie przeszedł, temu trudno zrozumieć i odczuć tę radość. Cokolwiekby nas jeszcze mogło spotkać, na wszystko byliśmy gotowi, było tylko nastąpiło to w domu, wśród swoich a nie na obczyźnie, na wygnaniu, którego najcięższą troską był ciągły niepokój o swoich drogich i najdroższych, oddzielonych od nas ognistą ścianą wojny, krwi i ognia, nieprzebytym frontem bojowym.

Lecz minęły jeszcze dwa długie miesiące, zanim ten powrót do ukochanego grodu stał się możliwym. Z początkiem lipca powróciliśmy do Krakowa, gdzie także Naczelny Komitet Narodowy przeniósł swą główną siedzibę. Po przezwycięzeniu rozmaitych trudności i przeszkód dopiero dnia 15 sierpnia powitaliśmy z radością mury Lwowa, z większą niż dotąd ufnością odnosząc się do zwycięsców!

Jakie spotkało nas rozczarowanie i jak srogo ta nasza ufność wkrótce zawiedzona została — o tem może kiedyś później napiszę.



T R E Ś Ć

- I. Lato 1914. — Stronnictwa polityczne w Galicji. —
 Poznanie Józefa Piłsudskiego.
 Niedziela, pełna niezwykłych wrażeń. —
 Wspomienia z lat dziecińczych. — Wyjazd do
 Wiednia. — Ultimatum. — Iszl. — Wypowiedze-
 nie wojny. — Mobilizacja. str. 3.

- II. Geneza wojny światowej. — Nadzieje Polaków.
 Różnemi drogami do wspólnego celu. — Legjony.
 Dzień 6 sierpnia 1914. — Lwów w przededniu
 wkroczenia Rosjan. — Ostatnie chwile w Czer-
 niowcach i na Bukowinie. —
 Rosjanie pod Krakowem. „ 49.

- III. Dzieje brygady Piłsudskiego 1914-1915. — Jesień
 we Wiedniu 1914. — Wyjazd do Czerniowiec,
 chwilowo uwolnionych od najazdu rosyjskiego.
 Służba w N. K. N. we Wiedniu. — Polskie
 nastroje polityczne. „ 105.

- IV. Zimą we Wiedniu. — Po drugiej stronie frontów
 bojowych — Wiadomość o wrześniowej bitwie
 nad Małą. — Sprawa polska we Włoszech. —
 Wiosna 1915. — Karpaty grobem carskiej armji.
 Powrót do Lwowa. „ 771.





33103/

2